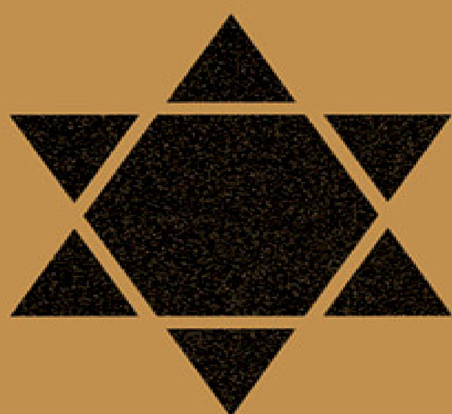
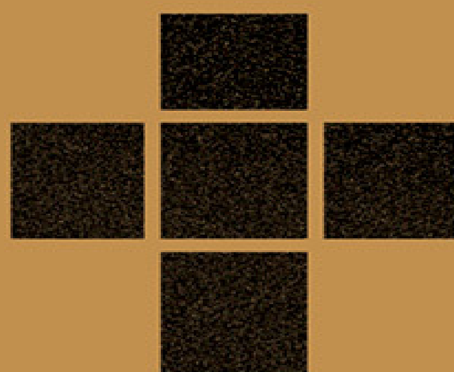
Jacek Leociak

MŁYNY BOŻE

Zapiski o Kościele i Zagładzie



Jacek Leociak

Młyny boże

Zapiski o Kościele i Zagładzie



Wołowiec 2018

Projekt okładki Agnieszka Pasierska/Pracownia Papierówka
Projekt typograficzny Robert Oleś/d2d.pl

Redakcja Anastazja Oleśkiewicz
Korekta Marcin Grabski, Agnieszka Frysztak/d2d.pl
Redakcja techniczna Robert Oleś/d2d.pl
Skład Alicja Listwan/d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl
ISBN 978-83-8049-664-4

Spis treści

Na tych kartkach zapisuję różne myśli o doświadczeniach Kościoła katolickiego z Żydami i Holokaustem. Te dobre doświadczenia nie powinny być listkiem figowym dla złych doświadczeń, a tych złych jest dużo.

Badania Holokaustu nie polegają jedynie na opisywaniu pomocy, jakiej Polacy udzielali Żydom w czasie Zagłady. Co więcej, Holokaust nie wydarzył się tylko po to, aby Polacy mogli poinformować o nim świat i ratować Żydów. Sporo ludzi tak jednak myśli. Obecnie ten typ myślenia przeżywa drugą młodość. Oto w czasie okupacji mieliśmy do czynienia z powszechną akcją pomocy Żydom. Był to ruch masowy, chociaż za ratowanie Żydów groziła śmierć. Dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy Polaków zasługują na medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” przyznawany przez instytut Yad Vashem w Jerozolimie. Niestety przyznano ich naszym krajanom tylko 6706 (dane na dzień 1 stycznia 2017 roku), co i tak daje nam pierwsze miejsce. Co czwarty uhonorowany przez Yad Vashem jest Polakiem. To cieszy. A jednak mimo ogromu polskiego poświęcenia i polskich ofiar żydowskie męczeństwo jest dla nas zagrożeniem, bo przesłania nasze zasługi. Niedoceniane są też wysiłki Kościoła katolickiego na rzecz ratowania Żydów. Historiografia katolicka od dawna usiłuje zmienić ten stan rzeczy. W latach sześćdziesiątych (szczególnie w okresie tak zwanej kampanii antysyjonistycznej) oraz siedemdziesiątych XX wieku ukazywało się dużo tekstów o pomocy Kościoła dla Żydów, przede wszystkim na łamach prasy PAX-u, Zrzeszenia Katolików Caritas i Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego. Pisano o parafii Wszystkich Świętych w warszawskim getcie, o najbardziej zasłużonym w ratowaniu Żydów Zgromadzeniu Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi. Pojawiające się w kolejnych latach prace przedstawiały zaangażowanie duchowieństwa świeckiego i zakonnego w dzieło pomocy. Pomocników było wielu. Autorzy tych prac za podstawę przyjmowali często kilka aksjomatów, wywiedzionych w dużej mierze z kanonicznego źródła

powstałego jesienią 1968 roku. Chodzi o anonimowe opracowanie pod tytułem *Dzieło miłosierdzia chrześcijańskiego. Polskie duchowieństwo a Żydzi w latach okupacji hitlerowskiej* – rzecz pełną nieuprawnionych generalizacji i przejaskrawień. Mimo że praca ta bazowała na źródłach niewiadomego pochodzenia i była pozbawiona aparatu naukowego, właśnie za sprawą historyków kościelnych weszła do obiegu, stając się podstawą, na której budowano obraz masowego zaangażowania duchowieństwa w pomoc Żydom, na co zwraca uwagę Dariusz Libionka. Książkę tę wydano w 2002 roku nakładem Oficyny Wydawniczej „Adiutor". Jej autorem okazał się ksiądz Franciszek Kącki. Najważniejszy wydaje mi się tytuł: *Udział księży i zakonnic w holokauście Żydów*. Tytuł – łagodnie mówiąc – wysoce niezręczny, niemniej cała książka świadczy o tym, że autor chciał jak najlepiej.

Jeśli chodzi o nowsze przykłady tego typu dyskursu, wskażę tylko jedną książkę – Edwarda Kopówki i księdza Pawła Rytla-Andrianika *„Dam im imię na wieki". Polacy z okolic Treblinki ratujący Żydów* (2011). Ksiądz Rytel-Andrianik (rocznik 1976) od lipca 2015 roku jest rzecznikiem prasowym Konferencji Episkopatu Polski. Studiował na La Pontificia Università della Santa Croce w Rzymie, La Pontificia Università Antonianum – Lo Studium Biblicum Franciscanum w Rzymie, w École Biblique et Archéologique Française de Jérusalem, w Oksfordzie, w MILAH – The Jerusalem Institute for Education, w The Hebrew Union College-Jewish Institute of Religion w Jerozolimie oraz w Hebrew University w Jerozolimie. Był wykładowcą La Pontificia Università della Santa Croce w Rzymie, Wyższego Seminarium Duchownego w Drohiczynie i Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu, której założycielem i rektorem jest ojciec dyrektor doktor Tadeusz Rydzyk. Posługuje się ksiądz Rytel-Andrianik szesnastoma językami obcymi. Dlatego jego książka napisana wspólnie z kierownikiem Muzeum Walki i Męczeństwa w Treblince Edwardem Kopówką wydała mi się szczególnie godna zainteresowania.

Prace nurtu katolicko-narodowego, a w tym nurcie plasowałbym dzieło Kopówki i Rytla-Andrianika, wychodzą z dających się łatwo

zrekonstruować założeń ideologicznych: mają przedstawić „prawdziwą" historię ratowania Żydów przez Polaków. Komponenty aksjologiczny z jednej strony, a polemiczny z drugiej są tu niezwykle ważne. Autorzy traktują swoją książkę jako konieczną interwencję w sporze o wartości, naruszone przez publikacje i wypowiedzi szkalujące dobre imię Polski i Polaków. Piszą więc po to, by pokazać, „jak było naprawdę", upomnieć się o zniesławianych czy zapomnianych bohaterów. Rażące nieraz niedostatki warsztatu historycznego, błędy metodologiczne, pozostawiające wiele do życzenia jakość i wiarygodność podstawy źródłowej, schematyczność i jednostronność interpretacji, chaos kompozycyjny, niejednokrotnie fatalny język i brak kompetentnej redakcji – wszystko to ustępuje miejsca głównemu walorowi publikacji, jakim ma być jej przekaz ideowy. Historia ma afirmować pewien model narodowej tożsamości. Publikacje tego nurtu łączy coś jeszcze – figura amplifikacji stosowana jako reguła dyskursu, w tym wypadku: zawyżanie liczby Polaków ratujących Żydów. Statystyka pomocy, jakiej Polacy udzielali Żydom w czasie okupacji, jest szczególnie podatna na pokusy manipulacji, ideologizacji i perswazyjnych nadużyć. Statystyka ta niejednokrotnie nie tylko nagina fakty, lecz z rozmysłem poza domenę faktów wykracza, zmierzając w ostatecznym rachunku ku horyzontom pozahistorycznym. Służy do wyrażania ocen natury moralnej lub religijnej.

W ponadsześciusetstronicowej książce Kopówki i Rytla-Andrianika reguła amplifikacji zmusza autorów do pogwałcenia semantyki języka polskiego. Chociaż deklarują w tytule, że będą się zajmować Polakami „z okolic Treblinki", wyrażenie to oznacza w ich ujęciu wielki kawał Polski. Mowa jest między innymi o Parczewie (sto pięćdziesiąt osiem kilometrów od Treblinki), Białej Podlaskiej (sto trzydzieści kilometrów), Garwolinie (sto siedemnaście kilometrów). Co więcej – „w okolicach Treblinki" znalazły się również Wileńszczyzna i Nowogródczyzna. Wszystko po to, by wykazać, że „w okolicach Treblinki" było bardzo wielu ratujących. Autorzy pochylają się ze szczególną uwagą nad postawami duchowieństwa. Ogólna teza ich książki brzmi: księża masowo ratowali Żydów. W tym wypadku „okolice Treblinki" rozszerzają się do obszaru

całej Polski, ponieważ autorzy opisują zasługi polskich duchownych *in gremio*. Jeśli mimo wysiłków nie natrafiają na konkretne źródła mówiące o represjach spadających na księży za pomoc okazywaną Żydom, radzą sobie z tym dość prosto. Otóż przyjmują jako aksjomat, że księża ukrywali Żydów, ale nie zostało to wykryte, więc nie byli represjonowani i szczęśliwie przeżyli wojnę – jak dekonstruuje tę argumentację Dariusz Libionka.

*

Przyznaję, że postawa Kościoła hierarchicznego oraz poszczególnych duchownych w czasie Holokaustu dręczy mnie od dawna. Zacząłem więc na kartkach spisywać to, co nie daje mi spokoju. Zastanawia mnie, w jaki sposób instytucja powołana do niesienia przesłania miłości bliźniego, jakże często, niezależnie od czasów i miejsca, wikłała się w działania niejednokrotnie przynoszące krew i łzy. Problem polega na tym, czy reputację instytucji, która od tylu wieków się myli, która popełniała przestępstwa często na masową skalę i przyczyniała się do cierpień i śmierci tak wielu ludzi na różnych kontynentach – rzeczywiście ratują ci dobrzy, wspaniali, odważni, którzy po prostu wierzą w Chrystusa.

Nie wchodzę tu szczegółowo w kwestie historii Kościoła, eklezjologii czy teologii pastoralnej. Upraszczam i wyostrzam temat na potrzeby krótkiego zapisu na kartce. Mamy od wieków taką oto sytuację. Po upaństwowieniu Kościoła, po uczynieniu z chrześcijaństwa religii panującej, której – ortodoksyjne – wyznawanie było egzekwowane bezwzględnie, aż do kary śmierci, jesteśmy świadkami dwóch zjawisk. Po pierwsze – stałej kolizji między władzą świecką a władzą duchowną. Kościół nie może się wyrzec ani przywilejów doczesnych, ani majątku ziemskiego (mówi, że jest mu to niezbędne do sprawowania misji), ani wpływu na kształt prawnoustrojowy państwa, w którym działa. Po drugie – nieustannego kontredansu „błędów i wypaczeń”. Od wieków są ci źli w Kościele, odchodzący od ducha Ewangelii, ci „nieprawdziwi” księża, biskupi, papieże – godni potępienia lub przynajmniej krytyki. I są ci

„prawdziwi”, działający w duchu Ewangelii. Najczęściej ci dopuszczający się „błędów i wypaczeń” trzymają całą instytucję w garści, rządzą. Z kolei ci „prawdziwi” są na obrzeżach tej instytucji, w najlepszym razie tolerowani jako dziwacy, w najgorszym – poddawani ostracyzmowi, piętnowani, pozbawiani wpływu na nauczanie, suspendowani, choć (w dzisiejszych czasach) przemocy fizycznej już się wobec nich nie stosuje.

Łamię sobie głowę nad tym, czy do kierowania się w życiu zasadami Ewangelii muszę mieć koniecznie za sobą całą tę gigantyczną kościelną biurokrację. Cały ten rozbudowany do monstrualnych rozmiarów aparat administracyjny. Cały ten urząd. Otóż okazuje się, że to wszystko jest niezbędne, aby pomagać Ojcu Świętemu, który jest zastępcą Chrystusa i *caput Ecclesiae* (głową Kościoła), w wypełnianiu jego posługi „utwierdzania braci w wierze” (Łk 22, 32)[1].

Czy na straży fundamentalnego przykazania miłości – „Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem, a swego bliźniego jak siebie samego” – musi stać potężna Kuria Rzymska? Okazuje się, że musi! Kuria Rzymska ze swoim Sekretariatem Stanu, z kongregacjami, komisjami i komitetami, papieskimi radami, ze stałymi komisjami międzydykasterialnymi, z trybunałami – jest potrzebna! Wszystkie dykasterie Kurii Rzymskiej spełniają swoje zadania, „mając na uwadze sprawiedliwość i dobro Kościoła, a w sposób szczególny zbawienie dusz” – pisał w konstytucji apostolskiej *Pastor Bonus* Jan Paweł II. O to, by chrześcijanin kierował się w życiu nauką płynącą z ośmiu błogosławieństw z Kazania na Górze, dba na przykład Kongregacja Nauki Wiary razem z Kongregacją do spraw Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, zapewne we współpracy z Kongregacją do spraw Ewangelizacji Narodów i Papieską Radą do spraw Krzewienia Nowej Ewangelizacji, Międzynarodową Radą do spraw Katechezy oraz powołaną przez papieża Franciszka w 2016 roku nową Dykasterią do spraw Integralnego Rozwoju Człowieka. Na pewno wcielaniem w życie Chrystusowego przesłania z Kazania na Górze zajmują się jeszcze inne ciała watykańskiej administracji. Jeśli któreś pominąłem – przepraszam.

Ogólnie Kuria Rzymska bardzo się przydaje. Można by powiedzieć, że bez jej działań nie byłoby całego ziemskiego dominium Kościoła, jego dóbr doczesnych i prymatu władzy papieża, krótko mówiąc – Państwa Kościelnego. To Kuria Rzymska przygotowała papieżowi Stefanowi II (752–757) osławiony dokument – *Donatio Constantini* [Donacja Konstantyna], datowany na 30 marca 315 roku. Dokument został sfałszowany, i to – jak podkreślają historycy – wyjątkowo nieudolnie. A jednak spełnił swoje zadanie. Według tej fałszywki cesarz Konstantyn Wielki nadawał papieżowi Sylwestrowi I (314–335) nie tylko liczne włości w Italii i przywileje dla duchowieństwa, lecz także uznawał prymat biskupa Rzymu – fundament papiestwa. Sfabrykowaną *Donatio Constantini* papież Stefan II przedstawił Pepinowi Krótkiemu (zwanemu też Małym lub Młodszym), kiedy prosił go o obronę Rzymu przed Longobardami. Papież namaścił Pepina na króla Franków w 754 roku, a Pepin zobowiązał się bronić Rzymu, który został usankcjonowany jako Stolica Piotrowa właśnie w tym sfałszowanym dokumencie. Niektórzy nazywają to największym oszustwem świata. Fałszerstwo zostało bezsprzecznie dowiedzione w XV wieku. Ja wspominam o nim tylko dlatego, że do tego falsyfikatu odwoływał się Marcin Luter w krytyce Kościoła rzymskiego i władzy papieży w *Piśmie do chrześcijańskiej szlachty narodu niemieckiego o poprawie stanów chrześcijańskich*, opublikowanym 26 czerwca 1520 roku. W 2017 roku obchodziliśmy pięćsetlecie reformacji.

Wiem, że Pan Jezus był dobry, miłosierny i uczył nas, żebyśmy byli dobrzy, miłosierni i kochali naszych bliźnich. Ale mnie nie chodzi o Pana Jezusa. Chodzi mi o potężną instytucję, która administruje od blisko dwóch tysięcy lat całą tą Jezusową schedą i nazywa siebie „Mistycznym Ciałem Chrystusa”, a hasła religijne wykorzystuje nierzadko do politycznych celów (politykę rozumiem tu zgodnie z definicją Maxa Webera jako dążenie do udziału we władzy lub uzyskania wpływu na podział władzy). Chodzi mi o urzędników Pana Boga gospodarujących tu, na ziemi. O ich działania, interesy, formy sprawowania władzy nad duszami i ciałami wiernych.

*

Zastanawiam się na przykład, jak chrześcijanie, wyznający religię miłosierdzia, miłości bliźniego, nadstawiania drugiego policzka i przypowieści o dobrym Samarytaninie, mogli tak bezwzględnie, ogniem i mieczem, nawracać pogan i niszczyć ich dziedzictwo. Chociaż historycy twierdzą, że większość pogańskich władców przyjęła chrześcijaństwo dobrowolnie, ja przypominam sobie fragment z anonimowego *Żywota Świętego Metodego* (powstałego po 885 roku, a przed początkiem XII wieku): „Książę pogański, silny bardzo, siedzący na Wiśle, urągał wiele chrześcijanom i krzywdy im wyrządzał. Posławszy zaś do niego [, kazał mu] powiedzieć [Metody]: »Dobrze będzie dla ciebie, synu, ochrzcić się z własnej woli na swojej ziemi; abyś nie był przymusem ochrzczony w niewoli na ziemi cudzej«”. Tyle hagiograf Metodego o „dobrowolności”.

Chrystianizacja pogan zaczynała się od tak zwanego *abrenuntiatio diaboli*, czyli po prostu niszczenia oznak i przedmiotów kultu. Książę Włodzimierz I Wielki z Rurykowiczów, który przyjął chrzest w 988 roku, zrównał z ziemią ośrodek starego kultu w Kijowie: „[…] kazał bałwany powywracać, jedne rozsiekać, drugie wydać na ogień. Peruna zaś kazał przywiązać koniowi do ogona i wlec z góry, a dwunastu ludziom kazał go ciąć prętami, nie to jakby drzewo to czuło, lecz czartu na urągowisko” – pisał późniejszy kronikarz. Perun, naczelne bóstwo w panteonie słowiańskim, wzbudzał szczególną agresję niosących Dobrą Nowinę. Dwunastowieczny kronikarz Saxo Gramatyk opowiada o misji chrystianizacyjnej na Rugii, zamieszkanej przez zachodniosłowiańskie plemię Ranów. W 1160 roku król Danii Waldemar I Wielki i biskup Absalon z Roskilde rozpoczęli krucjatę. Trwała osiem lat. Biskup rozkazał zniszczyć wielki posąg Rujewita (lokalnej odmiany Peruna) o siedmiu twarzach i tyluż mieczach u pasa. Pod wargami posągu jaskółki uwiły gniazdo. To gniazdo jaskółek niezwykle rozbawiło posłańców Chrystusa. Biskup Absalon śmiał się do rozpuku. Nie chciał wiedzieć, że Słowianie czcili jaskółki jako boże ptaszki: zwiastuny wiosny i personifikacje dusz. Najwyraźniej Ewangelia i krzyż Chrystusowy nakazywały wycinać dęby i karczować święte gaje. I jeszcze chrystianizacja Litwy, przeprowadzona przez pierwszego biskupa wileńskiego Andrzeja Jastrzębca. Czytamy

u Jana Długosza: „Król Władysław [Jagiełło] kazał na oczach barbarzyńców zgasić uznawany przez nich za wieczny ogień […] w głównym mieście i stolicy narodu [Wilnie]. […] Ponadto polecił gaje, które uznawano za święte, powycinać i połamać ich zagajniki oraz pozabijać i powytępiać wszelkie żmije i węże, które znajdowały się we wszystkich domach jako bóstwa opiekuńcze”.

A potem Krzysztof Kolumb pokłonił się Izabeli I Kastylijskiej (nazywanej Katolicką, ogłoszonej Służebnicą Bożą Kościoła katolickiego) i Ferdynandowi II Aragońskiemu, kusząc ich wizją bogactwa, jakie przynieść miało wydzieranie Nowemu Światu dusz i złota. Chciwość katolickich monarchów ochoczo przystała na jedno i drugie. Kolumb wyruszył za ocean z krzyżem i mieczem.

*

Szczytem obłudy jest godło hiszpańskiej inkwizycji, powołanej bullą papieża Sykstusa IV z 1478 roku. Działała ona – jako państwowe (nie papieskie) swoiste Ministerstwo Wyznań i Oświecenia Publicznego – do 1834 roku (z pewnymi przerwami). Otóż w centrum mamy oczywiście krzyż, na którym w straszliwych mękach umarł Jezus, aby potem zmartwychwstać, po prawej stronie widnieje miecz – symbol bezwzględnej i ostatecznej kary dla heretyków wszelkiej maści, po lewej zaś – i to jest najbardziej wzruszające – gałązkę oliwną. O symbolice gałązki oliwnej można by napisać traktaty, przyznam jednak, że nigdy nie myślałem w kategoriach tego symbolu o inkwizycji. Oto gałązka oliwna jako jeden z trzech emblematów hiszpańskiej inkwizycji, która – jak się ostrożnie szacuje – przeprowadziła w okresie swojej chwalebnej działalności około stu pięćdziesięciu tysięcy procesów i paliła na stosach nie tylko ludzi, lecz także ich wizerunki, kiedy żywi szczęśliwie zdołali umknąć Bożej sprawiedliwości.

Pouczający jest w historiografii nurt wskazujący na mitologizację obrazu inkwizycji i przedstawianie tej instytucji w ciemnych barwach. Mówi się wprost o „czarnej legendzie” inkwizycji. Nie będę tu przytaczał subtelnych

wywodów historyków, wskażę na interesujące mnie motywy. Jednym z nich jest chwyt retoryczny, który nazwałbym: ‘o co tu tak naprawdę chodzi’ oraz ‘to nie my, to oni (on)’. Otóż Grzegorz Ryś (od 2011 roku biskup, a od 2017 roku arcybiskup metropolita łódzki), kierownik Katedry Historii Starożytnej i Średniowiecznej w Instytucie Historii Wydziału Historii i Dziedzictwa Kulturowego Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II, opublikował w 1997 roku w wydawnictwie Znak bardzo ciekawą książkę *Inkwizycja*. We wstępie autor zaznaczył, że „nasze pojęcia dotyczące inkwizycji mogą być w niemałej mierze pochodną bardziej mitu niż faktów". Dalej czytamy, że „tak naprawdę nie istniała nigdy – poza oczywiście obszarem polemiki i fikcji – Inkwizycja rozumiana jako jeden, pojedynczy, wszechpotężny, przerażający, scentralizowany trybunał-bestia, penetrujący swoimi mackami wszystkie rejony Kościoła i świata". Historycy rozbrajający „czarną legendę" inkwizycji zazwyczaj przywołują w tym miejscu Edwarda Petersa, autorytet mediewisty zza oceanu, i jego książkę *Inquisition* (posługuję się wydaniem z 1989 roku).

Co tak naprawdę się wydarzyło? – pyta Grzegorz Ryś. Do XV wieku nie było inkwizycji (jako zinstytucjonalizowanego trybunału), byli tylko inkwizytorzy. Otoczony ponurą sławą Bernard Gui (1261–1331), który z całym oddaniem przez lata przywracał na łono miłosiernego Boga katarów z Langwedocji, paląc żywych i martwych (kazał wykopywać trupy i palić je na stosie), podzielił się swoimi doświadczeniami w podręczniku *Practica (officii) inquisitionis haereticae pravitatis* [Sprawowanie (urzędu) badania heretyckiej nieprawości]. Ale – podkreśla Ryś – „mamy do czynienia z radami o zupełnie prywatnym charakterze, opartymi nie o żaden autorytet kościelny, ale wyłącznie o autorytet samego Bernarda". Zwracają moją uwagę określenia: „ZUPEŁNIE prywatny", „ŻADEN autorytet kościelny" oraz „WYŁĄCZNIE autorytet Bernarda [podkr. J. L.]". Rozumiem więc, że Gui walkę z katarami sam sobie wymyślił i przeprowadził, a „autorytet kościelny" nie miał z tym oczywiście nic wspólnego, z kolei papież Klemens V, który w 1307 roku wyznaczył go na inkwizytora, tak jak zdradzany mąż – dowiedział się o wszystkim (to znaczy o eksterminacji katarów) ostatni. Autor książki wydanej przez Znak

przekonuje nas, że początków historii inkwizycji (już bez przymiotnika „kościelna”) należy szukać o wiele wcześniej niż w XIII wieku. Średniowiecze odziedziczyło bowiem całą procedurę pozyskiwania zeznań jako spadek po Cesarstwie Rzymskim. Chodzi o wyspecjalizowanego urzędnika, który zbiera dowody oskarżenia (*inquisitio*) i sam wydaje wyrok. W takiej procedurze stosowano też tortury. Święta prawda. Poszedłbym jeszcze dalej – wszystko zaczęło się w starożytnej Grecji. Proces pozyskiwania zeznań przez torturowanie przesłuchiwanego (czyli z zastosowaniem przymusu fizycznego – zadawania bólu) starożytni Grecy określali mianem *básanos* – czyli poszukiwaniem prawdy. Słowo *básanos* oznacza test lub próbę, którą przeprowadza się na czymś albo której poddaje się kogoś, aby określić autentyczność, prawdziwość, wiarygodność. Jest to zatem proces dochodzenia do prawdy w ramach „badań”, „dociekań”, „pytań”.

Kościelni inkwizytorzy niczego innego nie robili, tylko „dociekali prawdy” i kierowali się pragnieniem ocalenia heretyków przed wiecznym potępieniem. Dekonstruktorzy „czarnej legendy” inkwizycji przekonują nas, że nie było aż tak źle. Wprawdzie zdarzały się błędy i wypaczenia oraz indywidualne przypadki patologii, jacyś nieodpowiedzialni, szczególnie okrutni inkwizytorzy – ale oni działali „zupełnie prywatnie”, tortury można było stosować tylko raz podczas jednej sesji, najsurowszą karą, jaką dysponowały sądy kościelne, była ekskomunika, a kara śmierci należała do jurysdykcji świeckiej, i że pomysł palenia ludzi na stosie nie zrodził się w głowie papieża Kościoła rzymskiego czy wyznaczanych przez niego inkwizytorów, lecz w umysłach starożytnych Rzymian, a w ogóle przy dobrych układach i przyznaniu się do winy można było być tuż przed spaleniem uduszonym. Co za miłosierdzie!

Piszę to wszystko, żeby przestrzec przed tymi, którzy starają się na różne sposoby rozbrajać „czarną legendę” Holokaustu. „Nie było aż tak źle – przekonują. – To sprawa złożona, wieloaspektowa, niejednoznaczna, trudna, wymagająca uwzględnienia skomplikowanych okoliczności i ostrożnego wyważenia racji”, zwłaszcza że „nie mamy sobie nic do zarzucenia, przeciwnie – mamy powody do słusznej dumy”. *Et cetera, et*

cetera… I nie myślę tu o tak zwanych negacjonistach, lecz o ludziach wrażliwych, uczonych, zacnych… Dlatego między innymi spisywałem te kartki.

*

Wiem doskonale, że Polacy ratowali Żydów w czasie Zagłady. Robiły to także siostry zakonne, robili to również księża diecezjalni (dawniej mówiło się świeccy) i zakonnicy. Dużo się na ten temat pisze. Sam napisałem książkę o pomocy Żydom zatytułowaną *Ratowanie. Opowieści Polaków i Żydów* (2010). Spory w niej rozdział poświęciłem ratowaniu w klasztorach. Według danych z 2007 roku wśród Polaków uhonorowanych medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata" jest czterdzieści sióstr zakonnych i dwudziestu księży. Na swoich kartkach starałem się jednak notować to, o czym pisze się rzadziej.

Wyjmuję je z pudełka po butach firmy Bradshaw & Lloyd. Angielska firma z tradycjami, działająca od końca XIX wieku. Zależy mi na konkretach, nawet na drobiazgach. Nie silę się na bezosobowy chłód czy wyprany z emocji obiektywizm. Przeciwnie – jest to zapis subiektywny, a wybór stronniczy. W końcu to moje pudełko.



[1]

Co mówi nam o bogobójstwie biskup Meliton z Sardes (Ojciec Kościoła, święty prawosławny z II wieku naszej ery) w słynnej *Homilii paschalnej*? Żydzi, tak hojnie obdarowani przez Boga, odpłacili się krwawą niewdzięcznością, wzgardzili nim, umęczyli go, a w końcu zamordowali. Zabili Boga. Haniebnie go ukrzyżowali. „Dlaczego popełniłeś, o Izraelu, tę nową zbrodnię?" – pyta Meliton i uruchamia kaskadę oskarżeń. „Zelżyłeś Tego, który cię uczcił; znieważyłeś Tego, który przyznał się do ciebie; odtrąciłeś Tego, który cię wezwał; zabiłeś Tego, który cię ożywił". Meliton kreśli krwawą scenerię zbrodni.

> Wieczorem, kiedy dokonała się ofiara Pana, przygotowałeś dla Niego gwoździe ostre i świadków fałszywych, sznury i bicze, ocet i żółć, miecz i udrękę niby dla krwiożerczego zbója. […] I zabiłeś Pana w dniu Wielkiego Święta. I ty radowałeś się przy uczcie, a On głód cierpiał; ty jadłeś chleb i piłeś wino, a On żółć i ocet; ty miałeś twarz promienną, a On bolesną; ty byłeś pełen wesela, a On udręki; ty śpiewałeś, a On był sądzony; ty wybijałeś takt, a on był przybijany do krzyża; ty tańczyłeś, a Jego grzebano […]. Odpłaciłeś mu złem za dobro, męką za radość, a śmiercią za życie. […] Zabiłeś swego Pana w samym sercu Jerozolimy.

Kiedy to czytam, dreszcz przechodzi mi po plecach. Wydaje mi się, że słyszę pomruk rozjuszonego tłumu wołającego: „Ukrzyżuj Go! Ukrzyżuj Go!" (Mk 15, 13; Łk 23, 21; J 19, 6). A później padają te straszne słowa, brzmiące jak uzasadnienie wyroku ciążącego na Żydach przez dwa tysiące lat aż do dzisiaj.

> Rzekł do nich Piłat: „Cóż więc mam uczynić z Jezusem, którego nazywają Mesjaszem?". Zawołali wszyscy: „Na krzyż z Nim!". Namiestnik powiedział: „Cóż właściwie złego uczynił?". Lecz oni jeszcze głośniej krzyczeli: „Na krzyż z Nim!". Piłat, widząc, że nic nie osiąga, a wzburzenie raczej wzrasta, wziął wodę i umył ręce

wobec tłumu, mówiąc: „Nie jestem winny krwi tego Sprawiedliwego. To wasza rzecz". A cały lud zawołał: „Krew Jego na nas i na dzieci nasze". (Mt 27, 22–25)

Wiele atramentu chrześcijańskiego i wiele krwi żydowskiej kosztował ten okrzyk – komentuje ów brzemienny w skutki fragment Ewangelii według Świętego Mateusza ksiądz Michał Czajkowski.

Biskup z Sardes grzmiał w swojej paschalnej homilii:

Powiesili Tego, co ziemię zawiesił, przebodli Tego, co niebo rozpostarł, przybili do drzewa Tego, co wszystko utwierdził, Panem jest, a Go znieważyli, Bogiem jest, a Go zabili, Królem Izraela jest, a zamordował Go Izrael własną ręką. O mordzie niesłychany! O zbrodnio nigdy dotychczas niewidziana!

Przymykam oczy i widzę dwa tysiące lat w jednym uderzeniu pioruna. Strużki krwi Boga zamordowanego przez Żydów („plemię żmijowe") płyną po zboczach Golgoty i rozlewają się szeroko po ziemi, oplatając krwawą pajęczyną cały świat. A Meliton wznosił się wciąż wyżej i wyżej, wdeptując Żydów w błoto coraz głębiej i głębiej. „Zgniotłeś twego Pana i ciebie zmiażdżono na ziemi. I oto leżysz martwy, a On powstał z martwych i wstąpił na wyżyny niebieskie". Płomienna *Homilia paschalna* biskupa Melitona z Sardes, jakże słusznie nazywanego pierwszym poetą bogobójstwa, brzmi niczym wyrok. Nieodwołalny. Bogobójstwo, czyli diabelska żydowska wina, przez którą cały naród ściągnął na siebie straszliwe kary, właściwie od początku było obecne w chrześcijańskiej tradycji – twierdzi Zuzanna Radzik w studium o motywie bogobójstwa w starożytnym chrześcijaństwie. Pojawia się w Ewangeliach kanonicznych oraz pozakanonicznych, we wczesnych pracach teologicznych, takich jak *Dialog z Żydem Tryfonem* napisany przez Justyna Męczennika, i w cytowanym już poemacie oskarżycielskim Melitona z Sardes – oba dzieła z drugiej połowy II wieku. Dwa wieki później myśliciele pokroju Jana Chryzostoma i Świętego Augustyna przyjmują tezę o bogobójstwie za coś oczywistego, czego już nie trzeba wyjaśniać. Obie chrześcijańskie tradycje liturgiczne, łacińska i bizantyjska, w okresie Wielkanocy zgodnie oskarżają naród żydowski o zabicie Jezusa Chrystusa – Boga. Homilie, antyfony, pieśni, sztuki pasyjne stają się nośnikami motywu bogobójstwa.

Do czasów papieża Jana XXIII w liturgii obrządku łacińskiego jedno z wezwań modlitwy powszechnej brzmiało: „*Oremus et pro perfidis Judaeis*”. W 1959 roku Jan XXIII usunął przymiotnik *perfidis* (niewierni, zdradzieccy, wiarołomni). Czternaście lat po II wojnie światowej i zagładzie Żydów europejskich katolicy przestali wreszcie podczas każdej mszy świętej nazywać „perfidnych” Żydów zdrajcami i wiarołomcami.

Blisko dwa tysiące lat wtłaczania do głów oskarżenia o zamordowanie Jezusa Chrystusa i siania nienawiści do „*perfidis Judaeis*” musiało przynieść plon. Najstraszniejsze jest to, że powtarzane przez wieki oskarżenie o bogobójstwo odnosiło się nie tyle do „tamtych” Żydów z czasów Piłata, ile do „tych” – współczesnych tym, którzy to oskarżenie rzucali: do krawca Golda, do sąsiada Silberkranga, do żydowskich mieszkańców Jedwabnego, Wąsocza, Radziłowa, do Żydów z domu przy ulicy Planty 7 w Kielcach.

Ukrywający się na wsi w okolicach Mińska Mazowieckiego Leib Rochman przytacza zasłyszaną w sierpniu 1943 roku rozmowę między udzielającym mu schronienia gospodarzem a jego szwagrem, który twierdził, że Żydzi są bandytami i wszyscy powinni zostać zabici. „Felek jednak upierał się, że kiedy Pan powiedział: »Nie będziesz zabijał«, to miał na myśli wszystkich ludzi. […] Zieliński odparował, że Felek to dziwak i nieuk. »Czyż Żydzi nie zabili Naszego Pana?«”. Bogdan Wojdowski napisał opowiadanie *Ścieżka* na podstawie relacji kobiety, która jako dziecko uciekła z getta warszawskiego i błąkała się w okolicach Puszczy Kampinoskiej. Okupacyjne losy Wojdowskiego były podobne – uciekł z getta i wędrował po tej samej okolicy. Alka, bohaterka opowiadania, zostaje schwytana przez folksdojcza i szmalcownika, który prowadzi ją do pobliskiego miasteczka. Zatrzymują się na skraju wsi obok figury Chrystusa Frasobliwego. W tej pasyjnej scenerii prześladowca oskarża dziecko o zabicie Pana Jezusa i zmusza żydowską dziewczynę do wyznania grzechu bogobójstwa. W złorzeczącej tyradzie folksdojcza, skrzętnie wyciętej przez peerelowską cenzurę z wydania książkowego, padają następujące sformułowania: „Żyd idzie od razu do piekła”, „ma czarną, żydowską duszę”, jest „rodzajem gadziny”. Alka chce, żeby oprawca

zastrzelił ją na miejscu, na co ten odpowiada: „Nie strzelam, bo w Łowiczu płacą za każdego Żyda". Ludwik Hering, jeden z najbliższych przyjaciół, mistrzów i inspiratorów Mirona Białoszewskiego, na podstawie własnych doświadczeń okupacyjnych napisał *Metę*, sygnowaną „Łódź 1945". Rzecz dzieje się w garbarni St. Pfeffer i Ska przy ulicy Okopowej w Warszawie. Było stamtąd doskonale widać i słychać akcję likwidacyjną latem 1942 roku:

> […] w kierunku bocznic kolejowych, do oczekujących sznurem towarowych pociągów – przez długi skwarny letni dzień płynęła ława stłoczonych półżywych ludzi. Jeden jęk mnożony przerażeniem tysięcy oczu zatrzaskiwano w cuchnących chlorem wagonach. Okoliczni mieszkańcy widzieli to z okien swych domów – patrzyli ze zgrozą. – Jak winny musi być naród, na który Pan Bóg taką karę zsyła! Każda prawie rodzina po aryjskiej stronie była dotknięta nieszczęściem i żałobą i to było niewątpliwą zbrodnią Hitlera – ale jeśli chodziło o Żydów, Hitler był tylko wykonawcą wyroku boskiego. Czy mogło być inaczej? W oknach sklepowych wisiały – drukowane przez Niemców z pietyzmem złotymi literami i oprawione w urzędowe ramki – zmieniające się co kilka tygodni „złote myśli" księdza Trzeciaka o zgubnej dla ludzkości roli Żydów. […] Na słupach wisiały afisze z plugawymi wizerunkami jakby żywcem przeniesionymi z „Przewodnika Katolickiego". Na murach przykościelnych nie pobladły jeszcze napisy: „Śmierć Żydom – Polska musi być katolicka", pisane często ręką pielgrzymów z miejsc świętych.

A oto, co pisze Hering o okresie kwietniowego powstania w 1943 roku. Kiedy całe getto stanęło w ogniu i „dzielnica mieszała wiosenny zapach rozkwitłego cmentarza i odór żywcem palonego miasta", spieszący do kościoła ludzie zatrzymywali się na Okopowej i Powązkowskiej, by spojrzeć „ze zgrozą na piekło uwięzione za murem. – Kara boża, kara boża… – To w takie święto jak dziś *oni* zamordowali *naszego Chrystusa*. – Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Żegnali się nabożnie".

To bardzo ważne i piękne, że podczas soboru watykańskiego II w 1965 roku ogłoszona została deklaracja *Nostra aetate* [Nasza epoka] o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich, której punkt czwarty dotyczy stosunku do judaizmu. Stwierdza się tam między innymi: „A choć władze żydowskie wraz ze swymi zwolennikami domagały się śmierci

Chrystusa, jednakże to, co popełniono podczas Jego męki, nie może być przypisane ani wszystkim bez różnicy Żydom wówczas żyjącym, ani Żydom dzisiejszym”. Po dwóch tysiącach lat Żydzi doczekali się wreszcie aktu abolicji. Papież Benedykt XVI reinterpretuje fragment Ewangelii według Świętego Mateusza, twierdząc, że „Mateusz nie podaje tu z pewnością faktu historycznego”, i dodaje: „Jeśli według Mateusza »cały lud« wołał: »Krew Jego na nas i na dzieci nasze« (27, 25), to chrześcijanin powinien pamiętać, że krew Jezusa mówi innym językiem niż krew Abla (zob. Hbr 12, 24). Nie woła o pomstę i karę, ale jest pojednaniem”.

Wielu posoborowych katolików nie zna jednak tego nowego języka krwi Jezusa wylanej na Golgocie. Dowodzą tego – prowadzone w latach osiemdziesiątych XX wieku przez Alinę Całą – badania etnograficzne na obszarach południowo-wschodniej Polski. Żydzi byli tam postrzegani nadal jako bogobójcy. „Żydzi to jest naród przeklęty przez Pana Jezusa. Oni sami tego zażądali, bo powiedzieli: niech ta krew przelana Pana Jezusa spadnie na nich i na ich dzieci. I Pan Jezus ich wysłuchał”. Dowodzą tego również badania zrealizowane w latach 2005–2006 przez Joannę Tokarską-Bakir w katolickich parafiach z okolic Sandomierza i prawosławnych parafiach w pobliżu Białegostoku. Na obu terenach znajdują się otoczone kultem obrazy ilustrujące legendy o krwi (rzekome mordowanie przez Żydów chrześcijańskich dzieci, by utoczyć z nich krew potrzebną do wyrobu macy). Jak widać – przed kapłanami Kościoła katolickiego wciąż jeszcze bardzo dużo do zrobienia. Oby tylko chcieli chcieć.

[2]

Doprawdy godne podziwu jest pielęgnowanie tradycji obchodzenia się z Żydami w chrześcijańskiej Europie. W skali dwóch tysięcy lat cywilizacji chrześcijańskiej mamy tu do czynienia z Braudelowską perspektywą długiego trwania (*longue durée*).

Kardynał Giovanni Pietro Carafa, jeden z najbardziej bezwzględnych członków trybunału inkwizycji rzymskiej, ścigający zajadle odszczepieńców i heretyków, zwany potocznie „biczem na Żydów”, w maju

1555 roku został papieżem Pawłem IV. I natychmiast wziął się do rzymskich Żydów. Już po dwóch miesiącach pontyfikatu, w lipcu 1555 roku, wydał bullę *Cum nimis absurdum* [Ponieważ jest głupiem i niestosownem], w której potępił judaizm i nakazał utworzenie getta w Rzymie. Ziemski zastępca urodzonego w Betlejem Żyda napisał: „Ponieważ jest głupiem i niestosownem, by Żydzi, których Bóg skazał na wieczną niewolę, mieszkali razem z chrześcijanami, jako to w Rzymie i innych miastach św. Rzymskiego Państwa mieszkają przy ulicach pryncypialnych, nie noszą odznak hańby i trzymają w swych domach służbę chrześcijańską, przeto rozkazujemy…”. Po tej preambule następuje kilka szczegółowych rozporządzeń. W Rzymie nazajutrz po opublikowaniu bulli o getcie

> natychmiast przystąpili komisarze papiescy do oznaczania ulic, w których wszyscy Żydzi mieli zamieszkać. […] Równocześnie poczęli murarze wznosić wysoki mur dla odgraniczenia kwartału żydowskiego od właściwego miasta. W ciągu dwóch miesięcy wykończono te mury i przedstawiono gminie żydowskiej rachunek kosztów do natychmiastowego wyrównania

– czytamy u Majera Bałabana. Dokładnie według takiego samego schematu postąpili Niemcy w okupowanej Warszawie, nakazując samym Żydom wzniesienie murów wokół przyszłego getta. Ich budowa trwała również dwa miesiące: od kwietnia do czerwca 1940 roku. I tak samo jak rzymscy Żydzi w XVI wieku, warszawscy Żydzi także musieli za mury zapłacić.

Nie jest to jedyny przykład długiego trwania. Zmieniają się papieże, odbywają się kolejne synody i sobory, a tradycja przenoszona jest z pokolenia na pokolenie. Aż do czasów Trzeciej Rzeszy. Raul Hilberg w pierwszym tomie *Zagłady Żydów europejskich* zestawił kościelne i nazistowskie ustawodawstwo antyżydowskie. Wymowa faktów jest przerażająca. Naziści (prawie) niczego nowego nie wymyślili. Wszystko odziedziczyli. Oprócz jednego, ale radykalnie nowego pomysłu – „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Podam za Hilbergiem tylko kilka przykładów. Zakaz mieszanych małżeństw i stosunków

seksualnych chrześcijan z Żydami – synod w Elwirze (między rokiem 300 a 324). To samo w Ustawie o ochronie krwi niemieckiej i honoru niemieckiego z 15 września 1935 roku. Żydom nie wolno sprawować publicznych urzędów – synod w Clermont w 535 roku. To samo w Ustawie o przywróceniu zawodowej służby cywilnej z 7 kwietnia 1933 roku. Żydom nie wolno zatrudniać chrześcijańskich służących i posiadać chrześcijańskich niewolników – III synod w Orleanie w 538 roku. To samo w Ustawie o ochronie krwi niemieckiej i honoru niemieckiego z 15 września 1935 roku. Chrześcijanom zabrania się leczenia u żydowskich lekarzy – sobór in Trullo (Pod Kopułą) w 692 roku. To samo w dekrecie z 25 lipca 1938 roku. Nakaz noszenia przez Żydów na ubraniach specjalnego oznakowania („piętno żydowskie”, „znak hańby”) – IV sobór laterański z 1215 roku, kanon 68. Pierwszym miastem w okupowanej Europie, w którym naziści wprowadzili specjalne oznaczenie dla Żydów, był Włocławek – 28 października 1939 roku wydano tam nakaz noszenia na piersiach i plecach trójkątnej żółtej łaty. W Łodzi przymus noszenia żółtej gwiazdy obowiązywał od 18 listopada 1939 roku. W Generalnym Gubernatorstwie rozporządzenie Hansa Franka z 23 listopada 1939 roku o obowiązku noszenia opasek z gwiazdą Dawida weszło w życie z dniem 1 grudnia 1939 roku, w krajach bałtyckich nakaz noszenia gwiazdy Dawida zaczął obowiązywać od 8 lipca 1941 roku. W Trzeciej Rzeszy, w Protektoracie Czech i Moraw oraz w Luksemburgu Żydzi musieli nosić gwiazdy Dawida od 15 września 1941 roku, w Holandii – od 27 kwietnia, a we Francji i w Belgii – od 7 czerwca 1942 roku.

Kiedy krnąbrni Żydzi, mimo wzmożonych wysiłków, nie dawali się nawrócić, chrześcijańska Europa przeszła do drugiego etapu: wypędzeń. Za jeden tylko, ale emblematyczny przykład niech posłuży osławiony edykt z Alhambry wydany 31 marca 1492 roku przez katolickich królów Hiszpanii (*Los Reyes Católicos*) – takim tytułem papież Aleksander VI obdarzył Izabelę I Kastylijską i Ferdynanda II Aragońskiego. Żydzi mieli się wynieść z królestwa Hiszpanii i wszystkich jego posiadłości do 31 lipca 1942 roku. Dano im więc cztery miesiące, żeby zniknęli. Z Trzeciej Rzeszy niemieckim Żydom wolno było wyjeżdżać, ale na

drakońskich warunkach, nie wszyscy mogli sobie na to pozwolić, nie wszyscy również chcieli. Po napaści Niemiec na ZSRR i rozpoczęciu przez Einsatzgruppen masowych mordów na Wschodzie naziści zmienili zdanie co do niemieckich Żydów. Czas emigracji, czyli wyjazdów w obranym przez siebie kierunku, definitywnie się skończył. Ostatecznie w połowie września 1941 roku wstrzymana została wszelka emigracja Żydów z Trzeciej Rzeszy. Teraz kierunek przemieszczania się Żydów wyznaczali architekci „ostatecznego rozwiązania". Kierunek był tylko jeden – do komór gazowych.

[3]

Jeden wątek z przepastnej skarbnicy antysemickiej retoryki jest wyjątkowo ciekawy. Znamionuje go szczególna dbałość o czystość i higienę, coś jak obsesyjno-kompulsywne mycie rąk w nerwicy natręctw. Dyskurs ten wsparty jest – jak to nazywa w monumentalnej *Historii antysemityzmu* Léon Poliakov – na „filozofii weterynaryjnej", na której opierała się oficjalna doktryna Trzeciej Rzeszy, ale przecież nie naziści ją wymyślili. Mamy tu do czynienia z metaforyką sanitarno-epidemiologiczną, koncentrującą się wokół pojęć choroby, źródeł infekcji (zarazki, wirusy, bakterie), procesu epidemicznego oraz sposobów zwalczania epidemii. Uzupełnia ją metaforyka parazytologiczna, w której nośnikami odrazy, pogardy i zagrożenia wymagającego bezwzględnej obrony stają się nazwy różnego rodzaju pasożytów (trychiny, pchły, pluskwy, wszy). Żyd nie jest człowiekiem, nie jest nawet zwierzęciem, spada do rzędu insektów, robaków, drobnoustrojów. To najbardziej odrażająca kategoria istot zaludniających ziemię, budząca zrozumiały odruch obrzydzenia, nadająca się jedynie do wytępienia. Dyskurs ten jest uniwersalny, skupię się jednak tylko na Polsce.

Stanisław Staszic w *Przestrogach dla Polski* z 1790 roku nazywa Żydów „pijawkami" i „szarańczą" oraz porównuje ich z robactwem.

> Żydzi są pijawkami rolnika, z nich żaden nie przykłada się do powiększania urodzajów krajowych […]. Wszyscy tylko z innych stanów pracowitych żyją. […] Żydzi są

> naszego kraju letnią i zimową szarańczą. […] najżyźniejsze pola niszczą, wsie napełniają nędzą, a powietrze zarażają zgnilizną. Żydostwo nasze wsie uboży a nasze miasta smrodem napycha.

Stanisław Staszic używa czasowników, które stosuje się zazwyczaj do opisu robaków: „Żydzi obfitują, gnieżdżą się i mnożą". W rozprawie *O przyczynach szkodliwości Żydów i środkach usposobienia ich, aby się społeczeństwu użytecznymi stali* z 1815 roku nazywa Żydów „zarazą, coraz głębiej nasz nieszczęśliwy naród niszczącą". Postuluje użycie „sposobów gwałtownych, jednym postanowieniem tę zarazę niszczących", choć jednocześnie przyznaje, że tak radykalnych środków użyć się nie da. Mniej więcej sto dwadzieścia pięć lat później Niemcy stanęli w awangardzie walki z tą zarazą i postanowili problem żydowski rozwiązać raz na zawsze, ostatecznie. Na razie jednak Staszic proponuje „sposoby powolniejsze", nawiązujące do starej tradycji: „[…] wyznaczyć im w kraju po miastach dla ich mieszkania miejsca całkiem wyłączne, od domów innych mieszkańców kraju oddzielne".

Gerard Maurycy Witowski, znany varsavianistom jako Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia, którego Jan Józef Lipski nazywał ojcem felietonistyki, jeśli nie polskiej, to na pewno warszawskiej, opublikował broszurę *Sposób na Żydów, czyli Środki niezawodne zrobienia z nich ludzi uczciwych i dobrych Obywateli: dziełko dedykowane Posłom i Deputowanym na Seym Warszawski 1818 roku*. Twierdził w niej, że „żydzi są plagą na Polskę w gniewie nieba zesłaną". Jedynym „sposobem na żydów" jest ich „odosobnienie", czyli masowa emigracja. Aby ten plan przedstawić, Witowski użył metafory chirurgicznej. Chodziło o zabieg amputacji.

> Żydzi […] wszyscy szkodliwymi są dla kraju naszego jestestwami, jakiż pozostał na koniec środek, któryby nas od tego przykrego i coraz bardziej powiększającego się wpływu Żydów mógł uwolnić? Odpowiedź: ten sam zastosowany do chirurgii, że tak powiem politycznej, który jest używany w chirurgii naturalnej na wszystkie członki zbolałe niemogące się zagoić, to jest odosobnienie.

Gerard Maurycy Witowski roztoczył następnie monumentalną wizję exodusu polskich Żydów – kolumny po tysiąc osób sunące na Wschód, ku jakiejś nowej guberni, której car Aleksander I w swojej łaskawości użyczy.

Julian Ursyn Niemcewicz jest autorem zarówno pozytywnej, jak i negatywnej utopii dotyczącej problematyki żydowskiej – podkreśla Maria Janion. W 1817 roku napisał antysemicki pamflet *Rok 3333, czyli sen niesłychany*. Ów sen będzie później koszmarem prześladującym endeków i oenerowców oraz ich duchowych spadkobierców do dziś. Oto Polska przekształciła się w Judeo-Polonię (tak, to Niemcewiczowi zawdzięczamy ten zgrabny neologizm), Warszawę przemianowano na „Moszkopolis", Polacy – chrześcijanie stali się „żydowskimi pachołkami", a główną wytyczną polityki Judeo-Polonii jest „utrzymywanie wzgardy dla religii katolickiej". Moszkopolis tonie w błocie, brudzie i ciemności. Powieść w listach *Lejbe i Siora, czyli listy dwóch kochanków* z 1821 roku jest utopią pozytywną, ale tam także znajdziemy przykłady użycia języka parazytologicznego. Jankiel, negatywny bohater powieści, przeciwnik emancypacji Żydów, przypomina bardziej robaka niż człowieka: „Stworzenie na długich, cienkich nóżkach, z utopioną spiczastą głową wśród ogromnych dwóch garbów z przodu i z tyłu".

Świadectwo obłędnej siły antysemickich fobii w niepodległej już Rzeczypospolitej daje Alfred Döblin w relacji z podróży do Polski odbytej jesienią 1924 roku. W drodze powrotnej spotyka w pociągu „młodego polskiego nacjonalistę". Polak ten

> wobec Żydów żywi najczystszą nienawiść, przechodzącą w odrazę. […] nie wie nawet, czy warto ich do końca zniszczyć, porozbijać i wessać. Ma na ich temat jakieś potworne, przerażające urojenia. […] To wszystko saprofity, grzyby gnilne, grzyby, które się żywią ginącą tkanką, pasożyty. To rasa bakterii.

Maria Janion zastanawia się, gdzie przebiegała granica między antysemityzmem deportacyjnym a antysemityzmem eliminacyjnym, i pyta: „jak daleko posunęło się odczłowieczenie Żyda w polskiej prasie dwudziestolecia międzywojennego?". W endeckich gazetach nagminnie pisano o Żydach *per* „insekty i gryzonie", „wszy", „pchły", „karaluchy",

„szarańcza”, „trutnie”, „szczury” i „pająki”, „pejsate pluskwy”. Oto (tylko!) trzy przykłady. „Żydzi przedstawiają najbardziej zdegenerowaną i zdeprawowaną warstwę ludności. Zarodki tej gangreny przeszczepiają w społeczeństwo polskie” (Alojzy Tag, „Kuźnica” 1935, nr 2 – pismo ONR-Falangi).

> Nalewki czekają dezynfekcji […], całe domy, bloki, ulice, trzeba burzyć […]. Wrzątku nie żałować, bo to wszystko brudne, zaplute, zażydzone i parszywe […]. A jeśli te wszystkie czarne republikany, karaluchy, demokraty chałatowe i pluskwy zechcą rozleźć się po całej stolicy – dam jeszcze jedną radę: […] otoczyć Nalewki wysokim murem. (W. Jocz, „Falanga” 1938, nr 28)

„Przegląd Katolicki” z 5 marca 1939 roku w korespondencji z Berlina pochwalał śmiałe pytania, które zadano sobie wobec „nowotworu żydowskiego w łonie niemieckiej macierzy”, wobec „ślepego i głuchego pierwotniaka”. Pytanie to brzmi: „Jakie prawo istnienia może mieć żydowski naród-karzeł? […] Co to za ludzie, którzy czarnym wężem chałatów opasali kulę ziemską?”.

Niech za epilog posłuży elaborat Stanisława Tworkowskiego *Polska bez Żydów*, wydany nakładem Stronnictwa Narodowego powiatu warszawskiego w 1939 roku, a więc w roku wybuchu II wojny światowej, która doprowadziła do Holokaustu. Stanisław Tworkowski aprobatywnie podsumowuje wielowiekową tradycję szerzenia nienawiści do Żydów, eksponując przede wszystkim katechezę i praktykę legislacyjną Kościoła rzymskiego. Żydzi porównywani są w cytowanych dokumentach z jadowitymi wężami, pasożytami i gryzoniami. Na przykład w uchwale synodu przemyskiego Kościoła katolickiego z 1723 roku czytamy:

> Żydzi, ten gad jadowity, ci wygnańcy palestyńscy, którzy już zaleli całą Ruś i szerzą się po całym Królestwie Polskim, bogacąc się z krzywdy i wyzysku chrześcijan, pełni pychy, nienawiści i chytrości, stawiając sobie za główny cel swej przewrotnej działalności: podstęp, zbrodnie i wszelkiego rodzaju występki, bluźnierstwa, zniewagi i wyszydzanie tajemnic Wiary naszej świętej.

Z encykliki papieża Benedykta XIV z 1751 roku Tworkowski wybiera taki fragment:

> Dowiedzieliśmy się od wiarygodnych osób, znających stosunki w Polsce, jako też z uskarżania się tych, którzy w tym Królestwie mieszkają, że się tak wielka liczba żydów rozmnożyła w Polsce, iż niektóre miejscowości, miasta i miasteczka […] wielką liczbą żydów napełnione tak dalece, że w nich mało co znajduje się chrześcijan. […] Z miłosierdzia do naszej społeczności przyjęci, tę nam zapłatę oddają według pospolitego przysłowia: mysz w torbie, wąż na łonie, ogień w ręku, zwykli swoim gospodarzom oddawać.

Pisałem tu nie o ideach, lecz o słowach. Wskazywałem niektóre sformułowania czy metafory wywodzące się ze wspólnej europejskiej tradycji. Te luźne zapiski na marginesach uczonych memoriałów, broszur politycznych czy bieżącej publicystyki powinny skłonić do bardziej systematycznych studiów i przemyśleń. Najgroźniejsze jest bowiem to, że trucizna, którą zawiera ten typ języka, jest bardzo często niedostrzegana i lekceważona. Ale taki język nie jest niewinny.

[4]

> Tak więc piętnastego dnia siódmego miesiąca, kiedy zbierzecie plony ziemi, będziecie obchodzić święto Pana przez siedem dni. […] Weźcie sobie pierwszego dnia owoce pięknych drzew, liście palmowe, gałązki gęstych drzew i wierzb nadrzecznych. Będziecie się weselić przed Panem, Bogiem waszym, przez siedem dni. […] Przez siedem dni będziecie mieszkać w szałasach

– tyle Księga Kapłańska (23, 39–42). Sukot – Święto Namiotów – jest świętem radosnym, nawiązuje do wyjścia z Egiptu, stąd obowiązek budowania szałasów (kuczek), by przypomnieć wędrówkę do Ziemi Obiecanej. Świąteczny bukiet, nad którym odmawia się każdego dnia błogosławieństwo i potrząsa na cztery strony świata oraz ku górze i dołowi, składa się z czterech gatunków roślin, a są to: etrog (izraelska cytryna), lulaw (gałązka palmy), hadas (trzy gałązki mirtu), arawa (dwie gałązki wierzby). W 1917 roku pierwszy dzień Sukot przypadał w poniedziałek 1 października. Trwała wojna. Niemieccy Żydzi mieli problem ze zdobyciem

niezbędnych w Święto Namiotów liści palmowych, które zawsze sprowadzali z Włoch. Ale włoski rząd zakazał ich wywozu. Transport utknął nad jeziorem Como, tuż przy granicy ze Szwajcarią. Wtedy naczelny rabin Monachium doktor Werner zwrócił się do nuncjusza apostolskiego w Bawarii z uprzejmą prośbą o pomoc. Nuncjuszem tym był wówczas Eugenio Maria Giuseppe Giovanni Pacelli, późniejszy papież Pius XII i Czcigodny Sługa Boży Kościoła katolickiego.

Ewangeliczna maksyma mówi: „Poznacie ich po owocach” (Mt 7, 16). W innym miejscu czytamy: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25, 40). Ja dodam jeszcze: poznacie go po drobiazgu. Bo to w gruncie rzeczy była rzecz drobna na tle działań nuncjusza, odwiedzającego niestrudzenie jenieckie obozy i niosącego pomoc ofiarom wojny. Działań wywołujących zachwyt taką samarytańską postawą. A tu Żydzi proszą o liście palmowe. John Cornwell cytuje korespondencję nuncjusza Pacellego z kardynałem Enrico Gasparrim – watykańskim ministrem spraw zagranicznych i protektorem przyszłego papieża. Mistrzostwo w dyplomatycznej retoryce osiągnął Pacelli już podczas I wojny światowej. Tak referuje sprawę swojemu szefowi: „Izraelska wspólnota liczy na interwencję papieża w nadziei, że się wstawi w imieniu tysięcy niemieckich Żydów. Są oni przekonani o pomyślnym załatwieniu ich prośby”. To warstwa informacyjna. Później następuje delikatna, acz stanowcza sugestia, jak można by sprawie łeb ukręcić:

> Akceptacja tej prośby byłaby moim zdaniem udzieleniem Żydom szczególnej pomocy nie w ramach praktycznych, konwencjonalnych, czysto cywilnych i naturalnych praw wspólnych wszystkim ludziom, lecz aktywnym, bezpośrednim wsparciem ich żydowskich obrządków religijnych. Odpowiedziałem więc uprzejmie wspomnianemu rabinowi, […] że pilnie poinformowałem Ojca Świętego o sprawie, niemniej wyraziłem wątpliwość, czy z uwagi na wojenne opóźnienia komunikacyjne Ojciec Święty nie spóźni się z wyjaśnieniem jej rządowi włoskiemu i czy otrzymam odpowiedź na czas.

Enrico Gasparri skwapliwie zgodził się z wykładnią Pacellego, podrzucając mu sprytny argument, że „Stolica Apostolska nie utrzymuje

kontaktów dyplomatycznych z rządem włoskim” (traktaty laterańskie Watykan podpisał z Mussolinim w 1929 roku). Nuncjusz w liście z 28 września 1917 roku, na trzy dni przed rozpoczęciem święta Sukot, zawiadomił kardynała Gasparriego, że sprawa liści palmowych została załatwiona odmownie: „poinformował ustnie”, „najdelikatniej, jak można”, że nic nie może w tej sprawie zrobić, mimo najszczerszych chęci. Według relacji Pacellego rabina Wernera „w zupełności przekonały powody, jakie mu podałem, i miło mi podziękował za wszystko, co dla niego zrobiłem”.

Głębia cynizmu i hipokryzji w tej korespondencji zwala zwyczajnie z nóg. Jakieś tam „żydowskie obrządki religijne” nie należą przecież do „naturalnych praw wspólnych wszystkim ludziom”, kto by więc sobie tym zawracał głowę. Ale nie można tak po prostu odmówić. Trzeba się trochę ofiarą pobawić, tak jak orki bawią się schwytaną foką, zanim ją wreszcie pożrą. Więc bardzo „uprzejmie” zwodzi się rabina, gra na czas, pozoruje działania, wymyśla preteksty, żeby rzecz całą zlekceważyć, ale w białych rękawiczkach. A wszystko załatwia się „najdelikatniej, jak można”. I rabin „miło dziękuje”. I wszyscy zdają się zadowoleni. Oprócz niemieckich Żydów, którzy w 1917 roku przez Pacellego nie mieli liści palmowych na Sukot.

[5]

Tadeusz Puder urodził się w rodzinie żydowskiej, po śmierci ojca, w wieku czternastu lat, przeszedł wraz z matką i dwoma braćmi na katolicyzm, a w 1932 roku otrzymał święcenia kapłańskie (katechumenat odbywał w Laskach). W 1938 roku, w wieku trzydziestu lat, został rektorem kościoła Świętego Jacka przy ulicy Freta w Warszawie, na miejsce księdza Stanisława Trzeciaka, który został przeniesiony do parafii Świętego Antoniego przy ulicy Senatorskiej. Ksiądz Trzeciak – jeden z najwybitniejszych przedwojennych „żydoznawców”, apologeta hitlerowskiej polityki wobec Żydów – głosił słowo Boże w swojej wersji bez skrępowania. W rozprawie *Mesjanizm a kwestia żydowska* (1934) twierdził między innymi, że „Hitler w stosunku do Żydów nic nowego nie

podaje, jak tylko czerpie wzory z Talmudu i te same prawa, jakie mieli Żydzi dla gojów, zastosowuje dla nich, tylko w łagodniejszej formie. […] Nie Hitler zatem, lecz Talmud prześladuje Żydów”. W książce *Program światowej polityki żydowskiej. Konspiracja i dekonspiracja* (1936) żarliwie bronił autentyczności *Protokołów mędrców Syjonu*. Ostatnie dzieło księdza Trzeciaka, wydane w Warszawie w 1939 roku, a zatytułowane *Talmud o gojach a kwestia żydowska w Polsce*, zostało z całym pietyzmem wznowione w 2000 roku przez Dom Wydawniczy „Ostoja” w Krzeszowicach.

W niedzielę 3 lipca 1938 roku księdza Pudra idącego na ambonę w kościele Świętego Jacka, aby wygłosić kazanie, napadł czeladnik szewski Rafał Michalski. Spoliczkował ubranego w szaty liturgiczne księdza, uderzając go dwa razy w twarz i krzycząc: „To jest Żyd!”. Wiadomość ta obiegła pierwsze strony poniedziałkowych gazet, które pisały o „świętokradczej napaści na kapłana w kościele”.

W czasie okupacji panowało przeświadczenie, że ksiądz Puder przebywa w getcie i pełni tam obowiązki duszpasterskie (pisał tak sam Emanuel Ringelblum). Jednak jego obecność w getcie jest tylko legendą. Arcybiskup Stanisław Gall, wikariusz generalny archidiecezji warszawskiej, chcąc ratować księdza Pudra, który miał „zły wygląd”, przeniósł go już 21 listopada 1939 roku do Białołęki pod Warszawą jako kapelana przy kaplicy Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi, które prowadziły tam dom dziecka zwany Bożyczynem. Sam ukrywając się w Bożyczynie, pomagał Puder w ratowaniu dzieci żydowskich. W kwietniu 1941 roku na skutek donosu (są wiarygodne relacje, że zdradził go ksiądz Trzeciak) został aresztowany przez gestapo. Dzięki zabiegom sióstr i grona przyjaciół udało się go umieścić w pozostającym pod kontrolą gestapo Szpitalu Świętej Zofii przy ulicy Żelaznej – tuż przy murze getta i dokładnie naprzeciw domu Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi. Na początku listopada 1942 roku zorganizowano jego ucieczkę. Jedni twierdzą, że ksiądz Puder opuścił się na powiązanych prześcieradłach ze szpitalnego okna i uciekł w pojemniku na śmieci, inni – że po karkołomnym zejściu po prześcieradłach na podwórko odjechał na

zawczasu przygotowanej furze z węglem. W rzeczywistości ksiądz Puder wyskoczył przez okno z parteru i wyjechał ze szpitalnego podwórka na wozie węglarskim przebrany za woźnicę. Początkowo ukrywał się u matki w Warszawie, później wrócił do domu sióstr w Białołęce. Cały czas zagrożony dekonspiracją, przebierając się w habit lub chowając w szafie podczas najść gestapo, dotrwał do wybuchu powstania warszawskiego. 18 września 1944 roku Niemcy wygnali wszystkich do Płud, gdzie siostry prowadziły dom wychowawczy dla dziewcząt. Tam doczekał wyzwolenia. 23 stycznia 1945 roku nad ranem na zasypanej gruzem ulicy Hożej przejechała go sowiecka ciężarówka wojskowa. Po czterech dniach zmarł w szpitalu na Pradze i został pochowany na cmentarzu Bródnowskim.

[6]

W międzywojennej Polsce księdza Stanisława Trzeciaka nie trzeba było przedstawiać. Płodny publicysta, przede wszystkim na gościnnych łamach „Małego Dziennika”, wydawanego przez koncern medialny ojców franciszkanów w Niepokalanowie, autor wielu książek żydoznawczych, elektryzujący słuchaczy prelegent – nie dawał ksiądz Trzeciak o sobie zapomnieć. Jego zamiłowanie do zwierząt ujawniło się ze szczególną siłą podczas sejmowej batalii o wprowadzenie całkowitego zakazu uboju rytualnego – ze względów humanitarnych oczywiście. Przeciwnicy tego nieludzkiego sposobu zabijania przez podcinanie gardeł i upuszczanie krwi stali wówczas w światowej awangardzie walki o prawa zwierząt. Liderem tej walki była Trzecia Rzesza. W listopadzie 1933 roku wprowadzono tam ustawę o ochronie zwierząt: *Tierschutzgesetz,* między innymi zakazującą eksperymentów na zwierzętach pod karą obozu koncentracyjnego i naturalnie zabraniającą uboju rytualnego. Aby zwierzętom oszczędzić zbędnych cierpień, należało przed ubojem ogłuszyć je prądem elektrycznym. Taki sposób uśmiercania uniemożliwiał rzecz jasna zachowanie koszerności mięsa. W ślad za tym rozporządzeniem poszło następne – zakaz importu mięsa koszernego. Uderzało to *de facto* w samo serce kodeksu żywieniowego religijnych Żydów, no ale czego się nie robi

dla ochrony dobrostanu zwierząt. W Polsce wniosek o zakaz uboju rytualnego został złożony w Radzie Miejskiej Warszawy już w 1928 roku, zaś w 1935 roku akcję przeciwko szechicie rozpoczęło Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. W lutym 1936 roku do sejmu wniesiono projekt ustawy o zniesieniu uboju rytualnego. Na eksperta w tej sprawie powołano księdza prałata Stanisława Trzeciaka, od 1935 roku oficjalnego rzeczoznawcę sejmowego do spraw żydów – wyznawców judaizmu. Swoją opinię w tej sprawie ksiądz Trzeciak opublikował w wersji książkowej pod tytułem *Ubój rytualny czy mechaniczny? Opinja rzeczoznawcy ks. dr. Stanisława Trzeciaka, wypowiedziana na posiedzeniu Komisji Administracyjno-Gospodarczej Sejmu Polskiego w dn. 5 marca 1936 r. pod przewodnictwem* […] *posła Kazimierza Ducha*. Projekt ustawy, który uzyskał oficjalne poparcie Episkopatu Polski, wywołał liczne protesty w kraju i na świecie. Nie tylko godził w swobody religijne obywateli Polski wyznania mojżeszowego, lecz także miał poważne skutki społeczno-ekonomiczne. Zakaz pozbawiał pracy Żydów zajmujących się ubojem, pośrednictwem handlowym i sprzedażą mięsa. Ostatecznie ustawę uchwalono z poprawkami rządowymi w marcu 1936 roku (weszła w życie z dniem 1 stycznia 1937 roku): ubój rytualny miał być całkowicie zakazany w trzech województwach, w pozostałych poważnie ograniczony. Większość posłów opowiedziała się za nowelizacją ustawy i za całkowitym zakazem szechity do 1942 roku. Niemcy, utyskujący od dawna na tak zwaną *polnische Wirtschaft*, postanowili szybko uporządkować ten bałagan legislacyjny i przyspieszyć opornie działający proces stanowienia prawa w Polsce. Wprowadzenie zakazu uboju rytualnego było jednym z pierwszych aktów prawnych władz okupacyjnych. Wydano go 26 października 1939 roku, a więc jednocześnie z powołaniem do życia Generalnego Gubernatorstwa. Jak się okazuje, okupant zrealizował plany polskich posłów trzy lata wcześniej, niż sami zamierzali to uczynić.

Księdza Trzeciaka fascynowało nie tylko nazistowskie ustawodawstwo chroniące zwierzęta, lecz także coś znacznie poważniejszego – nazistowski sposób rozumienia świata i porządkowania ziemskiej rzeczywistości. „Hitler w jego oczach realizował »opatrznościowe posłannictwo«

uratowania świata przed żydokomuną” – pisze Tomasz Szarota. Janusz Tazbir zaś dodaje, że ksiądz Trzeciak był najgorliwszym obrońcą tezy o autentyczności *Protokołów mędrców Syjonu* i widział w nich „wyjaśnienie wszystkich najważniejszych wydarzeń dziejów najnowszych”. Nic dziwnego, że szybko odnalazł z nazistami wspólny język w kwestii żydowskiej. Ten miłośnik zwierząt, germanofil i antysemita w sutannie, władający perfekcyjnie językiem niemieckim, jeździł na spotkania powstałej w 1933 roku antysemickiej organizacji Welt-Dienst, prowadzącej w Erfurcie centrum informacyjne i wydającej czasopismo. Był za te podróże karcony przez swych kościelnych przełożonych, chwalony zaś przez Niemców, którzy – kiedy już zajęli Polskę – wystawili księdzu Trzeciakowi list żelazny. Na przełomie 1939 i 1940 roku znalazł się on w grupce osób usiłujących pertraktować z okupantem w sprawie powołania proniemieckiego rządu. Te mroczne i mało znane sprawy wydobywa na światło dzienne i precyzyjnie opisuje Tomasz Szarota w książce *U progu Zagłady. Zajścia antyżydowskie i pogromy w okupowanej Europie. Warszawa, Paryż, Amsterdam, Antwerpia, Kowno*. Umizgi kolaborantów nie odniosły skutku. Niemcy nie byli zainteresowani ofertą.

Jest jednak w okupacyjnych losach księdza Trzeciaka pewna tajemnica. Zuzanna Sienkiewiczowa relacjonuje, że siostra Wanda Garczyńska, przełożona klasztoru Niepokalanek przy ulicy Kazimierzowskiej, ukrywała tam kilka żydowskich dziewczynek. Polscy rodzice żądali ich usunięcia. Siostra Garczyńska radziła się w tej sprawie księdza Trzeciaka. Zapytał on, co grozi Żydówkom, jeśli opuszczą klasztor. „Pewna śmierć” – odpowiedziała przełożona. I ten zdeklarowany antysemita, nazywający Hitlera „dobrym pasterzem”, odpowiedział: „Więc siostrze nie wolno się wahać i zastanawiać. Pierwszeństwo tu mają te małe, zagrożone Żydóweczki”. Siostra Wanda Garczyńska w 1983 roku otrzymała tytuł Sprawiedliwej wśród Narodów Świata. Ksiądz Stanisław Trzeciak został zastrzelony przez Niemców w okolicach placu Teatralnego 8 lub 9 sierpnia 1944 roku (są różne wersje). Do końca nosił przy sobie teczkę z niemieckimi dokumentami mającymi gwarantować mu bezpieczeństwo.

[7]

W tej sprawie jest dużo niewiadomych. Nie wiem, kim była Stefania K., nie znam jej nazwiska, daty urodzenia. Wiem, że podpaliła żydowski dom w Wietrzychowicach pod Tarnowem. Nie wiem, kiedy to się stało. Wiem jednak, że została zatrzymana, a 25 października 1937 roku oskarżona. W Archiwum Państwowym w Tarnowie są przechowywane materiały ze śledztwa. Ze Stefanią K. śledczy mieli problem. Jej czyn wydawał się szalony. Wystąpiono o ekspertyzę psychiatryczną. Niech przemówią dokumenty.

„Stefanię K. poddano podczas śledztwa badaniom lekarskim, mającym na celu wyjaśnienie sprawy jej ewentualnej poczytalności”. Biegli psychiatrzy orzekli:

> Badana zawsze była pobożną i gorliwą praktykującą. W tym czasie wytworzyło się u niej przekonanie, że źródłem wszystkiego złego na świecie są żydzi, gdyż rozszerzają po świecie komunizm, zwalczają religię katolicką i dążą do przewrotu społecznego. Ona więc poczuła, że Bóg ją niejako powołał do zwrócenia uwagi społeczeństwu na sprawę żydowską. Żeby dać temu wyraz i pobudzić społeczeństwo do działania, zaczęła wybijać żydom szyby, najpierw w domach prywatnych, a potem w bóżnicy. W jakiś czas potem na jarmarku w Szczurowej zrzucała żydom towar ze straganów. Badana orientuje się co do czasu, miejsca, wie dobrze, że rok ma 12 miesięcy i umie je wymienić, na zegarze zna się dobrze, wie również że przełożonym gminy jest wójt, a nad wójtem starosta, a nad tym ostatnim wojewoda, zaś na czele państwa jest prezydent. Pacierz zna dobrze, jak również dzisięcioro Bożego przykazania. Odnośnie do siódmego przykazania daje się naprowadzić, że ono znaczy także aby drugich ludzi nie krzywdzić. Wie, że żydzi potrzebują żyć, jednak niech sobie idą gdzie indziej. Badana wyraża się jasno, otwarcie i szczerze.

Wietrzychowice są osadą bardzo starą. Streszczam obszerną historię tego miejsca ze strony internetowej gminy Wietrzychowice. Powstały przypuszczalnie w trakcie trzynastowiecznej kolonizacji prowadzonej albo przez klasztor jędrzejowski, albo tyniecki. Prawdopodobnym założycielem wsi był Niemiec Dietrich (pol. Dzietrzych), od którego miejscowość wzięła nazwę. Pośrednim dowodem wczesnośredniowiecznego powstania

Wietrzychowic jest wezwanie kościoła – Świętego Leonarda – które nadawano świątyniom do połowy XIII wieku. Na przełomie XVI i XVII wieku zmieniono pierwotne, średniowieczne wezwanie kościoła na Najświętszej Marii Panny Wniebowziętej. Według istniejących zapisów w 1880 roku Wietrzychowice liczyły sto trzy domy i sześciuset trzydziestu dwóch mieszkańców, w tym osiemdziesięciu dwóch Żydów. W latach trzydziestych XX wieku liczba Żydów mogła się zwiększyć, ale raczej nie na tyle, by zabrakło w wiosce miejsca dla Stefanii K. Dlaczego więc podpaliła żydowski dom? Chciała, by Wietrzychowice były *judenrein*? Jej nienawiść do Żydów była produktem religijnego fanatyzmu, który jednak – co podkreślają biegli – nie zaburzał jej orientacji w świecie. Motywowana religijnie nienawiść do Żydów była dla Stefanii K. czymś normalnym czy naturalnym, częścią jej światopoglądu, elementem tego, co Wilhelm Dilthey określał jako *Weltanschauung*.

Stefania K. miała swój *Weltanschauung* ukształtowany w ramach religii rzymskokatolickiej, na poziomie nie tyle dogmatyki, ile praktyki katechetycznej. Wizerunek Żydów zbudowała sobie Stefania K. na podstawie kazań (być może słuchanych w kościele pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny Wniebowziętej w Wietrzychowicach), lektury pobożnych wydawnictw i prasy katolickiej. Sięgnąłem do wydawanego w Tarnowie pisma „Nasza Sprawa. Ilustrowany Tygodnik Katolicki" z jesieni 1937 roku. Na tle innych publikacji z tego kręgu „Nasza Sprawa" jest wobec Żydów stosunkowo łagodna. W numerze na Boże Narodzenie 1937 roku znalazłem długi artykuł ostrzegający w dramatycznym tonie przed przyjmowaniem posady służącej u Żydów, ponieważ katolicka dziewczyna zostanie tam natychmiast wciągnięta w bagno zgnilizny moralnej, deprawacji, zepsucia, odciągnięta od Kościoła i prawdziwej wiary, oszukana, wykorzystana (również seksualnie) i porzucona. Stefania K. mogła też przeczytać w „Naszej Sprawie", że jeśli chciałaby kupić w Tarnowie żarówkę czy naprawić radio – powinna to zrobić w „Jedynie Chrześcijańskim Przedsiębiorstwie Elektrotechnicznym Czesława Bandury" na placu Kazimierza Wielkiego. „Nasza Sprawa" zalecała także, by zdjęcia do legitymacji Stefania K. robiła tylko w „Chrześcijańskim

Zakładzie Fotograficznym »Adela«. Tarnów, ul. Krakowska 8”. Według katolickiego pisma „Nasza Sprawa” trzeba było bardzo uważać z zakupem bielizny. Na stronach tygodnika reklamuje się „Jedyna w Małopolsce rdzennie chrześcijańska Wytwórnia Bielizny Męskiej Wł. J. Steindel, Tarnów, Krakowska 27”. Rdzennie chrześcijańska wytwórnia poleca „koszule popelinowe – sportowe – nocne – pyjamy – bonjourki – kalesony – spodeńki i szarawary gimnastyczne”. Grunt to chodzić w rdzennie chrześcijańskich kalesonach.

Stefania K. nie wymyśliła sobie nienawiści do Żydów. Była nią karmiona. W Tarnowie 18 grudnia 1938 roku, w obliczu zbliżających się wyborów samorządowych, ukazała się Jednodniówka Stronnictwa Narodowego *Bojkot – owszem*, nawiązująca w tytule do głośnego powiedzenia premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego, który opowiadając się przeciw przemocy fizycznej wobec Żydów, dodawał: „ale walka ekonomiczna – i owszem”. Stefania K. była instruowana, jak ma głosować. I dlaczego.

> Uchwalone w 1938 r. ordynacje wyborcze dla samorządów nie zabezpieczają Polski przed ogromnym wpływem żydów, dając im równe prawa z ludnością polską. My zaś uważamy usunięcie żydów z rad i zarządów miejskich i użycie samorządu jako realnego narzędzia w walce o odżydzenie Polski za naczelne zadanie. […] Walcząc z rozkładowymi działaniami żydostwa, masonerii i komunizmu, stoimy mocno na gruncie moralnych zasad, które naszemu narodowi wszczepił Kościół Katolicki.

To *homagium* złożone Kościołowi katolickiemu przez ideologów Stronnictwa Narodowego jest wyrazem szacunku wobec duchowego inspiratora zajmowanej przez SN politycznej postawy. Przypomina mi się słynne zdanie kończące wiernopoddańczy adres galicyjskich konserwatystów złożony cesarzowi Franciszkowi Józefowi na sejmie w 1866 roku: „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy”.

Biegli psychiatrzy powołani w sprawie Stefanii K. byli przekonani, że podpalaczki nie pchnął do tego strasznego czynu zwykły antysemityzm. Antysemityzm bowiem uznali biegli za pewną stałą właściwość życia społecznego i politycznego tego czasu. Pisali w ekspertyzie:

> […] wynikające z jej urojenia postępki nie są tylko zwykłym antysemityzmem, którego objawy w dzisiejszych czasach często się spotyka, świadczą o tym jej listy pisane do osobistości wysoko położonych i znajdujący się w jej aktach projekt jej odezwy do Ligi Narodów, czego normalnie myślący człowiek, zwłaszcza z jej sfery, nawet by nie pomyślał.

Zdecydowanie Stefania K. nie była zwykłą antysemitką.

[8]

Kodeks Prawa Kanonicznego zabrania księżom Kościoła katolickiego należeć do partii politycznych (nie wolno być w partii – kanon 287, paragraf 2; nie wolno przyjmować urzędów świeckich – kanon 285, paragraf 3), pozostawia jednak duchownym prawo do własnych poglądów politycznych i do występowania „jako nauczyciele zasad moralnych, odnoszących się także do wymiaru publicznego czy politycznego”.

Od 25 kwietnia 1930 do 8 lutego 1945 roku nuncjuszem apostolskim w Trzeciej Rzeszy był arcybiskup Cesare Orsenigo. Michael Phayer pisze, że ten „proniemiecki, pronazistowski i antysemicki nuncjusz bez trudu dostosował się do nazistowskiego reżimu w Berlinie”. Pius XII miał w nim oddanego współpracownika, który nigdy nie zawiedzie – nie będzie zadawał zbędnych pytań, nie będzie wtykał nosa w nie swoje sprawy. W przeddzień wybuchu wojny Orsenigo raportował do Watykanu: „Cztery miliony Żydów z pewnością zrobią wszystko, co w ich mocy, aby nakłaniać innych do walki z Niemcami i im pomagać, sami jednak […] nie będą walczyć, gdyż Żydzi są samolubni i walczyć nie lubią”. A więc to jednak Żydzi rozpętali II wojnę światową, co swoim duchowym autorytetem potwierdza nuncjusz. Otóż nuncjusz Orsenigo miał asystenta księdza, który potajemnie zapisał się do NSDAP. No i dlaczego potajemnie? Po co „posiadający swoje poglądy polityczne” asystent narażał się na konflikt sumienia? Dlaczego nie wstąpił do NSDAP jawnie, z otwartą przyłbicą? Dlaczego przy podniesionej kurtynie nie mógł pić piwa ze swoimi *Parteigenossen* w Bürgerbräukeller w Monachium? Po co ta hipokryzja? W lutym 1945 roku nuncjusz Orsenigo postanowił nie czekać, aż wyzwoli

go Armia Czerwona, lecz usiłował czym prędzej znaleźć się od niej jak najdalej. Rozumiem go doskonale. Zmarł 1 kwietnia 1946 roku, w wieku siedemdziesięciu dwóch lat.

[9]

Blisko sześćdziesiąt lat po wojnie Watykan zdecydował się udostępnić historykom część tajnych archiwów z lat 1922–1933. Dzięki temu poznaliśmy list Edyty Stein do papieża Piusa XI. Pismo nosi datę 12 kwietnia 1933 roku – dwa i pół miesiąca po tym, jak Hitler został mianowany kanclerzem Trzeciej Rzeszy, a jedenaście dni po zarządzonym przez nazistowskie władze legalnym bojkocie żydowskich właścicieli sklepów, lekarzy, prawników oraz sformułowaniu przez nazistów żądań usunięcia żydowskich uczniów i studentów ze szkół i z uczelni. Akcji bojkotu towarzyszyły gwałt i przemoc. Edyta Stein była wówczas docentem w katolickim Niemieckim Instytucie Nauk Pedagogicznych w Münsterze. Prosiła usilnie papieża o interwencję w obronie prześladowanych Żydów, pochylając się „do stóp Waszej Świątobliwości, z prośbą o błogosławieństwo apostolskie”. Po paru latach potwierdziła, że papieskie błogosławieństwo otrzymała. Papież nie zrobił jednak nic ponad to.

Ekscesy podczas tego legalnego bojkotu odbiły się szerokim echem w świecie. Kościoły chrześcijańskie w Trzeciej Rzeszy (przede wszystkim protestanckie) schowały głowy w piasek i poszukiwały jakiegoś *modus vivendi* z rządzącymi nazistami. Istniejący od 1932 roku Niemieccy Chrześcijanie (Deutsche Christen) budowali narodowosocjalistyczną wersję chrześcijaństwa i na swojej fladze umieścili swastykę. Na tym tle wystąpienie Edyty Stein do papieża wyróżnia się odwagą. Ale było jedynie elementem prywatnej korespondencji, bez jakiegokolwiek skutku – poza papieskim błogosławieństwem.

Cytuję obszerne fragmenty listu Edyty Stein do Ambrogia Damiana Achillego Rattiego – papieża Piusa XI.

Ojcze Święty!

Jako dziecko narodu żydowskiego, które przez łaskę Boga od 11 lat jest dzieckiem Kościoła katolickiego, ośmielam się wyrazić przed Ojcem chrześcijaństwa to, co boli miliony Niemców. Od tygodni jesteśmy w Niemczech świadkami czynów, które urągają wszelkiej sprawiedliwości i człowieczeństwu, nie wspominając już o miłości bliźniego. Przez całe lata narodowosocjalistyczni przywódcy głosili nienawiść do Żydów. Ten zasiew nienawiści wzeszedł, odkąd dostali w ręce rządowy aparat przemocy i uzbroili swoich stronników, wśród których niewątpliwie są elementy przestępcze.

Niedawno rząd przyznał, że dochodzi do ekscesów. Jaka jest ich skala, nie możemy sobie wyobrazić, bo opinia publiczna jest zakneblowana. Ale oceniając na podstawie tego, co można dowiedzieć się tylko przez kontakty osobiste, nie chodzi w żadnym razie o odosobnione, wyjątkowe przypadki. […]

W ostatnim tygodniu powiadomiono mnie przez prywatne źródła o pięciu przypadkach samobójstw na skutek tych prześladowań. Jestem przekonana, że chodzi tu o powszechne zjawisko, które pochłonie jeszcze wiele ofiar. Można żałować, że nieszczęśnicy nie mają już więcej wewnętrznej siły, by dźwignąć swój los. Odpowiedzialność spada jednak w dużej mierze na tych, którzy doprowadzili ich do ostateczności, a także na tych, którzy milczą w tej sprawie.

Wszystko, co się stało i co się dzieje każdego dnia, pochodzi od rządu, który nazywa siebie „chrześcijańskim". Od tygodni nie tylko Żydzi, ale i tysiące wiernych katolików w Niemczech i, jak myślę, na całym świecie czekają i żywią nadzieję, że Kościół Chrystusowy podniesie głos, by położyć kres nadużywaniu imienia Chrystusa. Czy to ubóstwienie rasy i państwowej przemocy, które codziennie radio wbija masom do głów, nie jest jawną herezją? Czy walka niosąca eksterminację żydowskiej krwi nie jest obelgą dla przenajświętszego człowieczeństwa naszego Odkupiciela, Najświętszej Dziewicy i Apostołów? Czy to wszystko nie stoi w drastycznej sprzeczności z postępowaniem naszego Pana i Zbawiciela, który jeszcze na krzyżu modlił się za swoich prześladowców?

Edyta Stein zadaje papieżowi te wszystkie pytania dokładnie dziewięćdziesiąt dziewięć dni przed znamienną w dwudziestowiecznej historii Kościoła katolickiego datą, czyli przed zawarciem Reichskonkordatu między Stolicą Apostolską a Trzecią Rzeszą, który w Rzymie 20 lipca 1933 roku podpisali: w imieniu papieża Piusa XI – watykański sekretarz stanu Eugenio Pacelli (późniejszy Pius XII), a w imieniu prezydenta Paula von Hindenburga – wicekanclerz Trzeciej Rzeszy Franz von Papen. Adolf Hitler na mocy przyjętej

1 sierpnia 1934 roku Ustawy o Naczelniku Rzeszy Niemieckiej połączył urząd prezydenta i kanclerza, stając się Führerem. Obie strony były wówczas z Reichskonkordatu zadowolone. Zatem dramatyczne pytania Edyty Stein znalazły wkrótce odpowiedź płynącą z Rzymu – ze Stolicy Piotrowej, na której zasiada zastępca Chrystusa na ziemi: to, co się dzieje w Trzeciej Rzeszy, nie jest jawną herezją, nie jest obelgą dla Odkupiciela, Najświętszej Dziewicy i Apostołów oraz nie stoi w sprzeczności z nauką Chrystusa.

Kończąc swój list do papieża, Edyta Stein pisała:

> My wszyscy, którzy jesteśmy wiernymi dziećmi Kościoła i z otwartymi oczami patrzymy na sytuację w Niemczech, obawiamy się, że jeśli milczenie będzie trwało dłużej, wizerunek Kościoła będzie jak najgorszy. Jesteśmy również przekonani, że to milczenie nie będzie w stanie okupić na dłuższą metę pokoju z obecnym niemieckim rządem.

W ustach mistyczki zafascynowanej dziełami Świętego Jana od Krzyża jest to nadspodziewanie trzeźwa i realistyczna ocena sytuacji.

Już u progu nazistowskich prześladowań prowadzących do *Endlösung der Judenfrage* Edyta Stein podniosła protest skierowany do najwyższego zwierzchnika Kościoła katolickiego. Apel o działanie, apel o zaangażowanie autorytetu Kościoła i Stolicy Apostolskiej w obronie Żydów. Nie tylko Żydów katolików, ale wszystkich Żydów. Błagała o przerwanie milczenia. Na próżno. W tej sztuce milczenia ćwiczyć się będzie wytrwale przez lata wojny papież Pius XII, sygnatariusz Reichskonkordatu. Obszerny życiorys Edyty Stein zamieszczony na internetowych stronach watykańskich nie wspomina ani słowem o tym liście. Ciekawe dlaczego? To przecież bardzo piękny przyczynek do życiorysu świętej męczennicy Kościoła.

Edyta Stein 15 kwietnia 1934 roku wstąpiła do klasztoru i została karmelitanką, przybierając imię siostry Teresy Benedykty od Krzyża, *Benedicta a Cruce*, czyli „Pobłogosławiona przez Krzyż”. Miała szczególne nabożeństwo do krzyża Chrystusa. W 1938 roku pisała:

> Pod krzyżem zrozumiałam los Ludu Bożego, którego zapowiedź już wówczas [chodzi o 1933 rok, czas objęcia władzy przez nazistów – przyp. J. L.] zaczęła się pojawiać. Myślałam, że zrozumieją, iż jest to Krzyż Chrystusowy, który muszą przyjąć na siebie w imieniu wszystkich. Dzisiaj z pewnością wiem więcej o tym, co znaczy zawrzeć ślub z Panem w znaku Krzyża. Z pewnością nigdy nie będzie można tego pojąć, jest to bowiem tajemnica.

Z pewnością jest to tajemnica nie do pojęcia przede wszystkim dla kogoś, kto jest poza chrześcijaństwem, tak jak miliony Żydów, wyznawców judaizmu, przeznaczonych na Zagładę. A to niewątpliwie o nich myślała Edyta Stein, pragnąc, by pojęli i przyjęli znak krzyża Chrystusa jako szansę. W 1941 roku pisała: „*Scientia Crucis* (naukę o Krzyżu) można pozyskać dopiero wtedy, gdy dokładnie poczuje się Krzyż. Od pierwszej chwili byłam o tym przekonana i mówiłam z głębi serca: *Ave, Crux, Spes unica* (bądź pozdrowiony, Krzyżu, nasza jedyna nadziejo)". Jej rozprawa na temat Świętego Jana od Krzyża, ostatnia rzecz, jaką napisała w życiu, w klasztorze w Echt w Limburgii (Holandia), nosi tytuł *Wiedza Krzyża*.

W ostatnim dniu 1938 roku siostra Teresa Benedykta od Krzyża została przeniesiona do klasztoru karmelitańskiego w Echt. Holendrzy znaleźli w sobie tyle odwagi i determinacji, by protestować publicznie przeciwko pierwszym dekretom antyżydowskim z jesieni 1940 i początku 1941 roku. Kościoły protestanckie sprzeciwiały się rozkazowi wydalania Żydów ze służby publicznej i z wyższych uczelni. Studenci zastrajkowali. Niemcy w odwecie aresztowali czterystu Żydów i otoczyli dzielnicę żydowską w Amsterdamie drutem kolczastym, ale dalsze działania prowadzili już w sposób bardziej zakamuflowany. Deportacje Żydów na większą skalę rozpoczęły się w lipcu 1942 roku i trwały trzy miesiące. Kościoły protestanckie i katolicki wystosowały wspólny telegram protestacyjny do Arthura Seyssa-Inquarta, komisarza Rzeszy w Holandii. Treść dokumentu odczytano we wszystkich świątyniach katolickich oraz w części zborów protestanckich. W odwecie Seyss-Inquart nakazał aresztowanie Żydów ochrzczonych w Kościele katolickim i deportowanie ich do Auschwitz w pierwszej kolejności. To wydarzenie stanie się usprawiedliwieniem

milczenia Piusa XII, rytualnie podnoszonym przez hagiografów przy każdej okazji.

Po Edytę Stein gestapo przyszło 2 sierpnia 1942 roku. Przewieziono ją najpierw do obozu przejściowego w Amersfoort, później do Westerbork. Najprawdopodobniej 9 sierpnia została zagazowana i spalona w krematorium Auschwitz-Birkenau.

W myśleniu o Auschwitz z perspektywy chrześcijańskiej pojawiają się nieodmiennie dwie emblematyczne postacie: Maksymilian Kolbe i Edyta Stein. Oboje zginęli straszną śmiercią w Auschwitz. Kolbe w bunkrze głodowym, ponieważ ofiarował swoje życie za życie innego więźnia. Stein w komorze gazowej, ponieważ była Żydówką. Maksymilian Kolbe był franciszkaninem i antysemitą. Edyta Stein była konwertytką, karmelitanką i filozofką, uczennicą Edmunda Husserla. Oboje – i Kolbe, i Stein – zostali uznani za świętych i męczenników Kościoła katolickiego, oboje byli kanonizowani przez Jana Pawła II: Maksymilian Kolbe w 1982 roku, Edyta Stein w 1998 roku. Parę dni przed beatyfikacją Edyty Stein w 1987 roku Jan Paweł II mówił w telewizyjnym przesłaniu do Niemców o przyszłej błogosławionej: „Została zamordowana jako Żydówka katoliczka w obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau. W Auschwitz zamordowano również mego rodaka, ojca Maksymiliana Kolbego” – wynosząc niejako na ołtarze (dosłownie i w przenośni) właśnie te dwie ikony Auschwitz.

W homilii podczas beatyfikacji Edyty Stein 1 maja 1987 roku papież mówił o piecach krematoryjnych, w których „znalazło śmierć wiele milionów synów i córek Izraela, od dzieci aż do siwowłosych starców. […] Edyta Stein zginęła w obozie zagłady w Auschwitz jako córka swego udręczonego narodu”. W modlitwach wyznawała Chrystusowi, że wie o tym, „iż to Jego krzyż został teraz nałożony na naród żydowski”, a wszyscy, którzy są w stanie to zrozumieć, „winni wziąć ten krzyż dobrowolnie na siebie w imieniu wszystkich”. I dalej mówił papież:

> Im częściej można było widzieć na ulicach swastyki, tym mocniej osadzał się krzyż Jezusa Chrystusa w jej życiu. […] Jako *Benedicta a Cruce*, czyli „Pobłogosławiona przez Krzyż”, chciała nieść krzyż wraz z krzyżem Chrystusa za zbawienie swego narodu, swego Kościoła, całego świata. Złożyła siebie Bogu jako „ofiarę przebłagalną

za prawdziwy pokój” i przede wszystkim za jej zagrożony i upokorzony naród żydowski.

Determinacja Edyty Stein, aby zbawić cały naród żydowski przez krzyż Chrystusa, była więc ogromna.

Nabożeństwo Edyty Stein do Chrystusowego krzyża być może pomaga w jakiś sposób zrozumieć inwazję krzyży na oświęcimskim żwirowisku, tę prawdziwą Chrystusową szarżę, którą poprowadził Kazimierz Świtoń w 1998 roku i do której dołączyli się inni obrońcy krzyża. Zapewne o Edycie Stein nie mieli pojęcia, tym bardziej o Husserlu.

[10]

Kościoły chrześcijańskie w Trzeciej Rzeszy były bezradne wobec potęgujących się z każdym rokiem prześladowań Żydów. Wybrały przyzwolenie i milczenie. Pojedyncze odważne wystąpienia biskupów, kapłanów czy pastorów są świadectwem ich indywidualnej, często heroicznej postawy. Metropolita wrocławski kardynał Adolf Bertram był hierarchą uległym, składał co roku życzenia imieninowe swemu imiennikowi Adolfowi Hitlerowi. Biskup Berlina kardynał hrabia Konrad von Preysing miał odwagę, by wystosować memoriał do biskupów, przypominając, że światopogląd NSDAP stoi w całkowitej sprzeczności z katolicyzmem. Ewangelicki ksiądz Julius von Jan z Oberlenningen tuż po nocy kryształowej wygłosił kazanie, w którym komentował pogrom, nawiązując do Księgi Jeremiasza: „Zachowajcie prawo i sprawiedliwość, ratujcie ograbionych od ręki hańbiącego! […] Jeśli jedni muszą milczeć, a inni nie chcą mówić, to mamy dziś rzeczywiście powód do obchodzenia dnia pokuty, dnia żałoby za nasze i naszego narodu grzechy”. Zwierzchnicy księdza nabrali wody w usta i zdystansowali się od tego kazania. Kaznodzieja zapłacił za swą odwagę kilkoma latami więzienia. Nikt go nie bronił. Wśród wszystkich instytucji religijnych w Trzeciej Rzeszy tylko pruski konsystorz Kościoła Wyznającego (Bekennende Kirche) zdobył się na publiczny protest przeciwko prześladowaniu Żydów. Protest ten odczytano z ambon w 1943 roku, a więc o wiele za późno – podkreśla

historyk Trzeciej Rzeszy Richard Grunberger i komentuje, że odezwa została wygłoszona w momencie, „kiedy jedyną rozsądną reakcją na wydarzenia mógł być już tylko lament, a nie protest”.

Ogromnie dużo energii poświęcali ewangelicy niemieccy na zdefiniowanie, zgodnie ze standardami narzuconymi przez nazistów, kto może, a kto nie może być członkiem wspólnoty ewangelickiej. Chodziło oczywiście o konwertytów. Pod naciskiem władz Kościoły zaczęły pozbywać się swych wyznawców pochodzenia żydowskiego. Warto w tym kontekście przywołać anegdotyczną opowieść zamieszczoną we wrocławskim tygodniku „Evangelischer Ruf” z 14 października 1933 roku (cytuję za książką Anny Wolff-Powęskiej). Odprawiający nabożeństwo ksiądz zwraca się od ołtarza do wiernych: „»Niearyjczycy są proszeni o opuszczenie kościoła«. Nikt się nie porusza. »Niearyjczycy są proszeni o opuszczenie kościoła«. Znowu cisza. »Niearyjczycy są proszeni o natychmiastowe opuszczenie kościoła«. Wówczas Jezus schodzi z krzyża i opuszcza kościół”.

Obraz schodzącego z krzyża Jezusa Żyda odnajdujemy również w opowiadaniu Szaloma Asza *Chrystus w getcie*. Rzecz dzieje się w getcie warszawskim, w kościele Wszystkich Świętych na placu Grzybowskim. Gestapowcy wprowadzili grupę Żydów do kościoła.

> Rozpięty na krzyżu Jezus zajmował pół ściany. […] Głowa Jezusa zwisała na piersi. Twarz, niezbyt artystycznie zarysowana, wyrażała ból. […] Odłamek pocisku oderwał posągowi jedną rękę i, o dziwo, ręka ta z dziurą w dłoni nie spadła, tylko zawieszona została niewidzialną nicią w powietrzu. I ta wisząca w powietrzu ręka ożywiała figurę.

Gestapowiec, wskazując na figurę Chrystusa, mówi do Żydów: „To wasz wróg, nieprawdaż? On jest też naszym wrogiem. Możecie z nim zrobić, co tylko chcecie”. Rozkazuje, by zdjęli ze ściany figurę i zniszczyli ją. Wybrany do tej roboty stary Żyd nazywany rabinem nie wykonuje rozkazu i zostaje zastrzelony. Wnętrze kościoła pustoszeje. Promień światła pada na wiszącego na krzyżu Chrystusa i leżące pod krzyżem ciało zabitego Żyda.

> I nagle figura na krzyżu ożyła. Najpierw ożyła twarz, a w ślad za nią korpus. Drewno figury zmieniło się w ludzkie ciało. […] I oto mąż na krzyżu uwolnił drugą rękę od

> gwoździa. Nogi jakoś same się uwolniły i powoli zszedł na ziemię. […] Żywy Jeszua stanął przy zabitym rabinie. Zdjął z niego ubranie i powoli zaczął je nakładać na siebie. […] Nie zapomniał również nałożyć na rękaw biało--niebieskiej opaski z Tarczą Dawida. Na koniec wziął zakrwawiony tałes i jednym machnięciem strząsnął z niego krew. Tałes w cudowny sposób stał się bielutki jak dopiero co spadły śnieg. […] Twarz Jeszuy była teraz kropla w kroplę podobna do twarzy rabina. […] I Jezus z twarzą rabina kieruje się ku drzwiom kościoła. Powolnym krokiem przechodzi przez długie rzędy pustych ławek, aż dochodzi do masywnych drzwi. Otwiera je i wychodzi na ulicę.

Jezus, który zszedł z krzyża w kościele Wszystkich Świętych, podążał ulicami getta, aż wszedł do jednego z mieszkań i „przywitał domowników słowami, jakimi pozdrowił swoich uczniów po tym, jak zmartwychwstał: Szalom Alejchem!”.

[11]

Wieści o pogromie Żydów w Trzeciej Rzeszy w nocy z 9 na 10 listopada 1938 roku, nazwanym nocą kryształową, szybko dotarły do Polski i przedostały się na łamy prasy. Nie znano wtedy jeszcze bilansu ofiar. Oddziały szturmowe SA i SS wraz z ulicznym tłumem zamordowały (według niemieckiego historyka Petera Longericha) dziewięćdziesięciu jeden Żydów. Do ofiar śmiertelnych trzeba jeszcze doliczyć niedającą się dokładnie określić liczbę samobójców, a także setki Żydów, którzy zostali zabici bądź zmarli w następnych tygodniach i miesiącach w obozach koncentracyjnych. Rezultatem nocy kryształowej było bowiem wtrącenie do Dachau, Buchenwaldu i Sachsenhausen około trzydziestu tysięcy Żydów. Spalono wtedy setki synagog – w opracowaniach spotyka się liczbę od dwustu sześćdziesięciu siedmiu (*Encyclopedia of the Holocaust,* 1990) aż do tysiąca (Encyclopaedia Britannica Online), zniszczono i obrabowano około siedmiu i pół tysiąca sklepów.

Dziennik „ABC”, który specjalnymi anonsami zapewniał swoich czytelników niemal w każdym numerze, że „walczy o Polskę bez Żydów”, że „przyjmuje ogłoszenia tylko firm chrześcijańskich i współpracuje tylko z chrześcijańskimi biurami ogłoszeń”, reklamując na przykład

„chrześcijańskie skarpetki i bieliznę trykotową” firmy Sarmatia (w numerze z 13 listopada 1937 roku) czy „jedyne kąpiele chrześcijańskie Nowy Świat 23/25” (w numerze z 10 listopada 1938 roku) – już 9 listopada 1938 roku miał wyrobione zdanie na temat tego, co się działo. Tytuł na całą kolumnę: *Żydzi w Niemczech odpokutują za zbrodniczy czyn Grinszpana*. 11 listopada gazeta informowała: „Trzy synagogi płoną w Berlinie”. Na tej samej stronie czytamy o żydowskiej prowokacji na terenie Wyższej Szkoły Budowy Maszyn w Warszawie. Korespondent donosił, że „o przygotowaniu prowokacji świadczy fakt znalezienia na sali wzajemnej pomocy studentów żydów 6 pałek gumowych i petard”. Ta żydowska agresja została mężnie odparta – „w czasie zajść pobito kilku żydów”. 18 listopada „ABC” zrobiło „przegląd prasy żargonowej o zamachu Grinszpana” i doszło do wniosku, że „Żydzi marzą o zemście”. Katolicki „Mały Dziennik”, wydawany – przypomnijmy – przez koncern medialny ojców franciszkanów z Niepokalanowa, 10 listopada pisał: „Blady strach ogarnął żydów po zamachu w ambasadzie niemieckiej w Paryżu”. Dzień później w krzyczącym nadtytule czytamy: *Obłąkani żydzi niezaspokoili* [!] *się krwią trzeciorzędnego urzędnika*, 17 listopada zaś organ prasowy ojca Maksymiliana Kolbego bił na alarm: „Żydowska organizacja terrorystyczna miała mordować przedstawicieli Niemiec za granicą”. Z kolei w numerze z 21 listopada dowiadujemy się, że „W niedzielę 20 bm. nastąpiło w Warszawie otwarcie tygodnia filozoficzno-religijnego na temat: »Z zagadnień nowoczesnego rasizmu«. Cykl odczytów zagaił J. E. Ks. Bp Szlagowski”.

Redaktorem naczelnym narodowo-katolickiego „Głosu Narodu” był od 1936 do lipca 1939 roku ksiądz Jan Piwowarczyk (od lipca do września 1939 roku gazetą kierował Jerzy Turowicz). Ksiądz Piwowarczyk zamieścił w numerze z 16 listopada 1938 roku redakcyjny komentarz dotyczący wydarzeń w Trzeciej Rzeszy i ich konsekwencji politycznych, społecznych, gospodarczych. To poważny tekst, zajmujący dwie trzecie pierwszej strony. Redaktor naczelny wyraża w nim zrozumienie dla „gniewu narodu niemieckiego z powodu zbrodni Grünszpana. Mord był dokonany z zimną krwią i miał charakter zemsty. […] Z tego względu nie

można się dziwić wybuchowi oburzenia w III Rzeszy i demonstracjom”. Redaktor naczelny zdaje sobie również sprawę, że „III Rzesza jest w trakcie zrywania więzów, które życiu gospodarczemu i kulturalnemu Niemiec nałożyli Żydzi. Nie zawsze możemy pochwalać metody tej akcji, ale uznajemy jej cel: wyzwolenie Niemiec z niewoli żydowskiej”. Według księdza Piwowarczyka noc kryształowa była zatem jednym z ogniw walki Niemiec z niewolą, w jaką wtrącili ten potężny kraj Żydzi. To wyzwalanie się z niewoli żydowskiej przebiegało bardzo gwałtownie. Władze niemieckie powinny hamować ekscesy, ale niestety tego nie robiły. Oczywiście jako ksiądz katolicki Piwowarczyk nie pochwala metod (przemoc, niszczenie, podpalanie, zabijanie), ale cel jest – jego zdaniem – słuszny! Dalej ksiądz Piwowarczyk zastanawia się nad „moralnością środków”, których władze Trzeciej Rzeszy używają, by wyzwolić się z żydowskiej niewoli. Miliardowa kontrybucja, konfiskata majątków, masowe więzienie Żydów w obozach koncentracyjnych – to się nie mieści w granicach chrześcijańskiej moralności. I chociaż „życie publiczne ulega barbaryzacji”, to musimy się wszyscy przed nią bronić. Jedyną obroną jest „ogólny zwrot ku etyce chrześcijańskiej”, konkluduje redaktor naczelny i dodaje: „nie ma odrębnej etyki dla Niemców, a odrębnej dla Żydów”. Żeby jednak ta konstatacja nie zabrzmiała zbyt ogólnikowo i defetystycznie, ksiądz Piwowarczyk przechodzi do omówienia „żydowskiej taktyki”. Przytoczmy stosowny fragment:

> Oto od lat już kilku w Niemczech sroży się prześladowanie żydów. Od lat paru prowadzi III Rzesza eksterminacyjną walkę z żydostwem. Co żydzi robią? Część z nich opuściła ten „dom niewoli”, ale znaczna ich część pozostała i dalej próbuje prowadzić swoje interesy. Równocześnie światowe żydostwo raz po raz podnosi gwałt wobec całego świata i rzuca na Hitlera klątwy. Nie rozumiemy tej taktyki żydów… Żydzi są „gośćmi” na ziemi niemieckiej. Tak samo jak są „gośćmi” na polskiej ziemi. Gościna została im wymówiona. Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Cóż w takim razie pozostaje im innego, jeśli nie likwidacja interesów (choćby ze stratą) i – emigracja? Część żydów niemieckich to zrobiła. Ale nie wszyscy. Dlaczego? Dlaczego tkwią jeszcze ciągle w państwie, które ich nie chce? Czy robiąc to, sami nie wyzywają prześladowców?

Ksiądz Piwowarczyk wyprowadził taką oto naukę z pogromu nocy kryształowej. Niemieccy Żydzi są sami sobie winni. Nie dość, że niewolą gospodarczo i kulturalnie Trzecią Rzeszę, że jako niechciani „goście" uparcie nie wyjeżdżają z kraju, który ich nie chce, a swoją krnąbrną obecnością prowokują broniących się przed zniewoleniem Niemców, to jeszcze podnoszą krzyk na cały świat, kiedy ich biją. Co zatem – według księdza Piwowarczyka – powinni zrobić teraz Żydzi? Powinni przede wszystkim przestać protestować! Zamiast protestować, powinni Żydzi „zrobić szybki obrachunek swojej sytuacji" i jak najszybciej emigrować. Z Niemiec, z Polski, z całej Europy. Gdzieś daleko, ale nie do Palestyny („Żydzi uparli się przy tej Palestynie i – ani rusz – nie chcą o innym miejscu zamieszkania myśleć. Nonsens!"). Swój redakcyjny wstępniak poświęcony nocy kryształowej kończy ksiądz Piwowarczyk znamiennym zdaniem: „Dla żydów biją godziny historii. Niech nie zwlekają z decyzjami!". Memento? Ostrzeżenie? Dobra rada? Przepowiednia? Dokładnie za dziewięć i pół miesiąca wybuchnie wojna i Niemcy ostatecznie rozwiążą kwestię żydowską w Polsce i w okupowanej przez siebie Europie.

Kim był ksiądz Jan Piwowarczyk? Andrzej Synowiec, historyk prasy, odpowiada: „był krakowskim księdzem, dziennikarzem, nauczycielem akademickim oraz znawcą i propagatorem katolickiej nauki społecznej. Należał do Chrześcijańskiej Demokracji oraz był jednym z jej czołowych ideologów. Można zaliczyć go w poczet najwybitniejszych publicystów katolickich dwudziestolecia międzywojennego". W 1932 roku uzyskał doktorat na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego na podstawie pracy *Kryzys społeczno-gospodarczy w świetle katolickich zasad*. W 1934 roku kardynał August Hlond powołał go do Rady Społecznej przy Prymasie Polski. Ksiądz Piwowarczyk był jedną z najbardziej zaufanych osób kardynała Adama Stefana Sapiehy, który we wrześniu 1939 roku uczynił go rektorem konspiracyjnego Arcybiskupiego Seminarium Duchownego. W październiku 1942 roku został aresztowany i zamknięty w osławionym więzieniu krakowskim na Montelupich. Dzięki staraniom

Sapiehy gestapo wypuściło go w styczniu 1943 roku. Jeszcze w 1942 roku przyjął do seminarium Karola Wojtyłę. Po wojnie

> zorganizował z polecenia Sapiehy nowe pismo „Tygodnik Powszechny". W ciągu pierwszego roku istnienia pisma przekazywał sukcesywnie funkcję redagowania tygodnika Jerzemu Turowiczowi, pozostając asystentem kościelnym oraz głównym autorytetem w sprawach politycznych, społecznych i gospodarczych. […] Ostatni tekst niestrudzonego redaktora w „Tygodniku Powszechnym" ukazał się na Wielkanoc 1959 roku, tj. pół roku przed śmiercią

– podaje Synowiec.

W dodatku specjalnym z okazji sto pięćdziesiątej rocznicy urodzin kardynała Adama Sapiehy („Tygodnik Powszechny" z 14 maja 2017 roku) Artur Sporniak pyta księdza profesora Jacka Urbana, kierownika Katedry Historii XIX i XX wieku na Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II w Krakowie i dyrektora Archiwum Krakowskiej Kapituły Katedralnej – kim był ksiądz Piwowarczyk.

> Człowiekiem bardzo skromnym, nienarzucającym się, chcącym pozostawać w cieniu. […] był wielkim znawcą katolickiej nauki społecznej […]. Interpretuje tę naukę w nowatorski sposób, dlatego ma kłopoty z władzami UJ, które w 1933 r. odbierają mu wykłady. […] tłumaczy i komentuje wielkie encykliki społeczne: *Rerum novarum* i *Quadragesimo anno*. Uważa, że państwo ma obowiązek troski o robotników, zapewnienia im godziwych warunków pracy i sprawiedliwej płacy, a Kościół powinien umożliwić im stowarzyszanie się. Jest także za radykalną reformą rolną, która część ziemi wielkich posiadaczy ziemskich oddawałaby rozdrobnionym gospodarstwom chłopskim. Nazywano go „czerwonym prałatem".

Ksiądz profesor Urban dodaje, że ksiądz Piwowarczyk jest dziś mało znany. To prawda. Warto lepiej poznać walkę z Żydami, którą prowadził ten „wielki znawca katolickiej nauki społecznej" na łamach redagowanego przez siebie „Głosu Narodu". Nie dowiemy się o tym z rozmowy w „Tygodniku Powszechnym". Tam nie pada w ogóle słowo na „Ż".

Podaję jedynie skromny wybór poglądów księdza Piwowarczyka na temat Żydów. Szydził z tego, że polscy Żydzi śmieli twierdzić, że „przelewali krew za Polskę", a przecież wiadomo, że patriotyzm „jest obcy

duszy żydowskiej”. Na te żydowskie uzurpacje odpowiadał jasno i wyraźnie: „Gdyby prawa żydów w Polsce ograniczały się do praw wynikających z tego »przelewania krwi« za Polskę, to żydzi nie mieliby żadnych praw”. Ksiądz Piwowarczyk jest antysemitą oświeconym, demokratycznym i chrześcijańskim, więc dodaje wielkodusznie: „Ale się do tego »faktu« nie ograniczają. I w tem jest szczęście dla żydów. Nasza etyka i nasza konstytucja gwarantuje im prawa lokatora i te im pozostaną tak długo, jak długo nie nastąpi ich emigracja z Polski” („Głos Narodu” z 13 sierpnia 1936 roku). Asymilacja nie jest bowiem rozwiązaniem kwestii żydowskiej, jest nim tylko masowa emigracja – to stały motyw publicystyki księdza Piwowarczyka. O tym, że Żydzi powinni z Polski wyjechać, pisało przed nim bardzo wielu. Nic w tym oryginalnego. Postulat, by sami Żydzi finansowali swoją emigrację, też nie jest nowy. Ksiądz Piwowarczyk był przekonany, że Żydzi zagrażają niepodległej Rzeczypospolitej, że infekują zdrowy organizm narodowy żydowskimi miazmatami. Mają zgubny wpływ na wszystko, czego się tkną. Dlatego muszą Polskę opuścić. W artykule pod tytułem *Także żydowski rasizm…*, zajmującym połowę pierwszej strony „Głosu Narodu” z 22 maja 1938 roku, dowodzi:

> Antysemityzm niemiecki, jak każdy zresztą antysemityzm, jest reakcją na zakusy żydostwa, na jego plany i na jego zdobycze w dziedzinie kulturalnej i gospodarczej. – Gdyby w Niemczech nie było żydów, to by nie było także antysemityzmu. Antysemityzm jest zawsze skutkiem, którego przyczyną zawsze jest żydowski imperializm.

Lekarstwem na całe zło jest więc zniknięcie Żydów. Nie ma Żydów, nie ma antysemityzmu oraz hitleryzmu, bo za hitleryzm według księdza Piwowarczyka także odpowiedzialni są Żydzi („Głos Narodu” z 8 października 1936 roku).

Był ksiądz Piwowarczyk wytrawnym znawcą „duszy żydowskiej”, potrafił ją przeniknąć. Dusza to kramarska, której „interes” i „zysk” przesłaniają wyższe wartości. Czy może być inaczej, skoro „żydzi stracili poczucie przyzwoitości w stosunku do siebie”? Dusza żydowska nie zmieniła się od czasów Mojżesza.

> Naród Złotego Cielca sprzed paru tysięcy lat pozostał narodem Złotego Cielca. […] Pieniądze, interes i zysk – stanowi duszę tego narodu […]. To tłumaczy zachowanie się żydów i w stosunku do katolików, którym chcą dostarczać artykułów kultu religijnego, i w stosunku do Hitlera, któremu łatwo przebaczają prześladowanie, byle tylko zechciał wejść z nimi w stosunki handlowe. […] Kult Złotego Cielca kwitnie w tym narodzie w najlepsze. („Głos Narodu” z 25 marca 1937 roku)

Duszę żydowską tak naprawdę ożywia nie tyle kult złotego cielca, ile nienawiść do Chrystusa, którego Żydzi z nienawiści właśnie ukrzyżowali. Przez „nagą duszę żydostwa przemówiła odwieczna nienawiść Izraela do Chrystusa”. W ten sposób po trzydziestu ośmiu latach od ogłoszenia przez Stanisława Przybyszewskiego manifestu nowej sztuki *Confiteor* ksiądz Piwowarczyk aplikuje pojęcie „nagiej duszy” do żydoznawstwa. Z mocą oznajmia: „Nie ma innej, jest tylko ta jedna naczelna siła, która ożywi żydostwo – nienawiść do Chrystusa!”. I dlatego program asymilacji jest groźną utopią. Najbardziej nawet „zasymilowany” Żyd zawsze Żydem pozostanie. Tu ksiądz Piwowarczyk dworuje sobie z profesora Szymona Aszkenazego, który „może sobie być w najlepszych stosunkach z naszą lewicą, gdy jednak przyjdzie święto Jom Kippur, zapomni o asymilacji i pójdzie z masą żydostwa wytrząsać grzechy nad wodą”. Podobnie dostało się innym znanym asymilatorom, ja zaś zwracam uwagę na inwencję językową kapłana, z jednej strony żądającego od Żydów szacunku dla katolickiego kultu religijnego, a z drugiej piszącego, że w Jom Kippur żydostwo „wytrząsa grzechy nad wodą”. Czemu tu się dziwić, skoro to żydostwo karmi się „najobskurniejszą księgą na świecie”, czyli Talmudem? I to wszystko pomieszczone w jednym artykule *Prawdziwe oblicze „duszy” żydostwa* („Głos Narodu” z 15 stycznia 1926 roku).

Historycy i publicyści katoliccy są dla namiętnej antyżydowskiej publicystyki księdza Piwowarczyka bardzo wyrozumiali. Jeśli już o niej wspominają, mają jedno wytłumaczenie: no tak, niezbyt ładnie to brzmi, ale takie były czasy. Poza tym ksiądz Piwowarczyk nie wiedział wtedy, że wydarzy się Holokaust. To rzeczywiście okoliczność usprawiedliwiająca – nie wiedzieć przed Holokaustem o Holokauście. Ksiądz Piwowarczyk, inni księża „żydoznawcy”, a także świeccy antysemici deklarujący się jako

prawdziwi katolicy nie przewidzieli, że Niemcy zgładzą sześć milionów europejskich Żydów. Nikt z nich nie wiedział, że zostanie zwołany sobór watykański II, a 28 października 1965 roku zostanie ogłoszona deklaracja *Nostra aetate* o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich i jej punkt czwarty, dotyczący postawy Kościoła wobec judaizmu i Żydów. Żyli oni wszyscy naprawdę w innej epoce (incipit deklaracji *Nostra aetate* znaczy: „W naszej epoce"). Ale przecież – o ile się nie mylę – Ewangelia była taka sama jak dziś, Pan Jezus nauczał o tym samym, przykazanie miłości bliźniego obowiązywało tak samo, jak dziś obowiązuje, przypowieść o miłosiernym Samarytaninie nie została ujawniona dopiero przez ojców soboru watykańskiego II, lecz była znana od niemal dwóch tysięcy lat. Myśląc o tym, po raz kolejny przekonuję się, jaką potęgą jest sztuka interpretacji. A swoją drogą, jestem bardzo ciekawy, w jaki sposób ksiądz Piwowarczyk przyjąłby deklarację *Nostra aetate* uchwaloną sześć lat po jego śmierci. Za życia niewątpliwie o niej nie wiedział.

Zastanawia mnie słowo „gość" w artykule księdza Piwowarczyka o nocy kryształowej. Żydzi to gość niechciany, który nadużywa gościnności. A nawet bardzo gościnny i wyrozumiały gospodarz może się w końcu zdenerwować i stracić cierpliwość. Niemcy oczywiście przesadzają. Nam, Polakom-katolikom, to się nie podoba. Ale nasza gościnność i nasza cierpliwość też mają swoje granice. Jest takie stare porzekadło: „Gość w dom, Bóg w dom". Najwyraźniej jednak nie do wszystkich gości się ono stosuje.

Siedem lat po napisaniu komentarza do nocy kryształowej ksiądz Piwowarczyk pod skrzydłami kardynała Sapiehy założył w marcu 1945 roku pismo społeczno-kulturalne „Tygodnik Powszechny". W Krakowie nie było już wtedy Żydów. Po niemiecku to się nazywa *judenrein*. Goście wreszcie wyjechali.

[12]

Parę słów o „ukrytej encyklice", którą papież Pius XI (Ambrogio Damiano Achille Ratti) polecił przygotować na przełomie 1938 i 1939 roku.

W encyklice z marca 1937 roku *Mit brennender Sorge* [Z palącą troską] Ratti ogólnie potępił rasizm (nie wymienił jednak ani Hitlera, ani narodowego socjalizmu), a wiosną tego roku podczas audiencji dla belgijskich pielgrzymów wypowiedział bulwersujące jak na tamte czasy słowa: „Pod względem duchowym jesteśmy Semitami", i stwierdził, że antysemityzmu nie można pogodzić z nauką Chrystusa. To rewolucyjne stanowisko miało zaowocować specjalną encykliką, zdecydowanie potępiającą rasizm i rasistowski, czyli nazistowski antysemityzm. Encyklika miała się nazywać *Humani generis unitas* [Jedność ludzkości]. Dlatego też – jak sądzą historycy – Pius XI nie zareagował w listopadzie 1938 roku na noc kryształową. Czekał, by zabrać głos w najbardziej doniosłej i autorytatywnej formie. Przygotowanie dokumentu zlecił trzem jezuitom pod kierunkiem ojca Johna LaFarge'a. Ale generał jezuitów Włodzimierz Ledóchowski storpedował te prace, blokując przekazanie Piusowi XI roboczego tekstu do redakcji. Ledóchowski wiele zawdzięczał włoskim faszystom. Po zawarciu konkordatu między Włochami a Watykanem jezuici odzyskali swoje nieruchomości w Rzymie. Warto wiedzieć, że Ledóchowski odbył studia teologiczne w Krakowie i był między innymi przełożonym tamtejszego Domu Pisarzy. Dzięki obstrukcji generała jezuitów draft tekstu encykliki trafił na papieskie biurko dopiero tuż przed śmiercią schorowanego Piusa XI, który zmarł 10 lutego 1939 roku. Już 2 marca nowym papieżem został Eugenio Maria Giuseppe Giovanni Pacelli – Pius XII. Konklawe trwało tylko jeden dzień, tak jakby wszystkim w Watykanie bardzo się spieszyło. Pacelli był nuncjuszem w Berlinie, a jako watykański sekretarz stanu wraz z wicekanclerzem von Papenem podpisał w Rzymie w 1933 roku konkordat między Stolicą Apostolską a Trzecią Rzeszą. Nowy papież natychmiast uprzątnął biurko poprzednika i roboczy tekst encykliki utonął na zawsze w przepastnych czeluściach watykańskich archiwów. Ślad po niej zaginął, a Pius XII przyjął wobec Trzeciej Rzeszy politykę ostrożnej dyplomacji i milczenia. Po wielu latach znaleziono kopię tekstu encykliki, której tak przestraszył się Czcigodny Sługa Boży Kościoła katolickiego (w 1995 roku opublikowano ją po francusku, a w 1997 roku po angielsku). Czego tak się

bał ów Sługa Boży? Czy twierdzenia, że „pod względem duchowym jesteśmy Semitami”? A może takiego fragmentu: „Nie ma wątpliwości, że walka o czystość rasową przeradza się ostatecznie w walkę przeciw Żydom. Jeśli pominąć jej systematyczne okrucieństwo, nie różni się ona pod względem motywów i metod od prześladowań, jakich obiektem byli Żydzi na całym świecie od czasów starożytnych”. Czy musiały minąć dziesięciolecia (dokładnie pięćdziesiąt dziewięć lat), a przede wszystkim czy musiało zostać zgładzonych sześć milionów Żydów, żeby watykańska Komisja do spraw Kontaktów Religijnych z Judaizmem poszła po rozum do głowy i wydała wreszcie w 1998 roku dokument pod tytułem *Pamiętamy. Refleksje nad Szoa*?



[1]

Juliusz Bursche w 1937 roku został wybrany na pierwszego biskupa Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce. Był żarliwym polskim patriotą pochodzącym z rodziny o niemieckich korzeniach. W dniu wybuchu wojny wydał orędzie do ewangelików polskich potępiające niemiecką agresję. Pisał:

> My, Polacy ewangelicy, którzy jesteśmy integralną cząstką Narodu polskiego, którzy z nim żyjemy i z nim czujemy – nas nie potrzeba nawet wzywać, abyśmy w dziejowej tej chwili złożyli ofiarę mienia i krwi na ołtarzu dobra Ojczyzny. […] Nie śmie nikt nastawać na Naród, na ziemie, na godność polskiego imienia! […] cały duch tzw. hitleryzmu jest sprzeczny z duchem chrześcijańskiej etyki. […] Kościół nasz z dawna przeciwstawia się tej agitacji narodowosocjalistycznej i nie może jej tolerować w swoich organizacjach wyznaniowych, zwalcza ją i zwalczać ją będzie z całą bezwzględnością.

Nie skorzystał z możliwości wyjazdu za granicę i razem z falą uchodźców podążył na wschód.

Prymas Polski kardynał August Hlond w liście pasterskim z 1936 roku przestrzegał przed Żydami – awangardą bezbożnictwa i bolszewizmu, propagatorami pornografii i siewcami zepsucia moralnego, oszustami i lichwiarzami, specjalizującymi się w handlu żywym towarem. Prymas jednak nie zalecał stosowania przemocy wobec Żydów, za co polscy Żydzi byli mu niewątpliwie wdzięczni. Poza tym prymas zajmował się walką ze zgubnymi wpływami masonerii, która niszczyła katolicką rodzinę polską, propagując legalizację wolnych związków, antykoncepcję i aborcję, deprawując młodzież i w ogóle zatruwając wszystko i wszystkich. 14 września 1939 roku prymas opuścił napadniętą przez Niemców Polskę i przez Rumunię udał się do Watykanu.

Pastor Bursche już w październiku 1939 roku został aresztowany w Lublinie i przewieziony na gestapo do Berlina. Odrzucił propozycję podpisania folkslisty i nie uległ presji samego Himmlera. Wtrącony do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, torturowany podczas przesłuchań, zmarł w więziennym szpitalu w Moabicie, najprawdopodobniej w lutym 1942 roku. W liście z Sachsenhausen z 15 grudnia 1940 roku pisał:

> Moja praca życiowa: stworzenie w ultrakatolickiej Polsce silnego ewangelickiego Kościoła, jest zniszczona: spalone są moje notatki i biskupi pamiętnik, moje protokoły wizytacji, moje zeszyty z kazaniami, przemowami i przyczynkami, wszystkie materiały do historii moich czasów, wszystkie moje książki. To jest tragika mojego życia. Mimo to nie jestem ani zrozpaczony, ani rozbity.

Prymas Hlond przez Rzym, Lourdes, podalpejskie opactwo w Hautecombe, Paryż (gdzie był internowany), klasztory w Westfalii i znowu Rzym – wrócił w lipcu 1945 roku do Polski. Hagiografowie zgodnie podkreślają, że Hlond był bezkompromisowo antykomunistyczny, a szczytowym jego osiągnięciem było ogłoszenie 8 września 1946 roku w Częstochowie Aktu poświęcenia Narodu Polskiego Niepokalanemu Sercu Maryi. Zmarł 22 października 1948 roku – jak podkreślają hagiografowie – „z niewyjaśnionych do dziś powodów", choć jednocześnie wskazują na infekcję po operacji wyrostka. Tuż przed śmiercią prorokował, że „zwycięstwo przyjdzie przez Maryję". W 1975 roku prymas Wyszyński mówił o nim, że „wraz z duchowieństwem, które zapełniło w latach okupacji obozy koncentracyjne, wraz z całym narodem cierpiał za Polskę, w której prawo do wolności nigdy nie zwątpił". A w październiku 1978 roku, już po wyborze kardynała Wojtyły na papieża, Wyszyński mówił: „Meldujemy ci, Sługo Boży, kardynale Auguście, który tam klęczysz u tronu Matki Bożej. Powiedziałeś za życia, że »zwycięstwo, gdy przyjdzie, będzie to zwycięstwo Maryi« – zwycięstwo przyszło, przyszło przez Maryję". Sejm RP na posiedzeniu 23 października 2013 roku przyjął uchwałę w sześćdziesiątą piątą rocznicę śmierci Hlonda, aby oddać hołd „temu wielkiemu Polakowi i patriocie, który słowem i czynem

demonstrował swe przywiązanie do Narodu i Ojczyzny”. Posłanka sprawozdawczyni Anna Sobecka (PiS) nie pozostawiła wątpliwości, co jest największym tytułem do chwały – Akt poświęcenia Narodu Polskiego Niepokalanemu Sercu Maryi, przeprowadzony w duchu objawień fatimskich.

[2]

W czerwcu 1940 roku warszawski Judenrat zakończył budowę murów. W sierpniu Stadthauptmann Warszawy Ludwig Leist wydał zarządzenie o utworzeniu dzielnicy żydowskiej. Ci Żydzi, którzy mieszkali *extra muros*, mieli się natychmiast przenieść *intra muros*. Rozpoczął się wielki exodus. Żydzi byli wyrzucani z mieszkań, na ulicach pojawiły się riksze i wozy z dobytkiem. Polacy mieszkający dotychczas na terenach przyszłego getta bronili swojego stanu posiadania. W monumentalnej *Kronice lat wojny i okupacji* Ludwik Landau pod datą 23 sierpnia 1940 roku pisał: „Wszystko jest płynne, wszystko niepewne. Konflikty między chrześcijańską i żydowską ludnością, starannie hodowane, wyrastają: chrześcijańscy mieszkańcy Zielnej i Siennej piszą petycje o wyłączenie z murów, motywując to świeżym dopiero »zażydzeniem« tych »odwiecznie polskich« ulic”. Zarządzenie o utworzeniu getta zostało odczytane przez megafony uliczne 12 października 1940 roku, w święto Jom Kippur. Termin zakończenia przesiedleń wyznaczony został pierwotnie na 31 października, następnie przedłużony do 15 listopada. W atmosferze zamętu i niepewności toczyła się walka o każdy skrawek przyszłego getta. Landau pisał 15 października: „Chaos jest nieopisany. […] Mówi się, jako o »zagrożonych dla Żydów dzielnicach«, o ulicach Elektoralnej, Lesznie, o Siennej itd., podobno robione są jakieś zabiegi ludności chrześcijańskiej, mówi się o jakichś delegacjach do władz niemieckich”. Emanuel Ringelblum w *Kronice getta warszawskiego* informował w końcu października o akcji kleru katolickiego: „Księża zbierają podpisy [od mieszkańców] wszystkich ulic, aby mieszane ulice pozostały poza gettem. Domagają się pozostawienia poza gettem nawet Nowolipek, wyłącznie

żydowskiej ulicy, a to ze względu na kościół”. Toczyła się ostra batalia o zachowanie ulicy Leszno po stronie aryjskiej. Księża z kościoła Narodzenia Najświętszej Maryi Panny mieli, według Ringelbluma, nawoływać wiernych do obrony ulicy. „Dziś wybuchła wielka panika – czytamy u Ringelbluma pod datą 26 października – a to w związku z tym, że ksiądz w kościele w kazaniu nakazał chrześcijanom z Leszna nie ruszać się z miejsc, aby w ten sposób zachować Leszno dla chrześcijan. Miał on podobno rozdawać także ulotki w tej sprawie”. Ci, którym nakazano opuszczenie swoich mieszkań, przejawiali wrogość, a nawet agresję wobec tych, których miano tutaj uwięzić. Prezes Judenratu Adam Czerniaków tego samego dnia zapisał: „Motłoch dziś bił Żydów. […] Pogłoski, że ksiądz na Lesznie [rozpowszechnia] ulotki o tym, żeby Polacy się nie ruszali z Leszna”. Landau zanotował 28 października: „Mieszkańcy Leszna, chrześcijanie, wezwani zostali podobno przez księdza z tamtejszego kościoła do powstrzymania się od przeprowadzek, co wśród Żydów wywołało panikę”.

Znamienny jest wcześniejszy nieco zapis Ringelbluma – z 23 października:

> Wszystkich ogarnęło uczucie strasznej niepewności. Nie wiadomo, co przyniesie jutro. Przed kilkoma dniami chrześcijanie wdarli się do [kamienicy] na Żelaznej 43 [49?] i siłą zajęli mieszkania żydowskie. Powiesili krzyż i powiedzieli: „Spróbujcie to ruszyć”. Kiedy dowiedziano się przed kilku dniami, że Żelazna wraz ze wszystkimi pobliskimi ulicami: Łucką, Wronią i Śliską (końcowy odcinek), Pańską i in. – zostają wyłączone [z getta], zapanowała bezgraniczna rozpacz. Żydzi mówili: „Niech nas już lepiej wytrują gazami, zamiast tak męczyć”.

Znamienny jest ten zapis z dwóch powodów. Po pierwsze – chodzi o krzyż, który Polacy (konsekwentnie nazywani przez Ringelbluma chrześcijanami) zawieszają w żydowskich mieszkaniach, by je przejąć i oznaczyć. Krzyż w mieszkaniu ma bronić domu przed włączeniem do getta, czyli przed zgubą, katastrofą. Przypomina mi to krew baranka, którą Żydzi w noc paschalną skrapiali drzwi. „Krew będzie wam służyła do oznaczenia domów, w których będziecie przebywać. Gdy ujrzę krew,

przejdę obok i nie będzie pośród was plagi niszczycielskiej” (Wj 12, 13). Po drugie – chodzi o gaz. Niesamowite jest to, że w październiku 1939 roku Żydzi, którzy za chwilę zostaną zamknięci w getcie, mówią o „wytruciu gazami”. Gaz miał zabijać miliony Żydów znacznie później. Ale właśnie jesienią 1939 roku Niemcy zaczęli zabijać gazem ofiary akcji T4. Chorym i niepełnosprawnym „udzielano łaski śmierci”: wstrzykiwano truciznę, rozstrzeliwano ich, a także mordowano w prototypowych komorach gazowych tlenkiem węgla, cyjanowodorem, eksperymentowano też ze spalinami samochodowymi. Ruchome komory po raz pierwszy zastosowano w szpitalu psychiatrycznym w podpoznańskich Owińskach. Było to na przełomie października i listopada 1939 roku. Pierwsze stacjonarne komory zbudowano w Forcie VII w Poznaniu. Do końca 1939 roku zamordowano tam około czterech i pół tysiąca osób. Działo się to dokładnie w tym samym czasie, kiedy warszawscy Żydzi w jakimś fatalnym proroczym natchnieniu przeczuli, jak zostaną zgładzeni.

[3]

Warszawski zbór ewangelicko-reformowany dorobił się swojego kościoła dość późno. Innowiercy mieli bowiem ciężkie życie w Warszawie, a zaczęli się tu osiedlać w XVII wieku. Od 1525 roku na całym Mazowszu nie można było wyznawać innej wiary niż katolicka, zabraniano mieszczanom organizowania nabożeństw protestanckich i brania w nich udziału, grożąc wypędzeniem z miasta, zdarzały się tumulty. Nie były to najlepsze czasy na wznoszenie świątyni dla niekatolickich mieszkańców Warszawy. Wreszcie w 1866 roku rozpoczęto budowę świątyni i po czternastu latach stanął przy Lesznie neogotycki kościół z charakterystyczną ażurową sześćdziesięciometrową wieżą. W czasie okupacji znalazł się on poza gettem, ale w obrębie dzielnicy zamkniętej, w wykrojonej specjalnie dla wspólnoty kalwińskiej enklawie, połączonej z dzielnicą aryjską wąskim przesmykiem prowadzącym przez wypaloną posesję i zakończonym pilnowaną przez żandarmów bramą. Mniej więcej w tym miejscu stoi dzisiaj kino Muranów.

Na terenie parafii mieszkał ksiądz superintendent Stefan Skierski, zbliżający się wówczas do siedemdziesiątki. Byli jeszcze dwaj młodsi księża: Emil Jelinek i Ludwik Zaunar. Wszyscy trzej prowadzili lekcje religii. Na katechezy te przychodził Antoni Marianowicz, zamknięty wraz z rodziną za murami getta jako ewangelik pochodzenia żydowskiego. Ksiądz Zaunar zaoferował mu posadę w kancelarii, co stanowiło prawdziwy dar losu, a raczej dar niebios.

> Zacząłem więc pracować jako pisarz – wspomina Marianowicz – kaligrafując wpisy do ksiąg wieczystych [metrykalnych]. […] akta zgonów przeplatały się z aktami urodzenia, początek życia z jego kresem… Nudę wynagradzała mi życzliwość księży i pracowników kancelarii. Mogłem tam przetrwać całą wojnę, jak u Pana Boga za piecem…

Codziennie idąc do pracy, przekraczał granicę getta, po pracy do getta wracał. Z Leszna, z głównej arterii dzielnicy zamkniętej, spoglądał na dom parafialny, stojący tuż przy ulicy i odgrodzony od niej wysokim drewnianym płotem.

> Pamiętam […] symboliczny dla mnie obrazek – przetaczający się Lesznem, oszalały z trwogi tłum widm, zagłodzonych, skazanych na zagładę ludzi. I nad nimi, na balkonie budynku zboru ewangelicko-reformowanego […] postać księdza Skierskiego. Wpatrywał się w tłum z nieopisanym przerażeniem i współczuciem. Chciałem dać mu jakiś znak, że go widzę, że jestem. Było to beznadziejne – z góry mógł dostrzec tylko czarne ludzkie mrowie. Ale dla mnie jego obecność była znakiem, że po „tamtej” stronie ktoś jest, myśli o nas, czuwa. Że znajdę tam przyjaciół, którzy pomogą mi przetrwać.

Ksiądz wychodził na balkon, podczas gdy mieszkańcom domu zabroniono nawet zbliżać się do okien. Kiedy wnuczka księdza Skierskiego Aleksandra Sękowska przeczytała wspomnienia Marianowicza, nie mogła uwierzyć, że jej ostrożny dziadek stawał otwarcie na balkonie i patrzył na Leszno. Przekonała ją kuzynka, która przytoczyła opowieść swojej matki, jak to „dziadek Skierski nieraz wychodził na balkon górujący nad gettem, w geście czy to sprzeciwu, czy solidarności”.

[4]

Na pytanie, czy prymas August Hlond uciekł z napadniętej przez Trzecią Rzeszę Polski, czy też wyjechał pod przymusem, jego apologeci odpowiadają: prymas nie opuścił Polski dobrowolnie. Chciał trwać wśród swojego ludu do końca, bo tak jak nie opuszcza pasterz owiec swoich w niebezpieczeństwie, tak i biskup ma obowiązek być z wiernymi na dobre i złe. Został do opuszczenia Polski zmuszony przez rząd Rzeczypospolitej, który go podstępnie wezwał z Poznania do Warszawy, by wyprawić w drogę do Watykanu. Apologeci prymasa akcentują, że wyjazd nastąpił wbrew jego zamierzeniom i że duchowny „wyjeżdżał bardzo smutny". Wygląda na to, że kardynał Hlond był mocno zaskoczony, kiedy nagle znalazł się w Watykanie. Ale według innych historyków była to decyzja głęboko przemyślana, mająca zbawienne dla losów Polski skutki. Leszek Wilczyński twierdzi, że wyjazd „w aspekcie pragmatycznym i politycznym był konieczny, bo umożliwił prymasowi Polski działanie w Rzymie i w wolnym świecie na rzecz zniewolonego Kościoła i społeczeństwa".

Rzeczywiście – kardynał Hlond informował Piusa XII o rozwoju sytuacji w okupowanej Polsce. Wiemy, że Pius XII bardzo pragnął pokoju i o pokój niestrudzenie zabiegał. Jeszcze w gorących miesiącach poprzedzających wybuch wojny czynił, co w jego mocy, by powstrzymać Trzecią Rzeszę przed zaatakowaniem Polski. Jego plan zwołania konferencji pięciu państw: Francji, Niemiec, Anglii, Włoch i Polski, został jednak odrzucony. W czerwcu 1939 roku nuncjusz Orsenigo słał z Berlina do Watykanu raporty o niezadowoleniu niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych z ciągłych prowokacji ze strony Polaków. Dając im wiarę, Pius XII upoważnił Filippa Cortesiego, nuncjusza w Warszawie, do interwencji. Miał on nakłonić prymasa Hlonda, by ten zachęcił duchowieństwo do pacyfikowania antyniemieckich nastrojów. W ostatnich dniach pokoju papież namawiał rząd polski do kapitulacji. Chciał, by Polacy rozpoczęli rozmowy z Trzecią Rzeszą w sprawie włączenia do Niemiec Wolnego Miasta Gdańska, przeprowadzenia eksterytorialnej autostrady i zagwarantowania praw mniejszości niemieckiej w Polsce. Jeszcze w nocy

z 1 na 2 września 1939 roku radził rządowi w Warszawie, aby ten pogodził się z niemiecką agresją. Ambasada Polski przy Stolicy Apostolskiej czyniła starania, żeby papież przesłał napadniętym Polakom, w większości przecież wiernym synom Kościoła katolickiego, choć słowa otuchy i błogosławieństwa. Papież przyjął ulubioną przez siebie w czasie wojny postawę: milczał.

Nie milczał prymas Hlond. Na uchodźstwie utrzymywał korespondencję z Piusem XII, z Sekretariatem Stanu, z kardynałami i biskupami, z prezydentem Rzeczypospolitej i z rządem emigracyjnym, z ambasadorem Polski przy Watykanie Kazimierzem Papée. Przemawiał przez Radio Watykańskie, dawał wywiady do prasy, wydawał memoriały. Podczas pobytu w Lourdes opracował raport *O położeniu Kościoła katolickiego w Polsce po trzech latach okupacji hitlerowskiej 1939–1942*, przesłany Piusowi XII. Papieża bombardował informacjami o sytuacji w okupowanej Polsce ambasador Papée. Miał więc Ojciec Święty dużo materiału do… milczenia. Polska dyplomacja łowiła gorliwie każdy najmniejszy papieski grymas, dziękowała za każde najbardziej nawet ogólnikowe sformułowanie. Na dramatyczny memoriał prezydenta Władysława Raczkiewicza z 23 stycznia 1943 roku papież odpowiedział po trzech tygodniach, podkreślając, że to wszystko, o czym prezydent pisze, jest już mu znane, i zapewniając o swoich nieustannych wysiłkach na rzecz Polski i Polaków. Natarczywe prośby Kazimierza Papée o reakcję bardzo Piusa XII irytowały. „Ja o Polsce mówiłem i mówię stale” – odrzekł ambasadorowi. Papée, nie tracąc zimnej krwi, odparował: „O ile sobie przypominam, to ostatni raz Ojciec św. mówił wyraźnie o Polsce przed dwoma i pół laty” – czytamy w datowanej na 23 stycznia 1943 roku notatce z audiencji u papieża, sporządzonej przez ambasadora i przesłanej do wiadomości ministra spraw zagranicznych rządu londyńskiego.

Prymas Hlond został aresztowany przez gestapo 3 lutego 1944 roku w benedyktyńskim opactwie Hautecombe, malowniczo położonym nad jeziorem Bourget w południowo-wschodniej Francji. Duchownego przewieziono do Paryża i przesłuchiwano w siedzibie gestapo. Nakłaniano go do kolaboracji. Miał stanąć na czele kolaboranckiego rządu, który

u boku Trzeciej Rzeszy wziąłby udział w krucjacie przeciwko bolszewikom. Hlond tę propozycję odrzucił.

[5]

W czasie wojny biskupi niemieccy nie zdobyli się na wydanie wspólnego oświadczenia w sprawie eksterminacji Żydów. Niektórzy wypowiadali się indywidualnie, niesłychanie ostrożnie i ogólnikowo, ale jednak! Najżarliwszym orędownikiem zabierania głosu w sprawie mordowania Żydów był Konrad Graf von Preysing, biskup Berlina, który bezskutecznie usiłował obudzić Piusa XII z letargu. Papież milczał, choć czasami podejmował dyplomatycznymi kanałami próby interwencji w obronie Żydów katolików. Orędzie papieża wygłoszone w Boże Narodzenie 1942 roku zawierało jedno enigmatyczne zdanie, w którym mówił o „setkach tysięcy osób, które bez żadnej winy, a czasami jedynie z powodu ich narodowości lub rasy zostały skazane na śmierć lub na prześladowania”. Hagiografowie Piusa XII uważają to za przejaw najwyższego heroizmu i roztropności zarazem. Zwracam uwagę na sposób mówienia o Żydach. Otóż ani w tym heroicznym zdaniu Piusa XII, ani w nielicznych wypowiedziach biskupów niemieckich nie pojawia się diabelskie, brudne, kalające i śmierdzące słowo na „Ż”! Margarete Sommer, niemiecka katolicka działaczka społeczna, jedna z jaśniejszych postaci tamtego czasu, zaangażowana w pomoc berlińskim Żydom (Yad Vashem w 2003 roku przyznał jej pośmiertnie tytuł Sprawiedliwej wśród Narodów Świata), napisała szkic oświadczenia, które mieli podpisać biskupi niemieccy zgromadzeni w Fuldzie w 1943 roku. Stanowczy ton nadany przez Sommer został złagodzony i rozmyty w ostatecznej wersji. Biskupi zdobyli się jedynie na apel „o ludzkie traktowanie INNYCH RAS”. Wystosowali też list pasterski wzywający niemieckich katolików, aby nie gwałcili prawa innych ludzi do życia. Wymieniono: zakładników, jeńców wojennych oraz „LUDZI INNYCH RAS I POCHODZENIA”. Biskupi niemieccy używali również zgrabnego wyrażenia „NIE-ARYJCZYCY”. To unikanie za wszelką cenę słowa na „Ż” przypomina mi kunktatorskie zachowanie polskich biskupów

po pogromie kieleckim: retorykę ogólników, eufemizmów i uników (ze szlachetnym wyjątkiem częstochowskiego biskupa Teodora Kubiny). A więc katolickim hierarchom nie mogło przejść przez gardło słowo na „Ż" – ani w czasie Holokaustu, ani tuż po wojnie, kiedy Żydzi byli mordowani w pogromach. Dlatego właśnie szczególnie odrażająca jest dla mnie „holokaustyzacja" aborcji i *in vitro*. Katoliccy fundamentaliści, zarówno świeccy, jak i duchowni, mówią o „holokauście zarodków" lub porównują aborcję z Holokaustem. Trudno dostrzegalny w czasie wojny – dziś Holokaust retorycznie bardzo się przydaje.

[6]

W kwietniu 1941 roku Jugosławia została podbita i podzielona między Trzecią Rzeszę i Włochy. Powstało tak zwane Niepodległe Państwo Chorwackie – protektorat Niemiec i Włoch. Na jego czele stanął Ante Pavelić, władzę objęli ustasze – chorwaccy faszyści i fanatyczni katolicy. Już 18 maja 1941 roku Pavelić został przyjęty na audiencji w Watykanie i pobłogosławiony przez papieża Piusa XII (dziewiętnaście dni po audiencji u papieża Pavelicia przyjął serdecznie Adolf Hitler). Ustasze rozpętali nieprawdopodobny terror, z wyjątkowym okrucieństwem mordowali Serbów, Żydów, Romów i przeciwników politycznych (liczbę ofiar oblicza się na ponad trzysta tysięcy). Watykan doskonale wiedział o ludobójstwie dokonywanym przez ustaszów. Papieża Piusa XII osobiście informował o tym między innymi monsinior Giovanni Battista Montini (późniejszy papież Paweł VI). Stolica Apostolska wolała jednak dyskretną dyplomację niż otwarte potępienie ludobójstwa. Wielonarodowa Chorwacja miała się stać, według obietnic Pavelicia, krajem czysto katolickim, a to dla papieża było – jak widać – najważniejsze. Watykan podjął wprawdzie prywatnymi kanałami próby pomocy Żydom w Chorwacji, ale po pierwsze – była ona skierowana do tych Żydów, którzy przeszli na katolicyzm, a po drugie – wobec terroru panującego w państwie ustaszów i nadzwyczajnej ostrożności Watykanu nie miała praktycznego znaczenia. Watykański sekretarz stanu Luigi Maglione tak instruował wizytatora apostolskiego,

który miał zorientować się w sytuacji na miejscu: „Jeśli Wasza Ekscelencja znajdzie stosowną okazję, należy zalecić – dyskretnie, aby nie uznano tego za oficjalny apel – umiar w traktowaniu Żydów na terytorium Chorwacji”. Zwracam uwagę na dwie rzeczy: zalecenie DYSKRECJI oraz podkreślenie, żeby w żadnym wypadku nie uznano zabiegów Watykanu za OFICJALNY APEL przeciwko mordom. Pozostają pytania: Dlaczego Pius XII zachowywał się tak powściągliwie wobec ludobójstwa w państwie ustaszów? Dlaczego Watykan wolał wywierać dyplomatyczne naciski na ustaszów, a nigdy nie wystąpił publicznie z otwartym apelem o powstrzymanie mordów ani z otwartym potępieniem zbrodni? Dlaczego papież zdecydował się narazić na szwank swój autorytet moralny? Czy wiązało się to z papieskim marzeniem o czysto katolickiej Chorwacji, wolnej od prawosławnych, wyznawców judaizmu, Cyganów? Wiemy, jak bardzo Pius XII brzydził się komunizmem. Ale historia z niego zakpiła. Papieskie gry dyplomatyczne walnie przyczyniły się do powstania komunistycznej Jugosławii.

A teraz epilog. Montini, który informował Piusa XII o zbrodniach ustaszów, już jako papież Paweł VI rozpoczął w 1965 roku jego proces beatyfikacyjny. Idzie jak po grudzie, ale posuwa się do przodu. Chociaż Benedykt XVI wstrzymał postępowanie beatyfikacyjne, to jednak w 2009 roku upoważnił Kongregację Spraw Kanonizacyjnych do wydania dekretu o heroiczności cnót Piusa XII i odtąd w Kościele katolickim uznaje się go za Czcigodnego Sługę Bożego. Z kolei Ante Pavelić dzięki pomocy osławionego biskupa Aloisa Hudala, przedstawiciela watykańskiej dyplomacji szczególnie opiekującego się niemieckimi zbrodniarzami wojennymi, uciekł i znalazł schronienie w austriackich klasztorach (Hudal był Austriakiem), następnie przeniósł się do Włoch, bywał w Castel Gandolfo, letniej rezydencji papieży, i według wiarygodnych relacji wielokrotnie spotykał się z Montinim, późniejszym Pawłem VI. Ale w Europie grunt zaczął się palić Paveliciowi pod nogami, więc biskup Hudal przerzucił go do Argentyny. Jugosławia Tity domagała się jego ekstradycji. Przywódca ustaszów zmarł w 1959 roku w Madrycie.

[7]

Ten dokument warto poznać. Nie jest on szerzej znany, a przecież na to zasługuje. Nosi tytuł *Sprawozdanie kościelne z Polski za czerwiec i połowę lipca 1941-go roku*. Tekst nie jest podpisany. Został przekazany do polskiego rządu emigracyjnego w Londynie prawdopodobnie w drugiej połowie lipca 1941 roku. Zaczyna się od omówienia niemieckich prób pozyskania polskich biskupów do antykomunistycznej krucjaty – jednoznacznie odrzuconych przez hierarchię kościelną. Autor przedstawia następnie przykłady represji wobec polskiego duchowieństwa katolickiego, zarówno księży, jak i zakonnic. Głównym jednak celem dokumentu jest nakreślenie wizji przyszłej Polski. Autor żywi nadzieję, że z wojennego chaosu wyłoni się Polska „naprawdę i gruntownie katolicka", a na jej czele stanie „jeden dzielny i mądry człowiek, a przy tym wybitny katolik". Kościół w Polsce można wzmocnić: po pierwsze – przez powołanie „prawdziwie katolickiego Rządu, który by wszedł naprawdę w potrzeby ludu i zastosował konieczne reformy ekonomiczne i oświatowe"; po drugie – dzięki ogromnej pracy „nad podniesieniem poziomu duchowieństwa"; po trzecie wreszcie – niezbędne jest to, co autor nazywa „palącą potrzebą rozwiązania kwestii żydowskiej". Żydzi bowiem przynoszą „całemu naszemu życiu religijnemu i narodowemu nieobliczalne szkody", są „promotorami korupcji i przekupstwa", „wysysają naród ekonomicznie", stanowią pasożytujący, niebezpieczny, demoralizujący żywioł, przed którym trzeba się bronić. Ratunkiem jest pozbycie się Żydów z Polski. Te rzeczy powtarzane były w okresie międzywojennym po wielekroć. Wszystko to jednak zabrzmi inaczej, jeśli czytając ten dokument dziś, uświadomimy sobie, że posuwające się na wschód za wojskiem niemieckim oddziały Einsatzgruppen rozpoczęły już w czerwcu 1941 roku masowe mordy na Żydach i komunistach, że w Białymstoku między 27 czerwca a 13 lipca na skutek pogromów i egzekucji zginęło z górą pięć tysięcy Żydów, że w lipcu zaczęły się masowe egzekucje Żydów w Ponarach pod Wilnem.

W *Sprawozdaniu kościelnym…* nie ma żadnych konkretnych informacji o trwających od początku okupacji prześladowaniach Żydów. Znajdziemy jednak osobliwą interpretację działania Opatrzności Bożej. Cytuję:

> Co do sprawy żydowskiej – trzeba to uważać za osobliwe zrządzenie Opatrzności Bożej, że Niemcy, obok mnóstwa krzywd, jakie wyrządzili i wyrządzają naszemu krajowi, pod tym jednym względem dali dobry początek, że pokazali możliwość wyzwolenia polskiego społeczeństwa z pod żydowskiej plagi i wytknęli nam drogę, którą mniej okrutnie oczywiście i mniej brutalnie, ale konsekwentnie iść należy. Jest to wyraźne zrządzenie Boże, że sami okupanci przyłożyli rękę do rozwiązania tej palącej kwestii, bo sam naród polski, miękki i niesystematyczny, nigdy nie byłby się zdobył na energiczne kroki, w tej sprawie niezbędne.

Bardzo podobne poglądy i bliźniacze wręcz sformułowania odnajdziemy w innych tekstach z okresu okupacji reprezentujących nurt narodowo-katolicki. Nie można jednak zamykać oczu na wyraźne różnice. Wspólne jest rozpoznanie Żyda jako wroga. Taką ocenę podtrzymuje też Zofia Kossak-Szczucka w odezwie *Protest!*, wydanej w sierpniu 1942 roku przez Front Odrodzenia Polski w obliczu trwającej w getcie warszawskim Wielkiej Akcji Likwidacyjnej, ale dopowiada w niej znamienne zdanie: „Świadomość tych uczuć jednak nie zwalnia nas z obowiązku potępienia zbrodni”. Do takiej konkluzji kościelny sprawozdawca się nie posunął.

[8]

Doktor Adam Puławski, historyk Zagłady mieszkający w Chełmie, udostępnił mi niezwykły dokument pochodzący z tamtejszego archiwum miejskiego: *Intencje Apostolstwa Modlitwy na rok 1941*. Coś niebywałego – przez cały 1941 rok wierni nie modlą się w ogóle o pokój! Nie ma takiej intencji! Słowo „pokój” tam nie pada! Jesteśmy w środku najkrwawszej wojny w dziejach, a katolicy mają się modlić o to, „aby na całym świecie zakwitła akcja misyjna” (styczeń); „ażeby poganie, wyznający pierwotne religie, poznali religię prawdziwą” (luty); „aby życie parafialne wszędzie kwitnęło” (kwiecień); „aby szintoiści w Japonii nawrócili się do prawdziwej wiary” (czerwiec); „aby Mahometanie nawrócili się” (lipiec);

„aby laicyści i bezbożnicy na misjach się nawrócili” (sierpień); „abyś podróżującym na morzu i kapelanom morskim błogosławić raczył” (listopad). No i intencja na październik 1941 roku: „aby naród żydowski się nawrócił”. Okazuje się zatem, że według Kościoła katolickiego w okupowanej Polsce (świadczy o tym cytowany dokument) najważniejszą wówczas sprawą dla Żydów było nawrócenie się. I o to katolicy mieli zanosić modły do Boga. O nawrócenie Żydów!

A co się wtedy działo z Żydami w okupowanej przez Niemców Europie? W październiku 1941 roku zaczynają się deportacje z Niemiec, Austrii, Czech. Do getta łódzkiego przyjeżdżają Żydzi z Berlina, Wiednia, Hamburga, Kolonii i Pragi. Wśród nich siostry Franza Kafki – Valeria Pollakowa i Gabriela Hermannowa (wywiezione później na zagładę do Chełmna nad Nerem). Co jeszcze działo się w tym czasie? 15 października 1941 roku Heinrich Himmler polecił generałowi SS Odilo Globocnikowi, szefowi SS i policji w dystrykcie lubelskim, opracowanie planu tak zwanej akcji Reinhardt – czyli zagłady Żydów na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Co jeszcze? 29 października 1941 roku SS i policja wraz z litewskim oddziałem pomocniczym zamordowały dziewięć tysięcy dwustu Żydów z getta kowieńskiego w tak zwanym IX Forcie na obrzeżach Kowna. Co jeszcze? Ach, w październiku 1941 roku Dom Sierot Korczaka został zmuszony do przeniesienia się ze swojej pierwszej siedziby w getcie na Chłodnej 33 do gmachu przy Siennej 16, skąd rano 5 lub 6 sierpnia 1942 roku dzieci i wychowawcy wyruszą na Umschlagplatz.

[9]

W czasie II wojny światowej wydarzył się polski cud różańcowy. Tę cudowną historię opisuje portal katolicki adonai.pl, a opowiedział ją na spotkaniu Kapłańskiego Ruchu Maryjnego ksiądz biskup Zbigniew Kraszewski, wiceprzewodniczący Komisji Maryjnej Episkopatu, od 1989 do 1997 roku ogólnopolski duszpasterz kombatantów. Zmarł w 2004 roku. Wojna była dla księdza biskupa doświadczeniem generacyjnym, należał bowiem do pokolenia Kolumbów. Jako

dwudziestoletni chłopak ukończył jesienią 1942 roku Szkołę Podchorążych Piechoty Komendy Głównej Narodowych Sił Zbrojnych, jesienią 1943 roku wstąpił do seminarium metropolitalnego w Warszawie, a w powstaniu warszawskim brał udział jako kapelan.

Była tylko jedna parafia w całej okupowanej Polsce, której mieszkańcy nie zaznali żadnych nieszczęść i żadnych tragedii. Nikt z tej parafii nie zginął, a ci, którzy poszli do wojska – wszyscy szczęśliwie przeżyli wojnę i wrócili do rodzinnych domów, jedni z niewoli niemieckiej, inni z sowieckiej, aż hen z dalekiej Syberii. Cali i zdrowi. Mało tego – przez całą okupację żaden Niemiec nie przekroczył granic tej parafii! Czy to nie cud? Tak, to musiał być cud. Ale jak to się stało, że ta parafia cudu takiego doznała?

Parafia nazywa się Garnek. Wieś Garnek jest położona w województwie mazowieckim, w powiecie sokołowskim, w gminie Ceranów. Leży dziś w centrum Polski, w linii prostej niespełna dziewięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Warszawy. W 1939 roku liczyła siedem tysięcy mieszkańców i podczas okupacji znajdowała się w dystrykcie warszawskim, w starostwie sokołowsko-węgrowskim, oddalona o niecałe dziesięć kilometrów od ówczesnej granicy z Rosją sowiecką. Po niemieckim ataku na Rosję 22 czerwca 1941 roku i odrzuceniu Armii Czerwonej daleko na wschód te same dziesięć kilometrów dzieliło wieś Garnek od granicy z Bezirk Białystok, który stanowił część utworzonego w grudniu 1941 roku Reichskommissariat Ostland (Komisariatu Rzeszy Wschód).

Parafia Garnek już od 1 września 1939 roku była pod specjalną opieką Pana Boga. W dniu wybuchu wojny proboszcz zgromadził swoich parafian w kościele i tak do nich przemówił:

> Dziś Niemcy pod wodzą Hitlera zaatakowały Polskę. Hitler to człowiek opętany przez szatana. Hitler wyrządzi straszliwe zło Polsce i całej Europie. Zginą miliony ludzi, Europa ulegnie wielkiemu zniszczeniu. Czy jest jakiś ratunek? Czy możemy uniknąć śmierci, uratować nasze domy, gospodarstwa, zakłady pracy? Tak, jest ratunek! Tym ratunkiem jest *Różaniec* przed wystawionym w monstrancji Najświętszym Sakramentem! Od dzisiaj aż do końca wojny (nie wiemy, ile będzie trwać ta wojna),

> każdego dnia w naszym kościele będzie odmawiany *Różaniec* przed wystawionym Najświętszym Sakramentem. Zapraszam wszystkich każdego dnia na to nabożeństwo.

I tak się stało. Każdego dnia Najświętszy Sakrament był adorowany w *Modlitwie różańcowej*. Codziennie przez całą okupację. Za progiem kościoła w Garnku wojna szalała, terror się srożył, potworności i okropieństwa się działy, ludzie byli dręczeni i mordowani tysiącami, dziesiątkami tysięcy, milionami. A kościół w Garnku wypełniony *Modlitwą różańcową* trwał niczym wyspa spokoju i bezpieczeństwa na wzburzonym morzu.

W starostwie sokołowsko-węgrowskim żyło w 1942 roku blisko dwadzieścia i pół tysiąca Żydów, stłoczonych w siedmiu gettach: w Sokołowie Podlaskim – około trzydziestu kilometrów od wsi Garnek (dziś dojedzie się tam samochodem w pół godziny); w Węgrowie – również trzydzieści kilometrów od Garnka; w Stoczku – też trzydzieści kilometrów od parafii Garnek; w Sterdynie – niespełna piętnaście kilometrów; Łochów był nieco dalej – czterdzieści sześć kilometrów (dziś około pięćdziesięciu minut samochodem); najdalej było getto w Grębkowie – pięćdziesiąt trzy kilometry; najbliżej zaś getto w Kosowie Lackim – tylko sześć kilometrów. Likwidacje tych wszystkich gett rozpoczęły się pod koniec września 1942 roku. W kościele w Garnku przed wystawionym Najświętszym Sakramentem odmawiano *Modlitwę różańcową* już przez tysiąc sto dwadzieścia sześć dni. Codziennie. Deportacje Żydów miały szczególnie brutalny charakter. Wypędzano Żydów na ulice, ograbiano, bito, niektórych zabijano na miejscu, resztę pędzono do pobliskiej stacji kolejowej, ładowano do wagonów i transportowano do Treblinki. Zachowały się świadectwa z likwidacji getta w Węgrowie. Policjant żydowski Ruwen relacjonuje:

> wyszedłem na ulicę, widziałem biegnących esesmanów, wyciągających Żydów z domów, którzy strzelali bardzo często do Żydów. W przeciągu kilku minut zauważyłem kilkadziesiąt trupów. […] Ja przez dwa dni akcji […] zbierałem zwłoki na wozy i zwłoki te były przewożone na plac w getcie, gdzie był duży dół, skąd po roku

> […] zwłoki te wywieziono do Węgrowa [i gdzie] koło cmentarza żydowskiego zostały spalone. Zabito wówczas w samym getcie około dwóch tysięcy Żydów.

Mordowanych Żydów palono na skalę przemysłową w obozie zagłady Treblinka II. Od parafii Garnek do Treblinki można dziś dojechać samochodem w niecałe dwadzieścia minut, pokonując odległość szesnastu i pół kilometra. W linii prostej – przez pola i lasy – jest znacznie bliżej: około ośmiu kilometrów, dystans, który da się pokonać piechotą w godzinę. Mieszkańcy wsi leżących blisko Treblinki opowiadali o potwornym smrodzie palonych ciał, który unosił się w powietrzu każdego dnia i do którego trzeba się było przyzwyczaić, bo nie ustawał.

Józef Górski herbu Boża Wola, dziedzic Ceranowa – oddalonego od parafii Garnek o sześć kilometrów, a od Treblinki o dwadzieścia kilometrów (na przełaj przez las niewiele ponad dziesięć kilometrów) – w 1960 roku spisał wspomnienia i zdeponował je w archiwum Biblioteki Narodowej (sygn. III 9776). Górski przyznał, że to właśnie z jego tartaku pochodziło drewno, z którego Niemcy zbudowali komory gazowe w pobliskiej Treblince. Dziedzic Ceranowa prowadził z okupantem liczne interesy, po wojnie oskarżony o kolaborację i o szpiegostwo na rzecz Anglii, przesiedział w więzieniu półtora roku. Z dystansu piętnastu lat po zakończeniu wojny Górski wspominał zagładę Żydów. Jako chrześcijanin – współczuł i rozmyślał, „co ci nieszczęśnicy przeżywali, gdy ich pędzono do komór gazowych”, z ceranowskiego drewna zbudowanych. Jako Polak – zwierzał się: „uważałem Żydów za wewnętrznego zaborcę […], toteż nie mogłem nie żywić uczucia zadowolenia, że się tego okupanta pozbawiamy, i to rękami nie własnymi, ale drugiego, zewnętrznego zaborcy”. Jechał sobie dziedzic Górski herbu Boża Wola i z satysfakcją rozglądał się po okolicy: „Nie mogłem ukryć odczucia zadowolenia, gdy przejeżdżałem przez odżydzone nasze miasteczka i gdy widziałem, że ohydne, niechlujne żydowskie rudery z nieodłączną kozą przestały szpecić nasz krajobraz”. A w parafii Garnek, po sąsiedzku, w pięknym już, niczym niezeszpeconym polskim krajobrazie trwała adoracja Najświętszego Sakramentu. Codziennie

przez wszystkie dni okupacji. I w Garnku nikomu nic złego się nie stało. Czy to nie cud prawdziwy?

[10]

Jakże ważna była w czasach Zagłady zachęta do pomagania Żydom ze strony zwykłego księdza (a cóż dopiero papieża!). Leokadia Schmidt od 1943 do sierpnia 1944 roku pisała pamiętnik. Włożyła go do blaszanej bańki i zakopała w ziemi. Cudem przetrwała Wielką Akcję Likwidacyjną w getcie warszawskim, a cały czas opiekowała się maleńkim synkiem, co zmniejszało szansę na ratunek niemal do zera. W październiku 1942 roku udało jej się przedostać na stronę aryjską. Wraz z mężem i dzieckiem schronili się w Nowej Wsi koło Wołomina pod Warszawą u państwa Michalskich. Cytuję fragment pamiętnika:

> Marysia Michalska, osoba dosyć kulturalna, lecz przesadnie pobożna, miała zawsze wyrzuty sumienia, że nam udzieliła pomocy. Zawdzięczamy jej bardzo wiele, ale wiemy, że nie zrobiła tego z własnego impulsu, lecz za namową kuzyna, księdza Święckiego, który był dla niej autorytetem. Często przychodził do męża i kiedyś nawet przyniósł mu znalezioną gdzieś gemarę. Poruszając kwestię likwidowania Żydów, zawsze wyrażał się z pogardą o „kulturalnym narodzie niemieckim”, chociaż w dyskusjach z mężem nie wykazywał dużo sympatii dla rasy semickiej. Twierdził jednak, że w tak krytycznym momencie obowiązkiem każdego chrześcijanina jest pomagać cierpiącemu. Marysia w rozmowie ze mną niejednokrotnie zaznaczała, że modli się, by Bóg jej nie ukarał za to, że nam pomaga. Bała się, że po wojnie ludzie będą ją za to palcami wytykać. Dopiero gdy w kwietniu 1943 roku, podczas ostatecznej likwidacji getta, generał Władysław Anders wygłosił przez radio londyńskie przemówienie, w którym nawoływał społeczeństwo polskie, by w miarę możliwości pomagać tropionym Żydom, Marysia zmieniła zdanie.

Przewidywania Marysi, że po wojnie będą ją wytykać palcami (i że jej życie będzie zagrożone), sprawdziły się w stu procentach. Ale ja chciałbym zapytać Sługę Bożego Piusa XII, czy naprawdę myślał, że potępiając niemieckie zbrodnie na Żydach i apelując o ratowanie Żydów, pogorszyłby ich położenie. Sprowadził jeszcze większe nieszczęście? Jeszcze większe zagrożenie? Chciałbym też zapytać hagiografów Piusa XII (przeważnie

w koloratkach), czy naprawdę wierzą w to, co mówią, tłumacząc tak właśnie milczenie papieża wobec Zagłady. Podwarszawski ksiądz nie milczał. Ośmielił, zachęcił i umocnił wahającą się kobietę. Uspokoił ją, że ratowanie Żydów nie jest grzechem. Raczej wprost przeciwnie. Czy polski ksiądz Święcki ma uczyć rzymskiego papieża i jego akolitów przyzwoitości, o chrześcijaństwie już nie wspominając?

[11]

Edward Korczak i jego żona Marta mieszkali we wsi Zając w okolicach Węgrowa. Na uboczu. Pod lasem. Tacy ludzie zawsze mieszkają gdzieś na pograniczu wsi i lasu. Na marginesie wiejskiej społeczności. Korczak z żoną chodzili co niedziela do kościoła. Szraga Fajwel Bielawski miał w Węgrowie skład węgla i sklep z galanterią. Likwidacja tamtejszego getta zaczęła się we wtorek 22 września 1942 roku i przebiegała z wyjątkową nawet jak na ówczesne standardy brutalnością. Bielawski z rodziną ukryli się w przygotowanej wcześniej skrytce na strychu swojego domu. Słyszeli strzały i krzyki mordowanych, wycie kobiet i płacz dzieci, warkot ciężarówek, brzęk szkła i łomot rozbijanych siekierami drzwi. Słyszeli głosy swoich polskich sąsiadów, którzy oferowali Niemcom pomoc przy wyszukiwaniu ukrytych Żydów. Sąsiedzi wdzierali się wielokrotnie do domu Bielawskiego, szukając poukrywanych gospodarzy i pochowanych skarbów. Rabując i szukając, szukając i rabując. Bielawscy leżeli na strychu przez dwadzieścia jeden dni. Przez wydrapany nożem otwór w dachu widzieli dzień po dniu dantejskie sceny. Niemcy, policjanci granatowi, umundurowani członkowie miejscowej ochotniczej straży pożarnej, zwykli mieszkańcy Węgrowa wciąż wywlekali Żydów z kryjówek, maltretowali ich, ograbiali, zabijali lub ładowali na ciężarówki i wieźli prosto do Treblinki. Udział Polaków w likwidacji getta w Węgrowie był na tyle spektakularny, że odnotował to i potępił „Biuletyn Informacyjny” z 22 października 1942 roku. Bielawski i dziewięciu uciekinierów wydostali się z miasta i krążyli po okolicznych lasach, chowali się w wykopanych jamach, w stodołach. Przenosząc się z miejsca na miejsce,

trafili nocą do domu stojącego na uboczu. To był dom Korczaka, który chodził co niedziela do kościoła. Gospodarz pozwolił im wejść na strych. Kryjówka w pachnącym sianie była luksusem. Zabił dla nich jedną gęś, później drugą i trzecią. Dostawali mleko, mąkę, jajka, kluski, pietruszkę i marchew, a także świeży chleb. Korczak przynosił ukrywającym się wieści o rosyjskich zwycięstwach. Działo się to jesienią 1943 roku i nie trwało długo. Dziecko sąsiada wspięło się któregoś dnia na górę i zajrzało na strych. Trzeba było uciekać.

> Czuliśmy się, jakbyśmy znów byli w domu. […] Czy to wszystko było snem? Czy Korczak był aniołem pod postacią mężczyzny? Nie mogliśmy tego zrozumieć. […] W każdym razie nikt nas dotąd tak nie traktował i nie widzieliśmy w tym sensu. Później pojawiła się odpowiedź. Istnieją Polacy, którzy nie są obojętni, postępują odważnie, jak szlachetni, czujący, przyzwoici ludzie. Nie wszyscy odwrócili się od Żydów plecami

– pisał Bielawski we wspomnieniach. Ukazały się najpierw w 1991 roku w Illinois w minimalnym nakładzie, następnie w 2015 roku po polsku. Pytanie, jakie zdaje Bielawski, wydaje mi się kluczowe. Czy Korczak był aniołem, czy też po prostu przyzwoitym człowiekiem? Ani on, ani ci, których ukrywał, nie wspominali o Bogu, religii, miłości bliźniego. W niedzielę chodził do kościoła, a w dzień powszedni zabijał kolejną gęś ze swojego stadka, by wyżywić dziesięciu Żydów ze strychu. Czy miał Korczak w domu jakieś święte obrazki albo wizerunek papieża Piusa XII? Nie wiem. Bielawski nic o tym nie pisze. Tylko raz Korczak mówi cokolwiek o tym, co nim kieruje. To uczucie wdzięczności i szacunku do ojca Bielawskiego: „Kupowałem od twojego ojca drewno na dom i stodołę. Zabrakło mi pieniędzy, ale twój ojciec mi zaufał i udzielił mi kredytu aż do czasu, kiedy będę mógł zapłacić. Twój ojciec był porządnym człowiekiem”.

Bielawskiemu udało się przeżyć Zagładę, ale nie chciał już próbować, czy uda mu się przeżyć po 1945 roku w rodzinnym Węgrowie. Nieliczni ocaleni wracali do miasta, ale szybko z niego wyjeżdżali. Pijany sąsiad zaczepił Bielawskiego:

> – Wiesz, gdzie jest Wielka Synagoga?
> – Synagoga już nie istnieje, ale nie wiem, co się z nią stało.

> – Ksiądz kupił synagogę od Niemców, a my ją rozwaliliśmy. Cegły wykorzystaliśmy na budowę muru dookoła katolickiego cmentarza. I co ty na to, Żydku?

Bielawski wiedział, kim byli milicjanci i ubecy z Węgrowa. „Większość z nich to byli ci sami mordercy, którzy pomagali Niemcom zabijać Żydów". Oni wiedzieli, kim był Bielawski. Pobity na komendzie, ledwie uszedł z życiem. Nie czekał, aż po niego wrócą. Uciekł.

> Kiedy wsiadałem na pakę ciężarówki, niosłem ze sobą siedemset lat historii. Nie obejrzałem się za siebie. Miasto wygrało. Polacy i Niemcy nie zabili wszystkich Żydów. Niektórzy żyli, ale wyjechali. […] Miejsce, w którym mieszkałem przez całe życie i gdzie od pokoleń żyła rodzina mojej matki, stało się tylko wspomnieniem. […] Byłem ostatnim Żydem z Węgrowa.

W styczniu 1946 roku Szraga Fajwel Bielawski wyjechał z Polski. Przez Brukselę i Monachium dotarł do Bremy, by rankiem 4 stycznia 1951 roku wyruszyć w rejs do Nowego Jorku. Zmarł w Minneapolis 13 lutego 2004 roku. A wieś Zając wciąż istnieje. Odwiedził ją Jan Grabowski, edytor wspomnień Bielawskiego. Rodzina państwa Korczaków nadal mieszka w skromnym domku pod lasem. Po podwórku chodzą gęsi. Pachnie siano.

[12]

Południowym skrajem Puszczy Kampinoskiej biegnie Kanał Olszowiecki. Zaprojektowano go w 1927 roku w ramach melioracji doliny kampinoskiej, budowa ruszyła w 1934 roku. Do wybuchu wojny z zakładanych dwudziestu pięciu kilometrów wykonano piętnaście, ale – jak czytamy na stronie internetowej Kampinoskiego Parku Narodowego – prace „trwały jeszcze podczas II wojny światowej". Dziś porzucony kanał zarósł. W Podziemnym Archiwum Getta Warszawskiego (tak zwanym Archiwum Ringelbluma) zachowały się relacje z obozu pracy przymusowej dla Żydów w Nartach (obecnie Józefów w Puszczy Kampinoskiej), jednego z najokrutniejszych, nazywanych przez więźniów „głodowym obozem

pracy”. To właśnie Żydzi z obozu w Nartach, zamienieni w bitych i głodzonych niewolników, stojąc po pas w wodzie i błocie, pracowali przy budowie Kanału Olszowieckiego wiosną 1941 roku. Wśród nich był Icchak Cukierman („Antek”), jeden z nielicznych ocalałych żołnierzy Żydowskiej Organizacji Bojowej. W maju 1941 roku, tuż po zlikwidowaniu obozu, pisał o nim w konspiracyjnym piśmie „Dror-Wolność”:

> Czarna wstęga lasu obrębia horyzont. Gęste, prastare lasy okalają miejscowość z trzech stron […]. Przy drodze, u stóp białych gór, leżą ukryte drewniane baraki obozu. Ukazuje się schorzałe, skąpe słońce. Powietrze przesycone jest wilgocią. Błotnista droga mięknie pod nogami. Nad bagnistymi polami, ponad białym piaskiem, wisi smutek żałosny. Od dalekich lasów ciągnie czarny, rozpaczliwy strach.

Proboszczem parafii w Kampinosie był wtedy czterdziestojednoletni ksiądz Stanisław Cieśliński. Poprzednio pracował w kilku parafiach podwarszawskich, był też wikarym w kościele Najświętszego Zbawiciela w Warszawie. Proboszczem w Kampinosie został w 1939 roku. Na terenie jego parafii znalazł się obóz pracy w Nartach. W obszernej relacji rabina Chitowskiego, opracowanej przez rabina Szymona Huberbanda, jednego z najbliższych współpracowników Emanuela Ringelbluma, ksiądz Cieśliński występuje jako ten, „któremu niejeden z nas zawdzięcza to, że przeżył”. Cóż takiego uczynił ten ksiądz? Dlaczego zwolnieni z rozwiązanego już obozu więźniowie wzruszająco się z nim żegnali? „Szanowny ksiądz wyszedł z mieszkania z bukietem białych róż w ręce. […] Przechodząc koło jego domu, ściągnęliśmy czapki, a on odpowiedział skinieniem głowy”.

Ksiądz Stanisław Cieśliński robił to, czego nie robił papież Pius XII. Mówił. Podczas kazań brał w obronę Żydów i apelował o pomoc dla nich. Robił to publicznie, otwarcie i jawnie. I używał tego strasznego słowa na „Ż”, którego wystrzegał się w swoich wystąpieniach Pius XII.

> Od chrześcijanki usłyszeliśmy radosną wieść, że ksiądz z Kampinosu co niedzielę wygłasza płomienne kazanie o nas, w żarliwych słowach nakazuje ludności chrześcijańskiej we wszystkim nam pomagać, a przy tym ostro piętnuje wartowników i chrześcijańskie kierownictwo obozu. Określa ich mianem antychrystów. W ostrych

słowach potępia wartowników, którzy biją i niemiłosiernie katują nieszczęsnych żydowskich lagerników.

W innej, anonimowej relacji przytoczone zostało jedno z kazań księdza:

Żydzi z obozu urodzili się i wychowali na naszej ziemi. Są naszymi braćmi. Tam w obozie są gnębieni głodem i biciem. Na wzgórzu rosną groby niewinnych, zamęczonych Żydów. Ku naszej boleści i wstydowi ci, którzy ich biją i męczą, to nasi bracia Polacy. Naszym obowiązkiem jest pomóc Żydom, jak tylko jesteśmy w stanie, zanosić im jedzenie, ile tylko możemy, i więcej, niż możemy, wesprzeć wymęczonych głodem ludzi.

Okoliczna ludność pomagała maltretowanym Żydom. „Chłopi rzeczywiście zaczęli przynosić na miejsce robót różne produkty. Komu z oboźników udało się zakraść do chłopa podczas pracy, ten dostawał wszelkie dobra i wiele dziesiątków Żydów życie swoje zawdzięcza szlachetnemu postępkowi księdza”.

W 1833 roku Adam Mickiewicz napisał broszurę *O ludziach rozsądnych i ludziach szalonych*. Po klęsce powstania listopadowego sytuacja wydawała się beznadziejna, ból piekący, żal nieukojony, gniew zapalczywy. Mickiewicz odrzucił język „rozsądku”. Odwrócił się od tych, którzy rozprawiali „*o okolicznościach czasu, miejsca, o trudnościach*”, którzy zaklinali „w imię *rozsądku*”. Odwrócił się od dyplomatów, którzy są „zbrojni w obosieczne słowa aliansów, gwarancyj, traktatów”. Wybrał język romantycznego „szaleństwa”, kierujący się impulsem moralnej powinności, a nie racjonalną kalkulacją. „Rozum rodu ludzkiego, wygnany z książek i rozmów, chowa się w ostatnim szańcu, w sercach ludzi *czujących*”. Gdybym chciał przenieść te Mickiewiczowskie kategorie na czas okupacji i czas Zagłady, umiałbym wskazać, kto był wtedy „człowiekiem rozsądnym”, a kto „człowiekiem szalonym”. Przepaść dzieli Czcigodnego Sługę Bożego Kościoła katolickiego Piusa XII od nieznanego nikomu księdza, który zmarł 2 września 1945 roku w Kampinosie. Daleko jest z Watykanu do Kampinosu. Ale coś mi się zdaje, że z Kampinosu jest bliżej do nieba niż z Watykanu.

[13]

Lubię śpiewać kolędy. Szczególnie dwie: *Bóg się rodzi* i *Mędrcy świata*. Pierwsza to arcydzieło literackie odsłaniające Tajemnicę. Mało jest tekstów, w których retoryka przestaje być tylko retoryką, chwytem, konceptem, a staje się wehikułem Tajemnicy. Tajemnicy spełniającej się w sprzeczności, zderzeniu przeciwieństw, paradoksie, aporii. Drugą – o Mędrcach – śpiewam, pamiętając o *Podróży Trzech Króli* Thomasa Stearnsa Eliota. I tu, i tam Narodzinom towarzyszy Śmierć. Narodzony w żłobie nie ma tronu ani berła, „A proroctwo Jego zgonu / Już się w świecie szerzy”. Pojawiają się też Herod, który „spisek knuje”, i gdzieś już poza obszarem tekstu pomordowane dzieci – figura zbrodni na niewinnych, którą wciąż oglądamy w najróżniejszych wcieleniach, chciałoby się rzec: od początku świata do dziś. U Eliota zaś padają zdania ciężkie jak ołów: „Czy cała ta podróż prowadziła nas/Do Narodzin czy Śmierci? […]/[…] a te Narodziny były dla nas/Ciężkim i gorzkim konaniem, jak Śmierć, nasza własna” (przekład Artura Międzyrzeckiego).

Kolęda bożonarodzeniowa jest więc dla mnie radością zranioną, weselem naznaczonym zapowiedzią przyszłego cierpienia. Wiąże się nieuchronnie z nocą. Z ciemnością. A czym jest gwiazda prowadząca do stajenki? Czy to jest światło? Czy „łza znad planety”? Czy też są to – jak pisał Norwid – „kamienie”, na które nikt nie czeka?

I jeszcze jedno. Nie mogę uwolnić się od tego obrazu. W domu komendanta Auschwitz-Birkenau Rudolfa Hössa stoi pięknie ubrana choinka, a cała kochająca się rodzina śpiewa piękną kolędę *Stille Nacht! Heilige Nacht!*. Cicha, święta noc w domu Rudolfa Hössa, przeznaczonego przez bardzo religijnego ojca do stanu duchownego, tego samego Rudolfa Hössa, który przed śmiercią wrócił na łono Kościoła katolickiego, wyspowiadał się i pojednał z Bogiem, przyjął komunię świętą i w stanie łaski uświęcającej stanął na stopniach specjalnie dla niego zbudowanej szubienicy (tuż koło domu, w którym śpiewał kolędy). Tajemnica Miłosierdzia Bożego. Staram się ją zgłębić. Jak na razie – bez powodzenia.

Na koniec jeszcze jedna Tajemnica. Obecność kolędy może zadawać ból bez możliwości ukojenia. Wspomina Szymon Laks, kapelmistrz obozowej orkiestry w Auschwitz-Birkenau:

> W Wigilię Bożego Narodzenia 1943 roku udałem się na czele małego zespołu Holendrów do szpitala kobiecego, aby na zlecenie komendanta Schwarzhubera zagrać kilka kolęd na pocieszenie chorych. […] Zaczynamy od rytualnej kolędy niemieckiej *Stille Nacht, heilige Nacht* […], którą „publiczność” wysłuchała w skupieniu. W repertuarze mamy jeszcze: *Lulajże Jezuniu*, *W żłobie leży*, *Przybieżeli do Betlejem* i *Bóg się rodzi*. Zaczynamy od pierwszej. Po kilku taktach zaczynają się rozlegać zewsząd ciche chlipania, które w miarę, jak gramy, stają się coraz głośniejsze, by w końcu zabrzmieć niepowstrzymanym ogólnym szlochem, kompletnie zagłuszającym niebiańskie akordy kolędy. […] Ze wszystkich stron rozlegają się pod naszym adresem spazmatyczne wołania, coraz liczniejsze, coraz krzykliwsze – po polsku – które ja jeden rozumiem: „Dość tego! Przestańcie! Precz stąd! Wynocha! Dajcie nam zdychać w spokoju!”. […] Nie wiedziałem, że kolęda może aż tak zaboleć.

[14]

Gniewczyna – wieś nad rzeką Mleczką – dzieli się na Łańcucką i Tryniecką. Do Łańcuta jest stąd dwadzieścia parę kilometrów na zachód, do Leżajska podobnie, tylko na północ. Najbliżej jest do Przeworska, sześć kilometrów można przejść w godzinę, kierując się na południe. Parafia rzymskokatolicka została ustanowiona w Gniewczynie Łańcuckiej już w XIV wieku. Na wzniesieniu stoi piękny, murowany kościół z wyniosłą wieżą. Góruje nad okolicą i jest doskonale widoczny z wiejskich zabudowań. Dom Leiba Trynczera stał przy głównej drodze, prawie w centrum wsi, z widokiem na kościół. Z placu przed kościołem było widać działkę z domem Trynczerów. Piszę o tym dlatego, że wzrok to dominujący zmysł w zapisach doświadczenia Zagłady, sporządzanych zarówno tam i wtedy, czyli w gettach lub w ukryciu po stronie aryjskiej, jak i *post factum*. To, co działo się w domu Trynczerów w listopadzie 1942 roku, widzieli i słyszeli ówcześni mieszkańcy Gniewczyny, a przynajmniej o tym wiedzieli. Wiedzieli o tym również gospodarze parafii pod wezwaniem Świętego Mateusza: ksiądz Józef Miś, od września 1942 roku proboszcz

i administrator, oraz dwaj wikariusze – ksiądz Bronisław Guzowski i ksiądz Stanisław Zub (Zborowski). W tużpowojennych śledztwach i procesach niektórych mieszkańców Gniewczyny świadkowie i oskarżeni zeznają przeważnie, że „nic nie widzieli”, „nic nie słyszeli”, „nic nie wiedzą”.

A fakty są takie: grupa miejscowych z komendantem rejonowej straży pożarnej i strażakami zwabiła ukrywających się Żydów do opuszczonego przez gospodarzy domu Trynczerów, uwięziła ich tam i przez trzy dni torturowała mężczyzn, gwałciła kobiety, zmuszając ofiary do ujawnienia, gdzie ukryli rzeczy i kosztowności. Później oprawcy zawiadomili posterunek policji granatowej, do wsi przyjechała żandarmeria (prawdopodobnie Ukraińcy) w asyście jednego czy dwóch policjantów granatowych. Żydzi zostali rozstrzelani w ogrodzie domu Trynczerów, a ciała wrzucono do wykopanego tam wcześniej dołu. Ofiar było jedenaście: trzy kobiety, dwóch mężczyzn oraz sześcioro dzieci. Helcia (Rachela?) była najmłodsza. Miała dziewięć miesięcy.

Naoczność świadectwa gwarantuje realność i bezpośredniość doświadczenia. Jest znakiem jego prawdziwości. Mówi się: to się wydarzyło naprawdę, bo widziałem to na własne oczy. Dwunastoletni wtedy mieszkaniec Gniewczyny Tadeusz Markiel widział wszystko na własne oczy. Po sześćdziesięciu czterech latach spisał swoje świadectwo. Obszerny komentarz historyczny do wspomnień Markiela dopisała Alina Skibińska. Podążam ich śladem, ale interesuje mnie tutaj nie sama zbrodnia, lecz to, czy i jak na nią patrzyli, i co o niej wiedzieli sąsiedzi. A także co mogli o niej wiedzieć i jak na nią reagowali księża z kościoła Świętego Mateusza, górującego nad wsią.

Tadeusz Markiel wspomina, że Sztangli, jednej z uwięzionych w domu Trynczerów Żydówek, udało się wyrwać z rąk oprawców.

> Biegła jak oszalała, mając nadzieję, że zdoła się oderwać od goniącego ją prześladowcy. […] Ale prześladowca nie zgubił ofiary. Wyciągnął ją za włosy. Próbowała go przekupić, ofiarując złoty łańcuszek zaszyty w ubraniu. Szlochała, błagała, znali się, jak wszyscy we wsi, był jej rówieśnikiem. Ponury spryciarz nie dał się ubłagać. Wczepił się łapą w jej włosy i dowlókł ją z powrotem. Ludzie udawali, że tego nie widzą… Sztangla miała nadzieję sprowadzić ratunek dla dwójki swoich dzieci.

> Może paść na kolana przed proboszczem lub wikarym i prosić o pomoc? Nigdy się nie dowiemy. Możemy tylko przypuszczać, że chciała postąpić jak jej babcia Semkowa dzień później, kiedy to skoro świt przybiegła pod kościół przed pierwszą mszą i klęcząc u drzwi, czekała na chwilę, kiedy ksiądz i pierwsi staruszkowie będą wchodzić do kościoła. Wyciągała do nich z płaczem ręce, prosząc o ratunek dla rodziny. Bezskutecznie. I zaraz musiała uciekać, bo zaczynał się ruch we wsi. Do kościoła nie mogła wejść z obawy, aby nie oskarżono ją o profanację hostii.

Ludzie udawali, że tego nie widzą. Bała się, że oskarżą ją o profanację hostii.

Ksiądz Stanisław Zub, wikary z Gniewczyny, działał w podziemiu. Był kapelanem Placówki AK Tryńcza. Miał pseudonim „Spes" (łac. nadzieja). Brał udział w tajnym nauczaniu i kolportażu pracy podziemnej, spowiadał uczestników akcji dywersyjnych. Po wojnie był kapelanem oddziału Jana Totha „Mewy", jednego z „niezłomnych" czy „wyklętych". Został aresztowany w 1949 roku, skazany na dziesięć lat, zwolniony w ramach amnestii w 1955 roku. Piękna karta. Co zrobił wtedy w Gniewczynie, kiedy sąsiedzi torturowali i mordowali żydowskich mieszkańców wsi? W materiałach ze śledztwa i w zeznaniach procesowych księża z Gniewczyny się nie pojawiają. Wielcy nieobecni. Czy naprawdę nie było ich wtedy na miejscu? Czy naprawdę nic nie widzieli i nic nie słyszeli? Czy Semkowej, która pobiegła pod kościół i błagała o ratunek, ksiądz Zub, pseudonim „Spes", dał jakąś nadzieję? Tego nie wiemy. Tego już nie będziemy wiedzieć.

[15]

Kościół Wszystkich Świętych na placu Grzybowskim znalazł się na terenie getta warszawskiego. Skupiła się tam grupka Żydów katolików. Na plebanii mieszkało około stu wybrańców (nie tylko katolików), w tym profesor Ludwik Hirszfeld z rodziną. Byli wybrańcami. W porównaniu ze strasznymi warunkami panującymi w dzielnicy zamkniętej żyło im się – *nomen omen* – jak u Pana Boga za piecem. Funkcję proboszcza pełnił ksiądz prałat Marceli Godlewski, ciekawa postać, choć zmitologizowana

i poddana po wojnie obróbce hagiograficznej. Trudno dziś odróżnić fakty od legend. Urodził się w 1865 roku. Działał w Stowarzyszeniu Robotników Chrześcijańskich, którego był współzałożycielem w 1905 roku. Po wybuchu I wojny światowej wszedł w skład Komitetu Narodowego Polskiego (warszawskiego) i zasiadał tam obok Romana Dmowskiego. Podczas niemieckiej okupacji Warszawy w marcu 1917 roku apelował wraz z innymi członkami Towarzystwa Popierania Przemysłu i Handlu Polskiego „Rozwój" o przestrzeganie hasła „swój do swego po swoje". Był zagorzałym zwolennikiem endecji, w 1930 roku został powołany do władz Stronnictwa Narodowego, zasiadał w Wydziale Propagandy Katolicyzmu przy Zarządzie Głównym. W międzywojennej Polsce walczył z wpływami socjalistycznymi i żydowskimi. Był zdeklarowanym antysemitą, a jednak w czasie okupacji, razem ze swoim wikariuszem księdzem Antonim Czarneckim, pomagał Żydom. W jego domu w Aninie, który oddał na potrzeby Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi prowadzących tam sierociniec, ukrywały się dzieci żydowskie. Pod jego patronatem kancelaria parafialna wystawiała Żydom fałszywe metryki. Zmarł krótko po wojnie – w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia 1945 roku. Instytut Yad Vashem w 2009 roku przyznał pośmiertnie księdzu Godlewskiemu tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.

Relacje zmitologizowane są przewidywalne, przypominają bardziej wzorce gatunkowe opowieści o świętych niż o rzeczywistości historycznej. Tendencyjność, jednostronność, natrętny dydaktyzm i homiletyczny charakter. Poziom refleksji historycznej nie wykracza poza opowieści o dzielnych Polakach pochłoniętych ratowaniem cierpiących Żydów. Poziom refleksji humanistycznej nie wykracza poza naiwne konstatacje typu „po każdej stronie byli dobrzy i źli ludzie". Na tym tle wyróżnia się krótki, choć kąśliwy fragment o księdzu Godlewskim, który zaczerpnąłem z długiego pamiętnika Anatola Weksztejna. Dziewięć lat młodszy od prałata Godlewskiego, pochodził z Łowicza, z rodziny zasymilowanej od wielu pokoleń. Miał barwny życiorys: szkoła w Charkowie, praca w Towarzystwie Niesienia Pomocy Żydom Ofiarom Wojny, internowanie w Niemczech w czasie I wojny światowej. Był przemysłowcem,

właścicielem fabryk ceramicznych w Łowiczu i Boryszewie oraz współwłaścicielem fabryki sztucznego jedwabiu w Sochaczewie. Pamiętnik skończył pisać w 1956 roku, doprowadzając opowieść autobiograficzną do końca wojny. W 1945 roku zaczął pracować w Ministerstwie Przemysłu jako dyrektor Departamentu Przemysłowo-Handlowego. Zapowiadał napisanie drugiej części pamiętnika – o swoich losach powojennych. Niestety w archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego znajduje się tylko część pierwsza (AŻIH sygn. 302/204), licząca dwieście cztery strony maszynopisu. Jest znakomicie napisana, z pazurem, brawurowo, miejscami – pasjonująco. Ktoś powinien Weksztejna wydać. Oto próbka jego poczucia humoru. Jest okupacja, jeszcze przed zamknięciem getta. Weksztejn zachodzi do kościoła na Tamce.

> Trafiam na księdza – syn chłopa z Łowicza, i mówię mu otwarcie: „panie, potrzebne mi dla ocalenia się od Niemców świadectwo, że jestem katolikiem”. Ten zaś robi mi utrudnienia, że muszę się kilka tygodni uczyć i przysposobić do tego. Tłumaczę mu, że nie ma na to czasu. W końcu zagniewany mówię do niego: „powiem księdzu opowiastkę. Był pewien Żyd, potrzebował w jakimś celu handlowym przyjąć chrzest. Przychodzi do takiego księdza jak pan i ten mu to samo mówi – musisz naprawdę uwierzyć w Chrystusa i jego cuda. Żyd się namyśla i mówi – proszę wielebnego księdza, ja mam wspólnika, czy mogę z nim razem przyjść. Ksiądz ucieszony, że jeszcze jedną duszę zbawi, zgadza się. Żyd przyprowadza człowieka i zaczyna wyliczać księdzu: że Chrystus rozdzielił chleb między tylu ludzi – to ja wierzę, ale że oni byli syci, to mój wspólnik wierzy; że Chrystus rozkazał morzu, żeby się uspokoiło – to ja wierzę, a że się morze uspokoiło, to mój wspólnik wierzy; że Chrystus kazał wstać z grobu Łazarzowi – to ja wierzę, ale że Łazarz wstał i spacerował, to mój wspólnik wierzy”. Wspólnik ten był chrześcijaninem. Trzasnąłem drzwiami i poszedłem. I zadowolony jestem do dnia dzisiejszego, że tego błazeństwa nie zrobiłem. Nie wyśmiewam się z ludzi, którzy wierzą, szanuję ich. […] I co się okazało: chrzczeni czy niechrzczeni poszli razem do pieca.

I ten krotochwilny Weksztejn ma do opowiedzenia taką oto historię o „znanym księdzu antysemicie” Godlewskim.

> Kiedy ksiądz Godlewski zachorował – lekarze Żydzi leczyli go, mówiono, że [stan] jest beznadziejny. No ale te Żydówki chrzczone dzień i noc tak go pielęgnowały, że po

3 miesiącach wyzdrowiał. Wtedy dopiero staruszek zaczął się przed nimi kajać i przepraszać za jego artykuły antysemickie, że on nie znał dobrze narodu żydowskiego. Płakał, gdy to mówił: „Zgrzeszyłem”.

Ci Żydzi, na których ksiądz Godlewski, nie znając ich, pomstował przed wojną, trzy lata po jej zakończeniu potrafili się pięknie odwdzięczyć za pomoc. Amerykańsko-Żydowski Połączony Komitet Rozdzielczy (American Jewish Joint Distribution Committee) przesłał na ręce następcy księdza Godlewskiego w parafii Wszystkich Świętych, wielebnego księdza prałata Zygmunta Kaczyńskiego, darowiznę w wysokości stu tysięcy złotych na odbudowę zniszczonego kościoła. Dyrektor komitetu William Bein pisał: „Chcę tą drogą zakomunikować, że chociaż w skromnej mierze, chcemy się przyczynić w imieniu Żydów, którzy ocaleli przy prawdziwie humanitarnej pomocy Kościoła, do odbudowy Jego i w załączeniu przesyłam czek na odbudowę kościoła Wszystkich Świętych w wysokości zł 100 000”. Za te pieniądze proboszcz mógł oszklić cały kościół i kupić jeszcze dziesięć tysięcy cegieł. Pamiętajmy więc, przechodząc przez plac Grzybowski i patrząc na tę wspaniałą świątynię, że swoje cegiełki mają tutaj także Żydzi.

[16]

Historię tę postrzegam jako mroczny teatr zdrady prześwietlony ewangelicznym promieniem światła. Mamy cztery *dramatis personae*: dwóch katolickich księży i jednego gestapowca, a poza sceną zakonnicę ze Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi. Jeden ksiądz doniósł na gestapo na drugiego księdza. Nikt z hierarchów i przełożonych nie wziął zadenuncjowanego w obronę, nawet symbolicznie. Głos podniosła tylko ona, szeregowa zakonnica, pielęgniarka w domu dziecka. Nie symbolicznie, lecz realnie. Napisała oficjalny list do samego gubernatora dystryktu warszawskiego Ludwiga Fischera, błagając o uwolnienie zatrzymanego. Cały ten dramat mogę przedstawić dzięki profesorowi Janowi Grabowskiemu, który w aktach Niemieckiego Sądu Specjalnego w Warszawie, przechowywanych w Archiwum Miasta Stołecznego

Warszawy, odnalazł liczącą pięćdziesiąt dwie karty teczkę zawierającą akta sprawy aresztowanego 24 kwietnia 1941 roku księdza Tadeusza Pudra.

Donos złożył ksiądz Stanisław Trzeciak. Wstępne dochodzenie prowadził SS-Untersturmführer Karl Georg Brandt, zastępca szefa referatu IVB w Wydziale IV, czyli w gestapo (sprawy kościelne, sekty, wolnomularstwo, kwestie żydowskie), razem z SS-Oberscharführerem Gerhardem von Mendem nadzorujący żelazną ręką Wielką Akcję Likwidacyjną w getcie warszawskim. Ale to będzie dopiero latem 1942 roku. Na razie mamy wiosnę 1941 roku. Na przesłuchanie w charakterze świadka stawia się ksiądz Trzeciak. Po drugiej stronie stołu siedzi Brandt. Jest 22 marca 1941 roku. Trzeciak zeznaje płynną niemczyzną, język niemiecki znał doskonale:

> W odniesieniu do zapytania o wikarego Pudra stwierdzam, że znam tego duchownego. Wiem, że jego rodzice byli Żydami pełnej krwi [*Volljuden*]. Jego ojciec spoczywa na żydowskim cmentarzu tutaj w Warszawie. Sam nigdy nie wspominał mi o tym, że ma pochodzenie żydowskie, ale przypadkowo dowiedziałem się, że Puder jest obrzezany. Ponieważ już długo przed wojną byłem zdecydowanym przeciwnikiem Żydów, więc zainteresowałem się przypadkiem Tadeusza Pudra. W kręgach duchownych katolickich powszechnie mówiono, że Puder jest Żydem. Puder został ochrzczony w obrządku rzymskokatolickim w wieku dziewięciu lat. Ale nie potrafię teraz powiedzieć, w którym kościele został ochrzczony. W okresie przed wojną polsko-niemiecką, według mojej wiedzy, jego matka mieszkała w Warszawie. Puder jest obecnie wikarym w ośrodku wychowawczym dla chłopców w Płudach k.Warszawy. Powszechnie wiadomo, że wikary Puder zawsze wstawiał się za Żydami. W kazaniach wielokrotnie głosił i dosłownie stwierdzał, że: „Jeżeli my, katolicy, zwalczamy Żydów, to tym samym występujemy przeciwko naszej własnej religii”.

W protokole błędnie wpisano Płudy. Ale Trzeciak doskonale wiedział, gdzie szukać Żyda w sutannie. Ksiądz Puder był wówczas kapelanem przy kaplicy Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi, które prowadziły w Białołęce Dworskiej sierociniec Bożyczyn dla ponad setki dzieci. 24 kwietnia 1941 roku gestapowcy przyszli na gotowe. Wiedzieli, kogo szukają i gdzie go znajdą.

Następnego dnia Brandt przesłuchiwał księdza Pudra, oskarżonego o zatajenie żydowskiej tożsamości, nienoszenie opaski z gwiazdą Dawida oraz odmowę udania się do getta. Puder przyznał się do „winy", ale tłumaczył: „Wiem, że według przepisów niemieckich, mimo przyjętego chrztu, jestem uważany za Żyda. To, że nie nosiłem opaski, nie wynikało stąd, że próbowałem się kryć, ale stąd, że – jak już wspomniałem – jako duchowny kat[olicki] nie mogę nosić opaski żydowskiej". Na proces czekał w więzieniu na Rakowieckiej. I wtedy w jego sprawie wystąpiła Agnieszka Barbara Dymna, siostra miłosierdzia Agnes, od 1924 roku w Zgromadzeniu Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi w Warszawie, dyplomowana pielęgniarka pracująca w prowadzonych przez zgromadzenie sierocińcach w Strudze, Płudach, Międzylesiu i Białołęce. 13 czerwca siostra Agnes pisze list do gubernatora dystryktu warszawskiego.

> 25 kwietnia 1941 został zaaresztowany nasz kapłan, ojciec Tadeusz Puder, pod zarzutem, że jest pochodzenia żydowskiego. Znajduje się on teraz w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Nasz sierociniec wiele mu zawdzięcza, jako że przez długi czas nie mieliśmy męskiej pomocy, to ksiądz nam sam pomagał, obok duchowej posługi pomagał nam całymi dniami przy żniwach, jak również przy wszystkich innych pracach polowych i gospodarskich. Dlatego też ośmielam się skierować do Pana moją prośbę. W imieniu rannych żołnierzy niemieckich, którymi się opiekowałam, i którzy mi przyrzekli: „Siostro, wszystko to, co dla nas uczyniłaś, będzie ci odpłacone". I wstawiam się za kapłana, w imieniu poległych niemieckich żołnierzy, bo on troszczył się o ich groby, aby nie uległy zniszczeniu. Błagam teraz o łaskę dla niego, o jego zwolnienie, tak aby mógł wrócić do naszego sierocińca – tu gdzie go zatrzymano i tu gdzie na niego czekamy. Mam nadzieje, że będzie Pan [mógł – J. L.] zadość uczynić tej prośbie i że jej Pan nie odmówi. Pozostaję z szacunkiem, Siostra miłosierdzia Agnes.

Odmówił. Wniosek został szybko odrzucony. Pod powiadomieniem o odmowie podpis nieczytelny.

Wyrok zapadł 1 września 1941 roku. Ksiądz Puder został skazany na rok i osiem miesięcy więzienia. Wrócił na Rakowiecką. Chorował. Siostry z Białołęki nie opuściły go. Dzięki ich zabiegom ksiądz Puder został przeniesiony do Szpitala Świętej Zofii na Żelaznej, pozostającego pod nadzorem gestapo, a stojącego w obrębie getta. W szpitalu Puder zjawił się

w dniu rozpoczęcia Wielkiej Akcji Likwidacyjnej – 22 lipca 1942 roku. Siostry go nie opuściły. Udało się zorganizować ucieczkę i ksiądz Puder zbiegł 12 listopada 1942 roku. 22 stycznia 1945 roku na warszawskiej ulicy wpadł pod koła sowieckiej ciężarówki. Umarł po pięciu dniach. Księdza Trzeciaka, antysemitę, germanofila, kolaboranta i denuncjatora, dosięgła niemiecka kula 8 sierpnia 1944 roku w okolicach placu Teatralnego. SS-Untersturmführer Karl Georg Brandt rozprawił się krwawo z gettem warszawskim, wysławszy do Treblinki trzysta tysięcy Żydów (cóż znaczył dla niego jeden Puder, cóż znaczył donosiciel Trzeciak). Na początku 1945 roku został ranny w czasie walk o Poznań. Umarł prawdopodobnie w lutym tego roku.

Dla mnie w całej tej sprawie prawdziwą bohaterką jest siostra Agnes. Po wojnie pracowała w domu prowincjalnym przy ulicy Hożej w Warszawie. Ostatnie lata życia spędziła w Markach-Pustelniku jako pielęgniarka. Zmarła w 1986 roku. Jej wstawiennictwo za Pudrem było nie tylko aktem osobistej odwagi, lecz także podjętą spontanicznie realizacją ewangelicznego przesłania – bez kunktatorstwa, bez dyplomatycznej ostrożności. Jej argumentacja ma charakter samarytański i ekumeniczny. Zakonnica powołuje się na swoją opiekę nad rannymi żołnierzami niemieckimi we wrześniu 1939 roku oraz na opiekę księdza Pudra nad grobami niemieckich żołnierzy. W aktach sprawy znajduje się zaświadczenie, wystawione przez szefa Kompanii Sanitarnej 2/32 i lekarza polowego podporucznika doktora Stedinga, potwierdzające pomoc świadczoną przez siostry i za tę pomoc dziękujące. Niemiecki lekarz wojskowy zwraca się tam do niemieckich jednostek:

> w najbliższym czasie [może wystąpić] poważne zagrożenie dla zaopatrzenia ok. 100 osieroconych dzieci przebywających w ośrodku, uprasza się członków oddziałów o maksymalne uwzględnienie [potrzeb] sierocińca, i szczególnie, o ile to możliwe, zaniechanie rekwizycji środków żywnościowych i paszy.

To jest dla mnie prawdziwie ewangeliczny promień światła w całej tej sprawie.

[17]

August był dzieckiem dróżnika kolejowego, urodził się w 1881 roku tam, gdzie stykały się granice trzech zaborów (tak zwany Trójkąt Trzech Cesarzy) – czyli w Brzęczkowicach (stanowiących dziś dzielnicę Mysłowic). Uczył się pilnie w szkole salezjańskiej najpierw na miejscu, następnie pojechał na nauki aż do Włoch. W wieku piętnastu lat wstąpił do zgromadzenia księży salezjanów, rok później złożył śluby zakonne, a studia na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim zakończył jako dziewiętnastolatek. Święcenia kapłańskie przyjął, gdy miał lat dwadzieścia cztery, i zaczął się piąć po szczeblach kariery: od posady nauczyciela u salezjanów, przez biskupa diecezjalnego w Katowicach, aż do prymasa Polski, którym został w wieku czterdziestu pięciu lat.

Karol urodził się w Warszawie, ale nie znam dokładnej daty. W 1915 roku wyjechał z Warszawy do Piotrogrodu. Nie mogąc wrócić do zajętego przez Niemców rodzinnego miasta, przeniósł się do Moskwy, gdzie pracował przy produkcji onuc dla wojska. Wyjechał na Daleki Wschód w poszukiwaniu bawełny. Przemierzył Syberię, Mandżurię, Japonię. Nawiązał kontakt z firmami japońskimi, organizował punkty tranzytowe w Irkucku i Chabarowsku. Wybuch rewolucji lutowej, a później pucz bolszewicki pokrzyżowały mu plany handlowe. W 1919 roku udało mu się wydostać z Rosji i przez Chiny, Koreę, Japonię, Hawaje trafił do San Francisco. Na trasie jego dalszej wędrówki były: Kalifornia, Teksas, Wielki Kanion Kolorado, Meksyk, Chicago, Nowy Jork. Stamtąd popłynął do Anglii. Przez Ostendę i Berlin dotarł w końcu do Warszawy. Przed wojną pracował jako technik dentystyczny. W 1929 roku urodził mu się syn Paweł.

August 14 września 1939 roku opuścił swoją owczarnię i jako pasterz bez stada przekroczył granicę Polski i znalazł się w Rumunii. Tam o mało nie został prezydentem, oferowano mu też stanowisko premiera, ale zaszczytu tego nie przyjął. Już 19 września znalazł się w Watykanie. Z Półwyspu Apenińskiego przeniósł się w czerwcu 1940 roku do Lourdes, gdzie Matka Boska przemówiła do córki młynarza w miejscowym

dialekcie: „*Que soy era Immaculada Councepciou*” [Ja jestem Niepokalane Poczęcie]. 6 kwietnia 1943 roku pod nadzorem policyjnym pojechał do Hautecombe koło Aix-les-Bains – uzdrowiska w Sabaudii nad jeziorem Bourget. Za trzynaście dni wybuchło powstanie w getcie warszawskim.

W czasie Wielkiej Akcji Likwidacyjnej w getcie warszawskim Karol stracił ukochanego syna: 18 sierpnia 1942 roku trzynastoletni chłopiec podczas selekcji w szopie Toebbensa został zabrany na Umschlagplatz i wywieziony do Treblinki. Karol był zatrudniony w szopie szczotkarzy na Świętojerskiej. 15 lutego 1943 roku w okolicy ogrodu Krasińskich przedostał się przez mur na stronę aryjską. Wraz z żoną, która wyszła z getta parę dni wcześniej, znalazł schronienie na Pradze. Tam – spoglądając zza Wisły na płonące getto – zaczął spisywać pamiętnik.

Oto biografie paralelne: Augusta Hlonda – kardynała i prymasa, oraz Karola Rotgebera – technika dentystycznego. Dlaczego je zestawiam? 29 kwietnia 1943 roku Karol Rotgeber, patrząc na łuny płonącego getta, pisze list „Do Jego Eminencji Arcybiskupa Ziem Polskich”. Jest to krzyk rozpaczy, a jednocześnie nadziei:

> Cóż Ty, Ojcze Wielebny! Czy puszcza jest naokoło? Czy nie słychać żadnego głosu, jęku? […] Czy nie nałożył Zbawiciel na Ciebie, Ojcze Wielebny, jako Słudze Jego, obowiązku podniesienia głosu potężnego, świadka zbrodni niesłychanej, ohydnej! Cóż powie Zbawiciel? […] I Ty, Ojcze Wielebny, Sługo Boży – milczysz? Cicho siedzisz, spędzając w spokoju dni żywota swego. […] Jako Pasterz Boży zechciej może wezwać wiernych do podania dłoni resztkom swych współobywateli, aby mogli wytrwać, czy to po tej lub tamtej stronie murów. Czekamy więc.

Dalsze losy Karola Rotgebera nie są znane, nie wiadomo też, w jaki sposób jego pamiętnik trafił do archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego (AŻIH sygn. 302/48). Dalsze losy Augusta Hlonda są dobrze znane. Z Rzymu wrócił w lipcu 1945 roku do Poznania. Przeniósł stolicę prymasowską do Warszawy. Zajął się intensywnie powrotem Kościoła katolickiego na Ziemie Odzyskane. 8 września 1946 roku w Częstochowie ogłosił Akt poświęcenia Narodu Polskiego Niepokalanemu Sercu Maryi. Według hagiografów „padł jak żołnierz na posterunku niespodziewanie

i w pełni swej działalności i walki o Chrystusowe jutro w Narodzie polskim”. Podobno wierzył głęboko, że „Pan Bóg wciągnie go przemocą za uszy do nieba”. Zmarł 22 października 1948 roku, a jego ciało złożono w ruinach warszawskiej katedry. W 1992 roku archidiecezja warszawska rozpoczęła proces beatyfikacyjny Augusta, syna dróżnika. Został już ogłoszony Sługą Bożym Kościoła katolickiego.

[18]

11 września 1943 roku wojska niemieckie zajęły Rzym. W Wiecznym Mieście mieszkało wówczas około siedmiu tysięcy Żydów. Naczelny rabin rzymski Israel Zolli doskonale wiedział, co Niemcy robią z Żydami. Dzięki pomocy Watykanu wraz z rodziną schronił się za murami Stolicy Apostolskiej. Urzędnicy watykańscy pomogli też niektórym Żydom wyjechać z zagrożonego getta. Grupa wykonawcza SS z Adolfem Eichmannem dążyła do jak najszybszej deportacji, dowództwo Wehrmachtu zwlekało, chcąc szantażem ściągnąć okup. Niemcy zażądali dostarczenia pięćdziesięciu kilogramów złota w ciągu trzydziestu sześciu godzin. Zaczęła się gorączkowa zbiórka. Wtedy nadeszła wiadomość, że Pius XII zgodził się udzielić pożyczki. Podkreślić trzeba, że chodziło o pożyczkę, a nie o dar papieża na rzecz ratowania Żydów. Watykan wielkodusznie nie oznaczył terminu zwrotu i nie domagał się odsetek (przecież lichwa to żydowski interes). Rzymscy Żydzi zebrali okup sami, bez papieskiej pomocy – Watykan nie pożyczył, a tym bardziej nie podarował Żydom ani jednego grama złota. Jednak do dziś rozpowszechnia się legendę o hojności Piusa XII.

Na początku października 1943 roku do Rzymu zjechało Vernichtungskommando. W sobotę 16 października wczesnym rankiem zaczęła się łapanka. Wyciągano Żydów z domów i ładowano ich na otwarte ciężarówki. Przejeżdżały specjalnie tuż koło placu Świętego Piotra – esesmani chcieli sobie popatrzyć na słynną bazylikę. Schwytanych zwożono do koszar Collegio Militare di Roma, mieszczących się w dawnym Palazzo Salviati, od 1840 roku należącym do Państwa

Kościelnego. Kiedy po 1870 roku przestało ono istnieć, w pałacu ulokowały się sąd wojskowy, uczelnia wojskowa i koszary. A wszystko to nie więcej niż osiemset metrów od papieskich okien.

Przebieg wypadków, który rekonstruuje w swojej książce John Cornwell, wydaje się dziś kompletnie niezrozumiały. Oto władze niemieckie (szczególnie konsul Trzeciej Rzeszy Albrecht von Kessel) naciskają Piusa XII, aby protestował! Cywilne władze niemieckie obawiały się wzburzenia mieszkańców Rzymu i akcji włoskich partyzantów. Poza tym władze okupacyjne chciały deportację odwlec i osłabić. Ale papież zachował zimną krew i nie dał się sprowokować do otwartego protestu. Ani w dniu deportacji, ani w dniach następnych Pius XII osobiście nie wypowiedział publicznie na ten temat nawet słowa. Ernst von Weizsäcker, niemiecki ambasador w Watykanie, spotkał się w tę koszmarną sobotę 16 października z watykańskim sekretarzem stanu kardynałem Luigim Maglionem. W zbiorze dokumentów z czasów wojny, który zaczęto gromadzić i opracowywać na polecenie Pawła VI i w latach 1965–1981 opublikowano w jedenastu tomach jako *Actes et documents du Saint-Siège relatifs à la période de la Seconde Guerre Mondiale*, znajduje się odręczna notatka Maglionego z tego spotkania. Kardynał zapisał pytanie niemieckiego ambasadora: „A co zrobi Stolica Apostolska, jeżeli to będzie trwało?”. Odpowiada mu watykański sekretarz stanu: „Stolica Apostolska nie chciałaby znaleźć się w sytuacji zmuszającej ją do wyrażenia dezaprobaty”. Maglione kilkakrotnie prosił von Weizsäckera o zachowanie absolutnej dyskrecji i nieujawnianie treści rozmowy. Uspokojony zapewnieniami kardynał przypomniał ambasadorowi, „że Stolica Apostolska, co sam przyznał, wykazała najwyższą roztropność, by nie sprawić na niemieckim narodzie wrażenia, że w czasie tej strasznej wojny zrobiła – lub chciała zrobić – cokolwiek wbrew interesom Niemiec”. Tak jest napisane w watykańskich dokumentach. Słowo w słowo!

I znów następuje coś niebywałego. Ernst von Weizsäcker podejmuje inicjatywę, aby zamiast papieża wypowiedział się w sprawie deportacji ktoś niższy rangą. Padło na biskupa Aloisa Hudala, wówczas proboszcza niemieckiego kościoła katolickiego Santa Maria dell’Anima w Rzymie,

później niestrudzonego organizatora pomocy dla nazistowskich zbrodniarzy. Plan był taki: Hudal, rzekomo w imieniu Piusa XII, wystosowuje listy do generała Reinera Stahla – dowódcy rzymskiego garnizonu, oraz von Weizsäckera – ambasadora w Watykanie. W podyktowanym mu przez Niemców liście Hudal pisał między innymi:

> Zwracam się do Pana ze sprawą niecierpiącą zwłoki. Miarodajny watykański dygnitarz, stojący blisko Ojca Świętego, powiadomił mnie właśnie, że dziś rano rozpoczęto aresztowania Żydów narodowości włoskiej. W interesie dotychczasowych dobrych stosunków Watykanu z dowództwem wojsk niemieckich […] z całą powagą żądam, aby nakazał Pan bezzwłocznie powstrzymać te aresztowania w Rzymie i jego okolicach.

Po co była Niemcom ta mistyfikacja? Otóż w trwającym niemal przez całą wojnę podskórnym konflikcie między SS a Wehrmachtem wojskowi kierowali się pragmatyzmem, a nie ideologią. W Rzymie, podobnie jak w innych miejscach, woleli wykorzystać Żydów do niewolniczej pracy niż ich po prostu mordować. Protest papieża ułatwiłby zatrzymanie deportacji i „skierowanie Żydów do robót na miejscu, we Włoszech".

Milczenie Piusa XII miało według hagiografów uchronić Watykan i bezcenne papieskie posiadłości przed bombardowaniem. Miało też ocalić samego Ojca Świętego przed gniewem Hitlera, który ponoć chciał zająć i splądrować Watykan, a potem porwać papieża i osadzić go w Liechtensteinie. Skąd o tym wiemy? Otóż generał Karl Wolff złożył przed jezuitami w 1972 roku oświadczenie pod przysięgą, znajdujące się w materiałach procesu beatyfikacyjnego Piusa XII, i tylko tam. Wolff był szefem policji i SS we Włoszech i – jak zeznaje – dostał od Hitlera rozkaz przygotowania planu porwania. Führer miał już w lipcu 1943 roku mówić do podwładnych: „Wejdę do Watykanu. […] Wypędzimy stamtąd to stado świń!". Wolff zdołał jednak wyperswadować Hitlerowi ten pomysł. Watykan i papież są potężną siłą, my nie ruszamy Kościoła, a Kościół udziela nam dyskretnego poparcia, bez którego trudno byłoby nam wykonywać nasze zadania. Hitler zgodził się z argumentacją Wolffa. „Tak więc nawet Hitler uznał to, czego nie chciał dostrzec Pacelli – że jesienią

1943 roku najpotężniejszą siłę społeczną i polityczną we Włoszech stanowił Kościół katolicki, a jego możliwości w zakresie sprzeciwu i niepodporządkowania się nazistom były ogromne” – pisze John Cornwell.

Ale myśl papieża nie biegła jesienią 1943 roku ku Żydom, lecz ku komunistom, których bał się jak diabeł święconej wody. Podobnie jak Niemcy obawiał się reakcji włoskich partyzantów (nazywał ich „komunistycznymi bandami”) na deportacje. Dlatego pragnął zwiększenia kontyngentu niemieckiego w Rzymie. Powiedział to posłowi Stanów Zjednoczonych Haroldowi Tittmannowi, który w depeszy poinformował o tym Departament Stanu w Waszyngtonie. Tittmann pisał o niepokoju papieża, że „wobec niedostatecznej ochrony policyjnej nieodpowiedzialne elementy (oznajmił, że w okolicach Rzymu stacjonują obecnie niewielkie komunistyczne bandy) mogą wywołać w mieście zamieszki. […] Niemcy uszanowali miasto Watykan i dobra Stolicy Apostolskiej w Rzymie, a ich naczelny dowódca (Stahel) jest dobrze do niej nastawiony”. Natychmiast też zabrano się w Watykanie do propagandowych zabiegów, które dziś nazwalibyśmy tworzeniem postprawdy. Watykański tygodnik „L’Osservatore Romano” w numerze z 25–26 października 1943 roku – zaledwie dziesięć dni po deportacjach! – opublikował artykuł, którego autor wzniósł się na szczyty hipokryzji i zakłamania:

> Dostojny papież, jak dobrze wiadomo […], na jedną chwilę nie zaprzestał czynić wszystkiego, co w jego mocy, aby nieść ulgę w cierpieniu, które we wszystkich swoich przejawach jest następstwem tej okrutnej pożogi. Wraz z nawałą tak wielkiego zła powszechna, ojcowska miłość papieża tylko się wzmogła – nie zna granic narodowości, religii ani rasy. Różnorodna, niestrudzona działalność Piusa XII nasiliła się jeszcze bardziej ostatnimi czasy w obliczu pomnożenia się cierpień tylu nieszczęśliwych ludzi.

Cóż za ekwilibrystyka słowna, co za mistrzostwo uników, arcydzieło watykańskiej nowomowy. Świątobliwemu autorowi, podobnie jak wielu biskupom i papieżom, przez usta nie mogło przejść plugawe słowo na „Ż”.

18 października 1943 roku transport Żydów z Rzymu wyjechał do Auschwitz. W Birkenau zagazowano tysiąc sześćdziesięciu deportowanych, stu czterdziestu dziewięciu mężczyzn i czterdzieści siedem kobiet

skierowano do obozu Auschwitz I. Przeżyło czternastu mężczyzn i jedna kobieta – Settimia Spizzichino (była królikiem doświadczalnym doktora Mengelego, który dzięki pomocy biskupa Hudala uciekł w 1949 roku do Argentyny). W listopadzie 1945 roku Pius XII spotkał się z grupą ocalałych Żydów, którzy dziękowali „Ojcu Świętemu za wielkoduszność, jaką okazał prześladowanym w okresie rządów nazistowsko-faszystowskich". W 1995 roku Settimia Spizzichino w wywiadzie dla BBC powiedziała:

> Straciłam matkę, dwie siostry, siostrzenicę i brata. Pius XII mógł nas ostrzec, co się stanie. Mogliśmy uciec z Rzymu i dołączyć do partyzantów. Postąpił po myśli Niemców. Przecież to stało się tuż pod jego nosem. Ale był papieżem antysemickim, papieżem proniemieckim. Nic nie ryzykował. Więc kiedy tego papieża porównują z Jezusem Chrystusem, to nieprawda. Nie uratował ani jednego dziecka. Nie zrobił nic.

[19]

W Kleinmachnow, położonym niespełna dwadzieścia kilometrów od centrum Berlina, dwanaście kilometrów na wschód od Poczdamu, a niespełna pięć od Wannsee, jest mały zadrzewiony skwer. Nazywa się to miejsce Margarete-Sommer-Platz. W samym Berlinie, w dzielnicy Prenzlauer Berg, na osiedlu Winsviertel jest niewielka uliczka Margarete-Sommer-Strasse. Biegnie wśród drzew, z jednej strony dotyka parku Friedrichshain, z drugiej boisk sportowych. Rzadko kiedy przejeżdża tam samochód. Patronka ma zarówno w Kleinmachnow, jak i w Prenzlauer Berg święty spokój. Ale ja nie mam spokoju z Margarete Sommer. Nigdy jej nie spotkałem, a bardzo bym chciał. Urodziła się w 1893 roku w Schöneweide na obrzeżach Berlina (dziś to dzielnica Treptow-Köpenick w zakolu Sprewy), zmarła w 1965 roku w Berlinie Zachodnim. Natknąłem się na nią w jakiejś książce czy artykule, a później, wracając kiedyś z Wannsee do centrum Berlina, zatrzymałem się w Kleinmachnow – tam mieszkała i działała w czasie wojny. Ktoś mi powiedział o skwerze jej imienia. Na tym niewielkim placyku stoją dwie ławki i mały pomnik poświęcony „*Stille Helden*", czyli Niemcom – Cichym Bohaterom, którzy pomagali Żydom w czasie dwunastoletniego panowania Tysiącletniej Rzeszy. Na betonowych

ściankach są przymocowane małe, metalowe tabliczki z nazwiskami. Jest tam i jej nazwisko. Mały skwer, mała tabliczka, a postać wielkiego formatu.

Rozpoczęła studia na Uniwersytecie Fryderyka Wilhelma w Berlinie rok przed wybuchem I wojny światowej. Była wtedy jedną z trzech i pół tysiąca studentek w całym Cesarstwie Niemieckim. Studiowała ekonomię, filozofię, historię i prawo w Berlinie i Heidelbergu. W 1924 roku uzyskała doktorat jako jedna z nielicznych kobiet swojego pokolenia. Od młodości przekraczała bariery i konwenanse. Wstąpiła do Trzeciego Zakonu Dominikańskiego, czyli do tak zwanych świeckich dominikanów. Nie są oni zakonnikami, nie składają ślubów zakonnych, przyrzekają jednak żyć zgodnie z zatwierdzoną specjalnie dla nich regułą. Mają rodziny, dzieci, pracują zawodowo. Margarete w 1927 roku zaczęła pracę w seminarium nauczycielskim Pestalozzi-Fröbel-Haus w Berlinie, gdzie prowadziła zajęcia na temat systemu opieki społecznej. Przepracowała siedem lat, aż w 1934 roku została zmuszona do odejścia, ponieważ odmówiła nauczania nazistowskiej doktryny rasowej i eugenicznej. Już wtedy zaprzyjaźniła się z berlińskim księdzem Bernhardem Lichtenbergiem (później wielokrotnie przesłuchiwanym przez gestapo) i z ojcem Francisem Stratmannem, dominikaninem, otwartym krytykiem Hitlera i nazistów, przywódcą organizacji Przymierze Niemieckich Katolików dla Pokoju (Friedensbund Deutscher Katholiken). Rok po dojściu Hitlera do władzy Stratmann zwrócił się z listem do biskupa Monachium Michaela von Faulhabera, w którym napominał bawarskiego purpurata, że katolikom nie wolno popierać nazistów, że katolicki biskup wyrażający aprobatę czy tylko bierne przyzwolenie wobec nazizmu wystawia swój autorytet na szwank. Stratmanna aresztowano, a Margarete tylko straciła pracę.

Zaczęła działać w diecezjalnym ośrodku pomocy społecznej dla Żydów katolików, w ówczesnej nomenklaturze: „niearyjskich chrześcijan”. Została asystentką biskupa Berlina Konrada von Preysinga, który starał się aktywnie wspierać Żydów. Rozwinął w swojej diecezji sieć ośrodków pomocy, oficjalnie jedynie dla konwertytów, w rzeczywistości również dla innych Żydów. Początkowo Margarete zajmowała się Żydami emigrującymi (uciekającymi) z Niemiec, a kiedy nie wolno już było ani

emigrować, ani pracować, przekazywała im jedzenie, ubrania, pieniądze. Zaopiekowała się dwunastoletnią Sonją Goldwerth i jej jedenastoletnim bratem Mojsze, kiedy po nocy kryształowej ich rodzice musieli uchodzić do Francji. Umieściła rodzeństwo w katolickim sierocińcu na Ackerstrasse 17, starając się jednocześnie załatwić im miejsce w jednym z Kindertransportów (była to akcja legalnego wywożenia żydowskich dzieci do Anglii). Niestety wcześniej wybuchła wojna i dzieci zostały w Berlinie, umieszczone w różnych kryjówkach organizowanych przez Margarete. Mojsze nie mógł wysiedzieć w domu. W 1941 roku złapano go koło stacji Berlin Zoo i deportowano do Buchenwaldu, gdzie przetrwał do wyzwolenia obozu przez oddziały amerykańskiej piechoty 11 kwietnia 1945 roku. Sonja ukrywała się w wiosce koło Königsbergu i w chaosie panicznego wycofywania się Niemców na zachód udało jej się uciec, wrócić do Berlina i zgłosić się do Margarete. Ta ukryła ją najpierw w swoim mieszkaniu w Kleinmachnow, a później umieściła w katolickim internacie dla dziewcząt. Tam Sonja doczekała końca wojny. W maju 2003 roku Yad Vashem przyznał Margarete Sommer medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata", a w styczniu następnego roku podczas specjalnej uroczystości w kościele Serca Jezusowego w Berlinie Sonja Schönerstedt (Goldwerth) powiedziała: „Margarete była dla mnie jak Anioł Stróż".

Margarete zbierała informacje o Żydach deportowanych i o warunkach panujących w obozach. W Kleinmachnow był obóz pracy, filia obozu w Sachsenhausen. Miała do niego dostęp. Napisała cztery raporty. Trudno powiedzieć, co wiedziała o ośrodkach zagłady na terenie Generalnego Gubernatorstwa, dokąd trafiali niemieccy Żydzi. W jednym z raportów bardzo dokładnie opisała akcję wymordowania w październiku 1941 roku ponad dziewięciu tysięcy Żydów w IX Forcie na obrzeżach Kowna. Wśród ofiar byli także deportowani tam niemieccy Żydzi. Razem z biskupem von Preysingiem starała się obudzić sumienia katolickiej hierarchii w Niemczech. Po sporządzeniu ostatniego raportu, z marca 1943 roku, na prośbę von Preysinga przygotowała brudnopis apelu, który niemieccy biskupi mieliby ogłosić podczas konferencji episkopatu w Fuldzie w sierpniu 1943 roku. Pisała mocno i otwarcie, „bez światłocienia" – jak by

powiedział Norwid. Zaczęła tekst od nawiązania do pierwszych słów encykliki Piusa XI *Mit brennender Sorge*, ale jeszcze je wzmocniła: „W najgłębszym bólu i z najświętszym oburzeniem, my, biskupi niemieccy…”. Biskupi niemieccy nie byli jednak święcie oburzeni na to, co się wokół nich działo z Żydami. Tekst wykastrowano, a głównym oponentem ewangelicznego mówienia „tak, tak – nie, nie” był arcybiskup metropolita Wrocławia Adolf Bertram, zalękniony jednoznacznością sformułowań i obawiający się represji.

Po wojnie Kleinmachnow znalazł się w sowieckiej zonie okupacyjnej, tuż przy granicy między Berlinem Wschodnim a Zachodnim. Margarete pomagała ludziom zagrożonym wywiezieniem na Syberię i tym, którzy uciekali do Berlina Zachodniego. W 1950 roku, pod osłoną nocy, sama tam zbiegła. Pracowała w diecezjalnym ośrodku pomocy i zajmowała się ofiarami nazistowskich prześladowań. Była członkiem Rady Chrześcijan i Żydów. Jeszcze w 1946 roku papież Pius XII odznaczył ją medalem „Pro Ecclesia et Pontifice” [Dla Kościoła i Papieża]. Rzeczywiście – dla papieża i Kościoła zrobiła bardzo wiele. Ratowała ich reputację.

Margarete Sommer była kobietą wytrwałą, nieustraszoną i nieustępliwą. Podobno do końca życia była przekonana, że ratując Żydów w czasie wojny, działała z polecenia papieża. Nie wiem, na czym to przekonanie opierała, ale najwyraźniej to dodawało jej sił.

[20]

Doktor habilitowany Adam Kopciowski z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie podsunął mi skan pewnego artykułu. Gadzinówka „Nowy Głos Lubelski” – istotne ogniwo w hitlerowskim systemie propagandy – wydawana pod egidą oficjalnego koncernu prasowego Generalnego Gubernatorstwa Zeitungsverlag Krakau–Warschau GmbH. W numerze z 6 czerwca 1944 roku na stronie trzeciej znajdujemy artykuł o tym, jak to Wehrmacht przekazuje dostojnikom kościelnym uratowane w Kowlu „dobra kultu religijnego”. Z mową dziękczynną występuje ksiądz doktor Józef Kruszyński, koryfeusz międzywojennego żydoznawstwa, autor

wielu książek z tej dynamicznie rozwijającej się wówczas dziedziny, w tym dzieł klasycznych takich jak *Niebezpieczeństwo żydowskie* (1923) czy *Dlaczego występuję przeciwko Żydom* (1923). Kruszyński w latach 1925–1933 był rektorem Uniwersytetu Lubelskiego, który podczas jego kadencji rektorskiej w 1928 roku zmienił nazwę na dobrze nam dziś znany Katolicki Uniwersytet Lubelski. Czterdzieści dziewięć dni przed zajęciem Lublina przez wojska 1 Frontu Białoruskiego ksiądz Kruszyński dziękuje gubernatorowi dystryktu lubelskiego SS-Gruppenführerowi Richardowi Wendlerowi. Mówi: „Cieszę się również, że w Pańskim Dystrykcie, Panie Gubernatorze Dr Wendler, dobra te zostały przechowane i nam przekazane. Właśnie Pan okazuje od samego początku swego urzędowania w Lublinie dużo zrozumienia i poparcia dla Kościoła". Kończąc, były rektor KUL podziękował raz jeszcze niemieckim władzom okupacyjnym „z najgłębszego serca". 5 czerwca 1945 roku Senat KUL utytułował go honorowym profesorem Wydziału Teologicznego.

Muszę w tym miejscu upomnieć się o godną pamięć księdza profesora Kruszyńskiego i bronić go przed jego macierzystą uczelnią. Nie wiem, dlaczego w monumentalnej wielotomowej *Encyklopedii Katolickiej*, wydawanej przez Katolicki Uniwersytet Lubelski (w tomie IX z 2002 roku, kolumny 1389–1390), ani słowem nie wspomniano o jego żydoznawczej profesji. Rozumiem, że mowa dziękczynna dla SS-Gruppenführera Wendlera to drobiazg niewart wzmianki w haśle encyklopedycznym (autorstwa księdza profesora Zdzisława Kupisińskiego), ale żeby nie zająknąć się słowem na temat tego, z czego ksiądz profesor Kruszyński był szeroko znany? Uważam to za krzywdzące pominięcie zasług dawnego rektora i honorowego profesora Wydziału Teologicznego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.



[1]

W sierpniu 1945 roku w Fuldzie odbyła się konferencja niemieckiego episkopatu. Walka o ostateczny tekst oświadczenia była długa i zażarta. Zachowały się wersje wcześniejsze, więc wiemy, co retuszowano. Na przykład pierwotnie biskupi tuszowali Holokaust, nazywając go poetycko „mrocznym rozdziałem”. W ostatecznej wersji mamy więcej konkretów: wielu Niemców zatruł narodowy socjalizm, wielu – także katolików – dopuściło się zbrodni wojennych. Pierwotnie biskupi nie chcieli przyznawać, że Kościół katolicki ponosi odpowiedzialność za zbrodnie nazistowskie. Argumentowali, że Kościół nie był „*Kontrollinstanz*” (nadzorcą) państwa, zatem biskupi nie mieli obowiązku nazistowskiego państwa poprawiać. Pętał im też ręce zawarty z Trzecią Rzeszą konkordat. W ostatecznej wersji ten ustęp jednak pominięto. Nie podjęto kwestii antysemityzmu i entuzjastycznego przyjęcia wojny przez katolików. Dla dużej części katolików niemieckich oświadczenie z Fuldy było rozczarowujące i niewystarczające, szczególnie w kontekście postawy Kościoła protestanckiego, który w oświadczeniu przyjętym w Stuttgarcie przyznał się do winy. Wśród katolików pojawiły się głosy bardzo krytyczne, mówiono, że „hierarchowie zawiedli naród, gdy ten ich potrzebował najbardziej”. Grupy świeckich apelowały do biskupów, by stwierdzili, że katolicy również ponoszą odpowiedzialność za narodowy socjalizm. Apele te episkopat niemiecki kompletnie ignorował. Jezuita Max Pribilla bardzo krytycznie odniósł się do oświadczenia biskupów. Zbulwersowały go przede wszystkim twierdzenia, że Niemcy „nic nie wiedzieli”. Pisał o tym w piśmie „Stimmen der Zeit” w 1946 roku: „Wiele milionów Niemców wiedziało o zbrodniach popełnianych w obozach dla jeńców wojennych oraz o zbrodniach na Żydach w obozach koncentracyjnych, […] ale wielu wolało nie widzieć i nie słyszeć, aby

uniknąć bolesnej odpowiedzialności”. Episkopat niemiecki z biegiem czasu utwardzał swoje stanowisko. Biskup Clemens August hrabia von Galen ostro skrytykował proces norymberski przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym. Hrabia biskup miał tupet twierdzić, że warunki w więzieniach dla niemieckich zbrodniarzy były gorsze od tych, które panowały w nazistowskich obozach. Ciekawe, skąd hrabia biskup miał taką wiedzę, skoro razem z braćmi biskupami przekonywał, że… „nic nie wiedział”. Katolicki kościół niemiecki i Watykan zaangażowały się w pomoc nazistom. Wspomnę tylko o mało znanym przypadku lekarza SS Hansa Eiselego, skazanego na śmierć, ale dzięki zmasowanej akcji Kościoła i Caritasu – „ocalonego”. Karę śmierci zamieniono mu na dożywocie, później na dziesięć lat, a już w 1952 roku Eisele wyszedł na wolność. Kim był ten pupil niemieckiego Kościoła katolickiego? Żarliwym katolikiem, działaczem Stowarzyszenia Miłosierdzia Świętego Wincentego à Paulo, który porzucił Kościół dla Führera i SS. Jako lekarz w Dachau i Buchenwaldzie zabijał do sześćdziesięciu Żydów tygodniowo zastrzykami z evipanu. Wbijał igłę prosto w serce ofiary.

[2]

Polski Kościół katolicki od razu po wojnie rozpoczął odzyskiwanie Ziem Odzyskanych. 18 marca 1945 roku Armia Czerwona zajęła miasto Neustadt (później Prudnik). Od maja następowały organizowanie polskiej administracji i radykalna polonizacja miasta (wysiedlenia, wymazywanie śladów niemieckich). W sierpniu 1945 roku prymas Polski kardynał August Hlond mianował księdza Bolesława Kominka (późniejszego metropolitę wrocławskiego i kardynała) administratorem apostolskim Śląska Opolskiego. Kominek mówił biegle po polsku i po niemiecku, urodził się w 1903 roku w dzisiejszym Wodzisławiu Śląskim, chodził do niemieckiej szkoły. Ksiądz Franz Pietsch urodził się w 1894 roku we Wrocławiu, w latach 1935–1945 był proboszczem katolickiej parafii przy kościele Świętego Michała w Neustadt. Prowadził kronikę parafialną. W czerwcu 1945 roku w Neustadt zjawił się franciszkanin ojciec Maurycy z diecezji

lwowskiej. W sierpniu ksiądz Pietsch został usunięty z domu parafialnego. W kronice Pietscha czytamy:

> […] zjawiło się 17 ludzi, splądrowali probostwo i krzycząc „20 minut – 25 kilogramów bagażu", wypędzili [wszystkich] na ulicę. […] Ojciec Maurycy stoi na stanowisku – zresztą nie on jeden, podobnie uważają różni inni polscy duchowni – że bezprawne i wbrew chrześcijańskiemu poczuciu moralności przejęcie niemieckiej własności prywatnej na korzyść Polaka nie jest żadnym grzechem. […] Wydaje się zatem, że w sumieniu Polaków siódme przykazanie uległo zawieszeniu. […] Godni zaufania świadkowie obserwowali ojca Maurycego, gdy wychodził z pełnymi torbami z probostwa. […] [o. Maurycy i jego ludzie] mieszkają w probostwie ewangelickim, rzeczywiście nie mieli żadnych skrupułów i dokładnie splądrowali probostwo. […] Trudno byłoby uwierzyć, do czego zdolny jest polski ksiądz, jeśli się tego nie przeżyło osobiście. Ojciec Maurycy jest swego rodzaju „polskim księdzem państwowym", który jako polski szowinista jest gorliwym narzędziem wszystkich, którzy nienawidzą Niemców.

Administrator apostolski ksiądz Kominek wezwał do siebie księdza Pietscha i poinformował go, że władze nalegają na usunięcie go z urzędu, ponieważ jest Niemcem, nie zna polskiego i nie złożył jeszcze podania o przyznanie obywatelstwa polskiego. Administrator apostolski poradził księdzu Pietschowi, aby wyjechał do Rzeszy, a towarzyszący mu ksiądz dziekan podsumował: „Wszystko to macie, księże proboszczu, do zawdzięczenia waszemu Führerowi". Wikary z parafii Świętego Michała, ksiądz Jaschke, w listopadzie 1945 roku został pobity na ulicy, „gdyż opaska na ramieniu, którą zobowiązany był nosić jako Niemiec [biała opaska z czarną literą »N«], nie była widoczna". Tyle ksiądz Pietsch, który po wysiedleniu pracował w Kaufbeuren w Bawarii jako katecheta, gdzie zmarł w 1954 roku.

[3]

Pogrom kielecki 4 lipca 1946 roku stał się okazją do zajęcia stanowiska w „kwestii żydowskiej" przez najwyższych hierarchów Kościoła katolickiego w Polsce. Biskupi potępili przemoc i przypomnieli

o obowiązku miłości bliźniego oraz wezwali do zachowania spokoju. Pozostało jednak podstawowe pytanie: kto był sprawcą pogromu? Biskupi mieli z tym pewien problem. Z odezwy – wydanej już 4 lipca i podpisanej przez wojewodę kieleckiego Eugeniusza Wiślicza-Iwańczyka oraz biskupa Czesława Kaczmarka – trudno się zorientować, kto jest sprawcą, a kto ofiarą „nieludzkiego morderstwa”. Wiemy tylko, że „pewne czynniki użyły do niskich celów wprowadzoną w błąd miejscową ludność, w wyniku czego padły liczne ofiary”. Odezwa kurii kieleckiej z 6 lipca pogrom nazwała „krwawym dramatem”, „splotem wypadków”, „smutnymi zajściami”, „tragicznymi i godnymi politowania wypadkami”. W odczytanym w kościołach komunikacie kurii kieleckiej z 7 lipca, podobnie jak w poprzednich dokumentach, nie pojawiło się słowo „Żyd”, przypomniano w nim jednak o miłości bliźniego i obowiązku poszanowania życia i zdrowia.

Prymas Hlond zwlekał cały tydzień z wydaniem oświadczenia. Potraktował w nim pogrom jako jedno ze „starć orężnych na bojowym froncie politycznym w Polsce”, gdzie ginie więcej Polaków niż Żydów. Z wysokości swojego urzędu, jak i zapewne z własnych doświadczeń nabytych w podalpejskim uzdrowisku w Hautecombe koło Aix-les-Bains, pisał o powszechnej pomocy niesionej w czasie okupacji Żydom przez Polaków, w tym księży. Wyraził nadzieję, że „sprawa żydowska” znajdzie wreszcie „swe właściwe załatwienie”.

Jedynie biskup częstochowski Teodor Kubina wydał 7 lipca odezwę, podpisaną również przez miejscowe władze cywilne, w której jednoznacznie i bez ogródek potępił pogrom kielecki, nie kamuflując faktów, sprawców i ofiar, lecz nazywając rzeczy po imieniu. „W Kielcach dokonano zbrodni masowego mordu na osobach obywateli polskich narodowości żydowskiej […], którzy przeżyli piekło okupacji niemieckiej, patrzyli na śmierć i męczarnie swoich najbliższych i sami uniknęli śmierci z rąk okupanta nie bez pomocy polskiego społeczeństwa chrześcijańskiego”. Próżno szukać w kościelnych enuncjacjach z tego czasu takiej konkretności, a zarazem empatii. Biskup Kubina oświadczył stanowczo: „Wszelkie twierdzenia o istnieniu mordów rytualnych są

kłamstwem”. Takiej pewności nie miał już biskup lubelski Stefan Wyszyński, który spotkał się z delegacją Centralnego Komitetu Żydów Polskich, zabiegającą u niego o publiczne napiętnowanie antysemickich wystąpień, wzniecanych często jako reakcja na rzekomy mord rytualny. Wyszyński nie wykluczył możliwości używania przez Żydów krwi dzieci chrześcijańskich na macę, powołując się przy tym na głośny proces Bejlisa z 1913 roku. Odniesienie tym bardziej absurdalne, że Bejlis został uniewinniony z zarzutów. Biskup Kubina został skrytykowany na sesji plenarnej Konferencji Episkopatu Polski we wrześniu 1946 roku. Wypowiadający się *ex cathedra* hierarchowie uznali dwa miesiące po pogromie kieleckim, że otwarte potępienie tego wydarzenia, jednoznaczne wskazanie sprawców i ofiar oraz odrzucenie pogłosek o mordzie rytualnym jako fałszu jest „niemożliwe do przyjęcia z zasadniczych założeń myślowych i kanonicznych Kościoła katolickiego”.

Oficjalną wykładnię stanowiska Kościoła katolickiego wobec pogromu znajdujemy w tak zwanym memoriale biskupa Kaczmarka, zredagowanym na jego polecenie przez zespół pod przewodnictwem księdza Mieczysława Żywczyńskiego. Elaborat ten posługuje się kłamstwem, insynuacją i nakłania do nienawiści. Żydzi nie przestają być wrogami. Mimo Zagłady wciąż jest ich za dużo, wciąż się wszędzie panoszą. „Żydów jest pełno w ministerstwach, na placówkach zagranicznych, w fabrykach, urzędach, w wojsku, i to wszystko na stanowiskach głównych, zasadniczych i kierowniczych. Oni kierują prasą rządową, mają w ręku tak surową dziś w Polsce cenzurę, kierują urzędami bezpieczeństwa, dokonują aresztowań”. Wobec takiej żydowskiej agresji i okupacji Polakom pozostaje samoobrona. W tak nakreślonych uwarunkowaniach społeczno-politycznych „zajścia kieleckie” okazują się właśnie aktem samoobrony przed Żydami, czyli ekspozyturą znienawidzonego przez Polaków komunizmu i bolszewizmu, sowieckimi emisariuszami rozsiewającymi miazmaty, które zatruwają zdrową duszę katolickiego narodu. A przecież Polacy ocalili tak wielu Żydów. Ale Żydzi kąsają polską rękę, za ratowanie życia odpłacają bolszewizacją Polski. W ten sposób sami są winni „wylewowi nienawiści w formie niesłychanie drastycznej”. Polska jest krajem głęboko katolickim.

Katolicyzm jest istotą polskiej tożsamości. Katolik kieruje się obowiązkiem miłości bliźniego i przykazaniem „Nie zabijaj”. W pewnych sytuacjach jednak odstąpienie od tej zasady jest, jeśli nie w pełni aprobowane, to przynajmniej dające się zrozumieć i usprawiedliwić. Taką sytuacją jest obrona konieczna przed agresorem zagrażającym samym podstawom duszy narodu. W Kielcach 4 lipca 1946 roku takimi agresorami okazali się Żydzi zamieszkujący dom przy ulicy Planty 7. „Nasz Dziennik”, określający się jako jedyne pismo codzienne o profilu katolicko-narodowym w Polsce, 4 lipca 2006 roku w całości przedrukował elaborat Kaczmarka. Redakcja najwyraźniej potraktowała ten dokument jako obiektywny i niezafałszowany przekaz prawdy historycznej. Potwierdzony kościelnym *imprimatur*.

[4]

Jest czerwiec. Ostatni dzień szkoły. Chłopiec wraca ze świadectwem do domu. Po drodze czeka na niego dwóch chłopaków. Spuszczają mu łomot. Biliby dłużej, gdyby nie interwencja przechodnia. Banalne? Tak, w pewnym sensie to jest „banalne”, nawet kiedy sprecyzujemy czas, miejsce, okoliczności, kiedy nazwiemy bohaterów tego zajścia. Wykonawców i inspiratorów. Jest czerwiec 1947 roku. Pruszków. Michał został pobity nie dlatego, że był gruby czy rudy, że nosił okulary, że był kujonem, że inaczej się ubierał. Michał w ogóle nie został pobity. Została mu wymierzona sprawiedliwość za wielką zbrodnię. Michał zabił Pana Jezusa. Osobiście. Własnymi rękoma. Tego nie można puścić płazem. Po zabiciu Pana Jezusa Michał był razem z rodzicami w getcie w Pruszkowie. Następnie razem z innymi Żydami został wysiedlony do getta warszawskiego. Później w tym getcie żył tak, jak można było w getcie żyć. A kiedy już nie było można, Michał został wyprowadzony na stronę aryjską i tam się ukrywał. Najdłużej w klasztorze w Turkowicach. Ocalał. Rodzice też ocaleli. Razem wrócili do rodzinnego Pruszkowa. Niebawem zaczął chodzić do szkoły. Także na lekcje religii. Kolega z klasy zapowiedział, że

w dniu, w którym skończy się rok szkolny, zrobi z Michałem porządek. I zrobił. Przynajmniej próbował.

To, że ksiądz katecheta dwa lata po wojnie opowiadał uczniom z pruszkowskiej podstawówki, że Żydzi (wszyscy Żydzi, którzy kiedykolwiek żyli, żyją czy, broń Boże, żyć będą) zabili Pana Jezusa – jest „banalne”. To, że ksiądz katecheta dwa lata po wojnie na lekcjach religii objawiał straszną prawdę o Żydach bogobójcach, o Żydach mordujących niewinne chrześcijańskie dzieci, by wytoczyć z nich krew na macę – jest „banalne”. Nie mówi przecież ksiądz katecheta niczego nowego, odkrywczego, bulwersującego. Można powiedzieć – jest nudny, powtarza starą, dobrze znaną historię, mówi banały. Ksiądz katecheta szczerze Żydów nienawidził, bo uosabiali w jego oczach czyste zło. Nic innego Kościół o Żydach nie mówił przez setki lat. Znów więc „banał”. Po z górą pół wieku Michał Głowiński, wspominając swoje tużpowojenne lata w Pruszkowie, napisze, że ksiądz katecheta „zachowywał się tak, jakby w ogóle Zagłady nie zauważył, jakby o niej nie słyszał, jakby nie zwróciło to jego uwagi, że z ziemi, po jakiej chodzi, zniknęły miliony ludzi”. A jeśli już skojarzył ze sobą wojnę i Żydów, to po to, aby uczniom przedstawić przypowieść o Bożej Sprawiedliwości i działaniu Bożej Opatrzności. Mówił:

> wszystko, co Żydów spotkało, jest zasłużoną karą za to, że zamordowali Pana Jezusa (ale czy nastąpiło wówczas wyrównanie rachunków?). A raz zdarzyło mu się powiedzieć coś jeszcze bardziej przerażającego. Przyznał, że Hitler był straszny, bo prześladował naród polski, ma wszakże jedną zasługę – załatwił dla nas (czy za nas) sprawę żydowską.

Nie był to wcale szczególnie oryginalny czy niezwykły sąd. Przeciwnie. Na tle powstałych w czasie okupacji świadectw i dokumentów – nic nowego, czysty „banał”.

Co tu się dziwić starszemu już księdzu katechecie, który na pewno był patriotą i kochał Polskę, skoro dużo mądrzejsi i wyżsi rangą od niego polscy biskupi po pogromie kieleckim wzdragali się przed otwartym potępieniem antysemityzmu i takie nieodpowiedzialne żądanie odrzucili,

ponieważ „jest to żądanie paradoksalne, a nawet ubliżające Kościołowi”. Napisano to *expressis verbis* w tak zwanym memoriale biskupa Kaczmarka. Z kolei biskup lubelski Stefan Wyszyński zastanawiał się wtedy, czy w oskarżeniach Żydów o mord rytualny nie tkwi jednak maleńkie, bardzo maleńkie ziarno prawdy. Pruszkowski katecheta nie był więc jakimś zatwardziałym heretykiem czy przesiąkniętym patologiczną nienawiścią do Żydów szaleńcem. Mieścił się w głównym nurcie, choć może stanowisko swoje formułował nazbyt ostro, jednoznacznie i bez finezji. Ale to tylko świadczy o jego szczerości.

[5]

Ksiądz prałat Roman Rajchert (Reichert) został w 1924 roku na łódzkich Bałutach pierwszym proboszczem nowej parafii Świętego Antoniego z Padwy. Kościół był drewniany, ale proboszcz rozpoczął budowę dużej, murowanej świątyni, której nie zdołał ukończyć przed wybuchem wojny. Mury niedokończonej budowli Niemcy zburzyli w 1941 roku. Parafia znalazła się blisko granic getta. Ksiądz Rajchert całą okupację nie ruszał się stamtąd. Jeździł czasem do chorych. Wtedy przejeżdżał tramwajem przez getto, odgrodzone od ulicy parkanem z drutu kolczastego. Wszystko było dostępne dla wzroku. Spojrzenia mogły się swobodnie krzyżować: polskie i żydowskie. W krótkiej relacji złożonej przed Centralną Żydowską Komisją Historyczną w Łodzi w kwietniu 1947 roku (AŻIH sygn. 301/2293) ksiądz Rajchert właśnie na to zwraca uwagę.

> Przed wojną utrzymywałem bardzo miłe stosunki z Żydami. Często radzili ze mną w różnych swoich sprawach. Po zamknięciu getta wszystko się urwało. Wstęp do getta dla Polaków został surowo wzbroniony. Nieraz tylko przejeżdżałem przez getto tramwajem, gdy udawałem się do chorych. Wielu Żydów, widząc mnie, witało mnie z daleka i tak się już utarło, że kiedy przez getto przejeżdżałem, witali mnie z daleka.

Ważna jest dla mnie ta scena: jadącego aryjskim tramwajem po aryjskiej ulicy księdza witają Żydzi stojący na chodniku należącym do getta. Oddziela ich tylko szyba okienna i drut kolczasty rozciągnięty na

drewnianej konstrukcji płotu odgradzającego jezdnię od chodnika. A przecież oddziela ich wszystko, a odległość między krawężnikiem a torowiskiem wydaje się przekraczać setki lat świetlnych.

W 1945 roku, tuż po wyzwoleniu Łodzi, ksiądz Rajchert został przeniesiony do kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, w samym centrum byłego już getta, do jednej z najbardziej emblematycznych budowli Litzmannstadt Ghetto. Dwie strzeliste, neogotyckie wieże kościoła ukończonego w 1897 roku wpisały się na trwałe w pejzaż łódzkiej dzielnicy zamkniętej, uwiecznione w relacjach, na dziesiątkach fotografii, nawet na alegorycznym portrecie Chaima Rumkowskiego, który zadumany, z czołem wspartym na ręce, unosi się w powietrzu ponad dwiema kościelnymi wieżami. Kiedy w styczniu 1942 roku zaczęły się wysiedlenia do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem, w pomieszczeniach nieczynnego kościoła Niemcy urządzili magazyn i sortownię rzeczy po zamordowanych. *Kronika getta łódzkiego* podaje w marcu 1942 roku, że z kościołów znajdujących się w getcie wywieziono dzwony, ławki i inne wyposażenie, a świątynie zamieniono w magazyny. „Tak dla przykładu kościół NMP został przeznaczony na magazyn kożuchów”. Pracujący w kościele przy sortowaniu ubrań rozpoznawali rzeczy swoich bliskich, których niedawno wywieziono. Ksiądz Rajchert relacjonuje:

> Po wojnie zostałem przeniesiony do getta do kościoła [Wniebowzięcia] Najświętszej Marii Panny. Na plebanii w mieszkaniu księdza proboszcza znalazłem muzeum żydowskie. Gdy tam przybyłem, część została rozgrabiona przez szabrowników [w odpisie sporządzonym z rękopisu na maszynie słowo „szabrowników” zmieniono na „wartowników” – J. L.]. Została jeszcze duża biblioteka, wiele bezcennych rzeczy jak: naczynia liturgiczne, lichtarze starożytne, tory w zwojach pergaminowych, było tam również kilka obrazów. W wikariacie znalazłem całą kartotekę nazwisk uwięzionych Żydów i Polaków mających styczność z Żydami. Dwa tygodnie leżałem na podłodze, gdyż oba pokoje były zajęte przez te materiały. [W drugiej wersji rękopisu: „Spałem dwa tygodnie na podłodze” – J. L.]. Strzegłem ich, uważając je za własność żydowską.

Ważna jest dla mnie ta scena: ksiądz w mieszkaniu parafii Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny śpi na podłodze, bo wszystkie

pomieszczenia są wypełnione zrabowanymi Żydom przedmiotami kultu, świętymi księgami. Polski katolicki ksiądz pilnuje rzeczy żydowskich i broni ich przed polskimi szabrownikami. Chcę ten obraz zapamiętać.

I ten wizyjny obraz też chcę zapamiętać. Nakreślił go za drutami getta Jeszajahu Szpigiel, łódzki pisarz i poeta, który swoje rękopisy z pobytu w dzielnicy zamkniętej zdołał ukryć i odnalazł je po wojnie. Fragment opowiadania *Królestwo Getto* (*Malches geto*):

> Rynek jest duży. Niedaleko za nim widać milczący, czerwony kościół Świętej Marii. Zegar na nim zatrzymał się. Kościół jest opuszczony. Wskazówki zatrzymały się na pięć po dziesiątej. Nie wiadomo już teraz, czy pozostały tak wieczorem czy rano. I z przyzwyczajenia patrzą ludzie w górę na martwe wskazówki zegara. […] Wieczór. Rynek i uliczki stoją owinięte w niebieską mgłę zmierzchu. Za parkanem, który ogradza kościół Świętej Marii, stoją wysokie kasztany i szumią obco. Cichy, tajemniczy szum. Ulice są puste. Jest piąta, godzina, która wyznacza koniec życia na uliczkach. Blisko obok rynku też stoi mała murowana kapliczka, gdzie płonie wieczna lampka. W środku gipsowa figura ukrzyżowanego Żyda. Im bardziej ściemnia się, tym ostrzejsze jest światło z tyłu ukrzyżowanego. Na wysokiej wieży zegarowej szumi wiatr, wydaje się, że poruszają się wskazówki, które zatrzymały się pięć po dziesiątej. Noc wisi już w oknach królestwa Getto. Ostatni Żyd przebiega ulice, święty ognik z kapliczki uderza go w twarz. Poprzez druty słychać stukanie butów. Niemcy wchodzą do getta. Ukrzyżowany Żyd w sercu getta oblewa się płomieniem. Jego chudy, umęczony kształt leży jak zasnuty krwią.

[6]

Jezus wziął ze sobą Piotra, Jakuba i Jana i zaprowadził ich na wysoką górę. Na szczycie ukazał im się w chwale, z odmienioną twarzą, w białym jak światło odzieniu, w otoczeniu Mojżesza i Eliasza. A później ogarnął ich obłok. Mateusz, Marek i Łukasz są zgodni: z obłoku odezwał się głos… Góra Przemienienia Pańskiego to według tradycji góra Tabor. Trzej ewangeliści piszą, że kiedy schodzili z góry, Jezus przykazał im, aby nikomu nie mówili o tym, co widzieli. Mateusz i Marek dodają, że nakaz milczenia miał obowiązywać do czasu, aż „Syn Człowieczy nie powstanie z martwych”. Jedynie w Ewangelii według Świętego Marka czytamy, że

uczniowie „zachowali to polecenie, rozprawiając tylko między sobą, co znaczy »powstać z martwych«” (Mk 9, 10).

Basia i Michał Cytrynowie, dzieci biednego szewca, mieli zginąć wraz z innymi Żydami z Otwocka. I właściwie byli już jak umarli. A jednak przeżyli. Ośmioletni Michał zamieszkał w domu Klementyny Darczuk na ulicy Reymonta 35 w 1939 roku, jedenastoletnia Basia ukryła się tam jesienią 1940 roku, kiedy powstało getto. Gospodyni była bezdzietną wdową, miała pięćdziesiąt siedem lat. Nie bała się śmierci. „Mnie to było wszystko jedno, i tak byłam jedna, najwyżej zostałabym zabita – to trudno, ale nikogo nie osierociłabym” – mówi w relacji złożonej w 1947 roku przed Żydowską Komisją Historyczną (AŻIH sygn. 301/2937). Basia nie wyglądała na Żydówkę, jednak Michał bardzo… Oboje chodzili często do kościoła – to stosowany przez wielu ukrywających się katolicki kamuflaż. Trzeba było znać modlitwy i pieśni religijne, orientować się w liturgii. Umiejętność przeżegnania się nie wystarczała. Szmalcownicy czy policjanci granatowi nieraz urządzali złapanym egzaminy z religii. Dobrze przyswojona obrzędowość katolicka bywała przepustką do życia. Michaś modlił się bardzo gorliwie. Zbyt gorliwie, by nie zwróciło to uwagi. Sąsiadka Włodarczykowa wielokrotnie wypominała Klementynie, że przechowuje Żydów. „Kiedyś gdy ujrzała dzieci, to wymyślała przez dwie godziny i groziła, że pójdzie do Niemców, to ja jej odpowiedziałam – proszę bardzo – ty łobuzico, ty pójdziesz i wydasz, to ja wydam, że ty szmuglujesz masło i handlujesz z Żydami”. Na pasącego krowy Michasia napadli miejscowi chłopcy, zdjęli mu spodnie, zaprowadzili go na policję. Klementyna wybłagała, by go wypuścili. Uciekł i ukrywał się sam aż do wejścia Rosjan.

> Pyta mnie Pan, po co ja te dzieci chowałam? – zwraca się Klementyna Darczuk do protokołującego jej relację Henryka (Hersza) Wassera, najbliższego współpracownika Emanuela Ringelbluma. – Co też Panu mogę powiedzieć, po prostu żal mi ich było i dlatego chowałam, przecież to są dzieci! No, naprawdę żadnych pieniędzy nie tylko że nie brałam, ale nawet i nie chciałam. Jak się da sierocie kawałek chleba, to Bóg wynagrodzi! […] chociaż mnie po dziś dzień [sąsiedzi] szargają, że brałam pieniądze, to jednak dzieci wiedzą, że nic nie miały i przeżyły wojnę.

Hersz Wasser na marginesie protokołu zanotował: „twarz dobra, dobrze patrzy z oczu, umie pisać i czytać. Jest teraz w wieku 64 lat i mimo chore oczy musi pracować zarobkowo przy krawieczyźnie. Nie robi z siebie bohaterki, mówi bez fałszywego patosu”. Klementyny Darczuk nie ma wśród odznaczonych medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”.

Dzieci przeżyły wojnę i uciekły do Palestyny pod brytyjskim mandatem. Nie wiem, czy tuż przed pogromem kieleckim, czy tuż po nim. Stamtąd pisały listy do Klementyny. W archiwum ŻIH zachowały się trzy listy Michała i dwa listy Basi – już wtedy Batii. List Michała bez daty, prawdopodobnie najwcześniejszy z trzech przechowanych, wart jest zacytowania z pietyzmem dla wszystkich wzruszających błędów i niegramatyczności.

> W pierłszych słowach mego listu moge pisa pani rze jestem w Azi w palestynie. Udało mi się wyjechać Okretem z franci dziękuje pany z całego serca za Matczyńską pomoc w czasach chitlerowskiego panowania. Musiałem opuścić ten złoty kraj. Bo był dla mnie opcy. Bo byłem wnim prześladowany na karzdym kroku gorzej od psa. A tutaj w palestynie jestem Wolnym Człowiekiem jestem Uwarzany jako Człowiek Ruwny ze Wszystkimi ludźmi. Pracuję cieżko na pustyniach na piachu tworzymy sobie mieszkania. Aby Być Wolnym isz Wolność była dla mnie witęskniona. Ukłony dla Wszystkich ktuszy mie znają. Dowidzenia Michał Cytryn. Znalazłem brata Mońka w palestynie. Prosze otpowieć. Michał Cytryn.

W liście z nagłówkiem „Droga znajomo Klementyno”, datowanym 30 września 1946 roku w Ajanot (dwadzieścia kilometrów od Tel Awiwu), Michał opisuje ucieczkę z Europy. Z paroma kolegami, „którzy przeżyli mękę Hitlera”, wędrował przez Czechosłowację, Austrię, Francję do Marsylii i dalej statkiem do Tunisu, stamtąd przez Egipt dotarł do Palestyny. „Ja pracuję przy rolnictwie. […] Co najważniejsze że jestem wolny i nikt mi nie mówi parszywcu. Oprócz pracy uczę się wieczorami. Basia przyjechała razem ze mną i jesteśmy tu razem”. W trzecim liście, bez daty, czytamy:

> Droga znajoma jurz pułtora roku jak jestem w palestynie tylko teraz zaczynam żyć życie stałe bo dotej pory tylko się uczyłem języka i zawodu. […] Droga znajoma za

> wasze dobro nie zapomne owas na całe życie i gdy tylko wejde toche więcej w warunki będe sie starał pani pomuć ile tylko będe mugł. pszepraszam że tak brzytko i błędnie pisałem, boniemiłem kiedy sie uczyć pisać po polsku atu za puźno tu sie ucze po Izraelicku po Arapsku i po Angielsku. do widzenia Cytryn Michał.

Basia pisze w niedatowanym liście: „Droga Pani Klementyno! Bardzo nam przykro, że nie możemy narazie w niczem Pani pomóc, gdyż jak już pisaliśmy, znajdujemy się w szkole rolniczej". W liście z 16 grudnia 1946 roku informuje o wysłaniu paczki do Otwocka: „Nie jest to w prawdzie paczka duża, ale jest to, co było w mojej mocy. Znajduje się tam 1 kg cukru suszone śliwki i rodzynki trochę czekolady i herbaty". Wracam jednak do listu poprzedniego, w którym Basia objawia się Klementynie jako nowo narodzona.

> Teraz wiem dobrze i rozumiem, że najlepszym podarunkiem jakie nas obdarzyło życie jest zapomnienie, pomimo cierpień jakieśmy doznali […]. Staramy się żyć tu jak nowi ludzie, wszystko zacząć od nowa, od pierwszego kroku, które stawia kilku miesięczne dziecko. Inaczej życie nasze by nie miało treści, gdybyśmy żyli wciąż spomnieniem cierpień naszych. Więc tak ja jak i inne dzieci powiedzieliśmy sobie słowo zapomnieć, jesteśmy rok w kraju, więc o ile mi się ktoś zapyta, ile masz lat, odpowiem rok, bo naprawdę zaczęłam żyć od nowa.

Basia pisze też Klementynie o swoim przemienieniu na górze Tabor. Była tam ze szkolną wycieczką.

> W nocy o godz. trzeciej wyruszyliśmy na górę, żeby dotrzeć do szczytu przed wschodem słońca, jaki piękny widok był gdy w końcu po trudach i mozołach dotarliśmy do szczytu akurat słońce wschodziło. Niestety nie mogę opisać wspaniałego jakby nad ziemskiego widoku, żeby czuć to piękno trzeba samemu zobaczyć.

Basia zapowiada, że w następnym liście pośle Klementynie „zdjęcie jak schodzimy z góry Tabor".

Nie znalazłem w archiwum ani tego listu, ani tego zdjęcia. Ale wyobrażam sobie Basię z grupą szkolnych koleżanek i kolegów na zboczu. Schodzą, jak niegdyś Jezus z trzema uczniami. Czy wspominali wtedy

drogę z Otwocka na górę Tabor? Czy rozprawiali między sobą, co to znaczy powstać z martwych?

[7]

Nad obszarem getta warszawskiego wyrastały wieże dwóch kościołów. Ukończona w 1880 roku kalwińska świątynia na Lesznie miała sześćdziesięciometrową wieżę. Na Nowolipkach stanął w 1896 roku kościół Świętego Augustyna z wieżą na siedemdziesiąt metrów, stanowiącą wówczas najwyższy punkt w Warszawie. Już niebawem miały ją zdetronizować dwie siedemdziesięciopięciometrowe wieże konsekrowanej w 1901 roku bazyliki katedralnej Świętego Floriana Męczennika i Świętego Michała Archanioła na Pradze. Nie wiedzieć czemu w 1932 roku wieże obniżono, a kościół zaczęto wtedy nazywać praską Notre Dame. Nasza Pani dominowała w panoramie prawobrzeżnej Warszawy i spoglądając przez Wisłę na lewy brzeg, widziała kratownicę mostu Kierbedzia i bryłę Zamku Królewskiego. Kiedy przesuwała wzrok nieco w prawo, mogła dostrzec wysoki, dwuspadzisty dach katedry Świętego Jana, z charakterystycznym zwieńczeniem neogotyckiej fasady. A za nią zamykała horyzont strzelista wieża kościoła Świętego Augustyna. Majaczyła w oddali, zamglona, ale dobrze widoczna. Getta jednak Nasza Pani z praskiego brzegu dojrzeć już nie mogła.

Wieża świątyni pod wezwaniem Świętego Augustyna zwieńczona jest krzyżem osadzonym na pozłacanej kuli. Ten krzyż góruje nad całym Muranowem. W 1945 roku stał tu tylko ten kościół, ze spalonym dachem, ale cały, niezburzony, z wieżą samotnie sterczącą pośród gruzowiska getta. Wysmukła, pnąca się ku niebu bryła kościoła, wokół zaś płaska równina z pofałdowanymi jak fale martwego morza usypiskami osmolonych cegieł. A było tu tak gwarno i tłoczno, tyle kamienic, oficyn, podwórek. Ostatnie uroczystości Bożego Ciała przed wojną:

> procesja wylewa się z kościoła na Nowolipki, między Żydów, idzie do Nalewek, Bielańskiej. Biją dzwony, garbus wali w ogromny bęben, pogoda przewspaniała. Jest

> rok 1939. […] Parafianie, a strasznie ich dużo, idą bokami, zalewają w poprzek Nowolipki. […] Szuranie nóg, jakby ludzkość szła do Doliny Jozafata

– wspominał Miron Białoszewski. Po szesnastu miesiącach Nowolipki stały się częścią getta. W czasie Wielkiej Akcji Likwidacyjnej ulicami dzielnicy zamkniętej ciągnęła już inna procesja: Żydzi z Nowolipek, z Muranowa, z podwarszawskich miast i miasteczek podążali na Umschlagplatz. Potem Nowolipki spalił ogień powstania w getcie. A później ruszyła sztandarowa budowa socjalizmu: socjalistyczne osiedle Muranów. Minęło siedemnaście lat i jeden miesiąc od wywiezienia stąd trzystu tysięcy Żydów do Treblinki, minęło szesnaście lat i pięć miesięcy od zdławienia powstania w getcie warszawskim, kiedy 7 października 1959 roku na szczycie wieży kościoła Świętego Augustyna na Nowolipkach ukazała się Matka Boska. Była godzina dziewiętnasta. Według danych Służby Bezpieczeństwa (cud był bowiem bardzo skrupulatnie obserwowany przez funkcjonariuszy i tajnych agentów) pierwsza Matkę Boską zobaczyła dwunastoletnia dziewczynka mieszkająca naprzeciw kościoła. Matka Boska właściwie zawsze objawia się dzieciom. Tak było w 1858 roku w grocie Massabielle koło Lourdes: „Piękna Pani" aż osiemnaście razy objawiła się czternastoletniej wiejskiej dziewczynce Bernadecie Soubirous. Objawienia te Kościół katolicki uznał za autentyczne. Tak też było w 1917 roku w Fatimie: troje pastuszków zobaczyło Matkę Bożą, która przekazała im trzy tajemnice. Również to objawienie Kościół uznał za prawdziwe. W czerwcu 1981 roku na wzgórzu Crnica należącym do parafii Medjugorje Matka Boska dała się zobaczyć dzieciom. Kościół tych objawień ani nie odrzucił, ani nie potwierdził.

Ryszard Fijałkowski patrzył na kościelną wieżę od strony ulicy Nowolipki. W relacji złożonej do parafialnego archiwum nakreślił bardzo dokładny portret Matki Boskiej:

> […] kulę było widać metalową, lecz nie świecącą, a na niej stała postać Matki Najświętszej o wzroście 165–170 cm, z głową zwróconą trochę w dół, jakby patrzyła na ludzi. Twarz miała młodzieńczą, o wyraźnych rysach, poważną, zmartwioną i zakłopotaną, ale bardzo ładną. Koloru oczu nie było widać. Nos miała zgrabny,

> prawidłowy, usta lekko otwarte, jakby coś chciała powiedzieć lub może coś mówiła. Ubrana była w suknię luźną, przewiewną i nie dotykającą samej kuli. Nóg nie było widać. Na głowie miała lekką pelerynkę, zwisającą do długości sukni, rozchodzącą się na boki, nie zakrywającą jej przodu. Całość ubioru była koloru błękitnego zdobionego maleńkimi gwiazdkami pięcioramiennymi, niebieskimi, lekko świecącymi, ułożonymi równoramiennie. […] Dłonie były koloru cielistego, delikatnie złożone jak do modlitwy. Trzymała je na wysokości klatki piersiowej, dotykały do sukni, lecz palce były odchylone od sukni. Na głowie miała koronę z 12-stu pięcioramiennych białych większych gwiazd, jakby w każdej była żaróweczka, lecz światła nie dawało. Korona nie dotykała jednak głowy.

Dla mnie w tym drobiazgowym opisie najciekawsze jest przedstawienie rysów Matki Boskiej, a przede wszystkim ten szczegół: nos zgrabny i prawidłowy, a także to, że nie było widać koloru oczu. Można więc powiedzieć, pamiętając o wyjątkowym miejscu objawienia, że Matka Boska miała „dobry wygląd”, choć przecież była Żydówką.

Cud na socjalistycznym Muranowie, w socjalistycznej Warszawie, w Polsce Ludowej był skandalem, którego władze nie mogły tolerować. Nad wieżą kościoła latał helikopter, z ziemi oświetlano ją reflektorami – nic nie pomogło. Wreszcie złocistą kulę pokryto smolistą farbą. Proboszcz parafii Świętego Augustyna studził emocje wiernych, twierdząc w oświadczeniu, że „wypadek światła na naszej wieży można sobie wytłumaczyć w sposób naturalny”. Potwierdziła to swoim autorytetem warszawska Kuria Metropolitalna w komunikacie z 15 października 1959 roku, oświadczając z całą mocą, że „występujące w ostatnich dniach zjawisko świetlne na wieży kościoła św. Augustyna na Nowolipkach w Warszawie tłumaczy się jako zjawisko naturalne”.

Nie wiem, czy na złotej kuli, z której wyrasta krzyż, naprawdę ukazała się świetlista Matka Boska. Ale jeśli tak było, to zastanawiam się, dlaczego – według wielu relacji świadków – była smutna, zatroskana. I co chciała powiedzieć albo co powiedziała stojącym na dole rozmodlonym ludziom? Z wysokości wieży mogła ogarnąć spojrzeniem cały Muranów. Gdyby objawiła się latem 1942 roku, mogłaby chociaż odprowadzić wzrokiem ludzi idących Nowolipkami i wszystkimi innymi ulicami getta.

Szli na Umschlagplatz i odjeżdżali w bydlęcych wagonach prosto do komór gazowych Treblinki. Być może ostatecznie znaleźli się w Dolinie Jozafata – jak pisał Białoszewski.

[8]

Apologeci i hagiografowie Pacellego ubolewają nad tym, jak wiele oszczerstw, kłamstw, kalumnii i potwarzy miotają na papieża jego przeciwnicy. A ma ich wielu: od KGB po legion historyków Holokaustu. „Droga do kanonizacji papieża Piusa XII pełna jest bolesnych dla Watykanu kwestii, proces prowadzący do jego beatyfikacji został znacznie opóźniony" – narzeka jezuita Vincent A. Lapomarda w elaboracie zatytułowanym *Papież Pius XII i Żydzi. Dlaczego powinien zostać beatyfikowany?*. Nie dziwię się, że to dla Watykanu sprawa bolesna. Pomijając już brutalną wymowę faktów, popularności kandydatowi na ołtarze nie przysparza to, że jego duchowy syn, biskup Richard Williamson z Bractwa Kapłańskiego Świętego Piusa X (schizmatyk, z którego Benedykt XVI zdjął ekskomunikę), postanowił zanegować Holokaust. To rzeczywiście duża przeszkoda na drodze do kanonizacji Pacellego. Postulatorzy starają się przecież wykazać, że Pius XII w czasie wojny nie robił właściwie niczego innego, tylko ratował Żydów. No a skoro Holokaustu nie było – przed czym ten świętobliwy człowiek musiał tych biednych Żydów ratować?

Jezuita Lapomarda pyta: „Dlaczego powinien zostać beatyfikowany?". Chciałem zapytać o to samo. Hagiografowie twierdzą, że papież Pacelli podejmował „działania potajemne" na rzecz Żydów, ale żadnych konkretów nie podają, bo to… potajemne było i jest. Powołują się jednak na świadectwa przedstawicieli żydowskiej społeczności, którzy Pacellemu są ogromnie wdzięczni za pomoc i za to wszystko, co dla Żydów uczynił w czasie Holokaustu. Nie wiadomo właściwie co, ale wiadomo, że bardzo dużo. Po śmierci Piusa XII Golda Meir, minister spraw zagranicznych w rządzie Dawida Ben Guriona, pochwaliła papieża za pomoc niesioną Żydom podczas Zagłady. Naczelny rabin Danii Marcus Melchior w książce

Davida G. Dalina *The Myth of Hitler's Pope. How Pope Pius XII Rescued Jews from the Nazis* [Mit papieża Hitlera. Jak papież Pius XII ratował Żydów przed nazistami] z 2005 roku twierdzi na przykład coś takiego: „Gdyby papież zajął publicznie otwarte stanowisko, Hitler prawdopodobnie dokonałby masakry ponad sześciu milionów Żydów i zapewne dziesięciu razy więcej katolików". Idiotyzm tego twierdzenia bije wszelkie rekordy. Pacelli ocalił zatem nie tylko sześć milionów Żydów (gdzie oni są?), ale także sześćdziesiąt milionów katolików! To nie jest humor z zeszytów szkolnych, to naprawdę zostało napisane i opublikowane!

Kongregacja Spraw Kanonizacyjnych na polecenie Benedykta XVI wydała dekret o „heroiczności cnót" Piusa XII. Od 19 grudnia 2009 roku Piusowi XII przysługuje tytuł Czcigodnego Sługi Bożego. Pół roku wcześniej, w maju 2009 roku, Benedykt XVI odwiedził Jerozolimę, ale zbojkotował Muzeum Holokaustu w Yad Vashem. Nie poszedł tam, bo nie podobała mu się wystawa o Piusie XII. Wygłosił tylko mowę w Izbie Pamięci. Pewien jej fragment do złudzenia przypominał osławione orędzie Piusa XII na Boże Narodzenie 1942 roku. Obaj papieże ujmują się za prześladowanymi „ze względu na swą rasę, kolor skóry, swe warunki życia czy też wyznawaną religię". W mowie Benedykta XVI wygłoszonej w miejscu symbolizującym zagładę Żydów nie padło ani razu słowo „Żyd" (tylko raz pojawiło się jako określenie wyznawcy judaizmu: „głęboki sens zarówno dla żydów, jak i chrześcijan").

Od 2009 roku wiemy z całą pewnością, że Pius XII przejawiał cnoty heroiczne. Jakie? Wszystko jest zapisane w materiałach procesu beatyfikacyjnego. John Cornwell dotarł do tego zbioru dokumentów, przechowywanego w rzymskim archiwum przez Towarzystwo Jezusowe, i jako pierwszy z historyków wykorzystał je w książce *Papież Hitlera. Tajemnicza historia Piusa XII*. Mnie zainteresowały szczególnie cnoty przejawiane w dzieciństwie. Oto wracając ze szkoły do domu, mały Eugenio Maria Giuseppe Giovanni Pacelli regularnie odwiedzał obraz Marii Panny, Madonny della Strada, wiszący obok grobu Ignacego Loyoli w kościele Il Gesù. O nadzwyczajnej skromności przyszłego Czcigodnego Sługi Bożego świadczy to, że – według jego siostry – nigdy nie wszedł do

pokoju w niekompletnym stroju. Układał duchowe bukiety (modlitwy utrwalane na ozdobnych kartkach) w intencji misji katolickich i dusz w czyśćcu cierpiących. Już jako dziecko podjął się katechizacji pięcioletniego synka dozorcy domu, w którym mieszkał. Jego ulubioną chłopięcą zabawą było odprawianie w swoim pokoju nabożeństw w przebraniu księdza. I jeszcze jedno – w młodości powstrzymywał się od picia soków owocowych, co było wyrazem umartwiania się i wyrzeczeń.

Hagiografowie uważają, że Pius XII powinien dostać medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata". Dlaczego jeszcze go nie dostał? Dlaczego instytut Yad Vashem jeszcze mu go nie przyznał? Prawdopodobnie dlatego, że Żydzi są narodem zatwardziałym, upartym, krnąbrnym i niewdzięcznym. Tak było zawsze. Żydzi nie chcieli przyjąć Pan Jezusa i uznać w nim prawdziwego Mesjasza. Mało tego – ukrzyżowali go i wzięli na swoje głowy jego krew. Robili poza tym straszne rzeczy z dziećmi chrześcijańskimi. W czasach studiów Pacellego „La Civiltà Cattolica", czołowa jezuicka gazeta, sączyła jad antysemityzmu i antyjudaizmu swoim czytelnikom, również klerykom i studentom, do których Pacelli należał. Między lutym 1881 a grudniem 1882 roku ukazała się tam seria artykułów niejakiego Giuseppego Oreglia di Santo Stefano, jezuity, o mordach rytualnych i bezczeszczeniu hostii. Autor przekonywał, że wykorzystywanie krwi chrześcijańskich dzieci jest powszechnym prawem „obowiązującym wszystkich Hebrajczyków". Co roku Żydzi „krzyżują dziecko" i pozwalają „konać mu w męczarniach", żeby uzyskana w ten sposób krew „poskutkowała". Oburzony jezuita nazywał Żydów „rasą budzącą obrzydzenie". Serię antyżydowskich pamfletów wielebny ojciec zakończył wezwaniem do zniesienia „obywatelskiej równości" i oddzielenia Żydów od reszty narodu. W takiej teologicznej atmosferze kształtowała się duchowość i kapłańska formacja młodego Pacellego. Pięćdziesiąt trzy lata od tego dramatycznego apelu postulaty jezuity zostały spełnione. Trzecia Rzesza, z którą Pacelli podpisał Reichskonkordat, uchwaliła ustawy norymberskie.

Czy zatem Pius XII zasługuje na medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata"? Uważam, że nie. On nie zasługuje na taki medal. Taki medal ma

już aż 26 513 osób (stan na luty 2017 roku). Papież Pius XII zasługuje na coś więcej – na osobne, własne wzgórze w Jerozolimie. Wzgórze specjalne, papieskie. Wzgórze jego imienia z wielkim napisem jak w Hollywood: PIUS XII – CZŁOWIEK, KTÓRY URATOWAŁ 6 MILIONÓW ŻYDÓW I 60 MILIONÓW KATOLIKÓW SWOJĄ CICHĄ MODLITWĄ I SWOIM MILCZENIEM.

[9]

Wracam do pogrzebu Piusa XII jak do pokazu mody kościelnej w *Rzymie* Federica Felliniego. Dzwony Wiecznego Miasta rozkołysały się wtedy nad całym światem, ludzkość wstrzymała oddech, ryby w oceanach wybuchnęły głośnym szlochem, kozice, świstaki, koziorożce alpejskie oniemiały i zapadła grobowa cisza wśród turni. Karawan sunął koło Koloseum, wzdłuż Tybru, ku bazylice Świętego Piotra. Niekończąca się procesja kleryków, zakonników i zakonnic. Nieprzebrane tłumy. Czarne habity i białe komże (reportaż włoskiej telewizji RAI 3 z pogrzebu jest czarno-biały). Czerń i biel oplatają wielką trumnę. I ten majestatyczny ruch, hipnotyczne kołysanie się setek tysięcy żałobników. John Cornwell przytacza ekstatyczny komentarz watykańskiego „L'Osservatore Romano": „[Pogrzeb] najwspanialszy w długiej historii Rzymu, przyćmiewający nawet pogrzeb Juliusza Cezara". Eugenio Maria Giuseppe Giovanni Pacelli nie został zasztyletowany, lecz zmarł 9 października 1958 roku o trzeciej pięćdziesiąt dwie na skutek ostrej niewydolności krążeniowej spowodowanej atakiem serca. Nie zdradził go Brutus, lecz jego osobisty lekarz Riccardo Galeazzi-Lisi – okulista i fotoamator. Sfotografował Piusa XII na łożu śmierci, z rurką aparatu tlenowego w ustach, i sprzedał dwa zdjęcia do paryskiej gazety. Następnie razem z chirurgiem profesorem Orestem Nuzzim przystąpił do balsamowania zwłok. Okulista i chirurg postanowili zastosować nową metodę, niewymagającą usuwania organów wewnętrznych. Nuzzi nazwał ją „osmozą zapachową". Ciało papieża zostało owinięte warstwami folii z ziołami, olejkami i preparatami chemicznymi (oczywiście zdjęcia z balsamowania Galeazzi-Lisi sprzedał

francuskiej gazecie). Zamiast powstrzymać proces rozkładu okulista z chirurgiem tylko go przyspieszyli. Trupi smród rozchodził się po całej bazylice, pełniący straż przy katafalku gwardziści musieli zmieniać się co chwila, a i tak jeden z nich zemdlał. Twarz papieża gwałtownie poszarzała, po czym zrobiła się fioletowoczarna, z ust sączyła się brunatna posoka, odpadł nos, cały korpus zaczął puchnąć i pęcznieć, aż w końcu wybuchnęła lewa strona klatki piersiowej. Twarz papieża przykryto lateksową maską. Podczas trzydniowych egzekwii przed leżącym na katafalku *in odore sanctitatis* Piusem XII przeszło około miliona wiernych.

Tytuł książki Johna Cornwella, na którą często się powołuję, brzmi: *Papież Hitlera*. Obaj nie mieli szczęścia do lekarzy. Theodor Morell uczynił wszechpotężnego wodza Trzeciej Rzeszy workiem na wszelkiego rodzaju narkotyki i mieszanki psychoaktywnych substancji – uzależniając go tym samym od siebie. Ale nie miał już władzy nad jego martwym ciałem. Galeazzi-Lisi z niczego Pacellego nie wyleczył, zawładnął jednak jego doczesnymi szczątkami, narażając je na skandal gnicia i wystawiając na publiczne pośmiewisko.

Pojawiający się w finale pokazu mody kościelnej papież to niewątpliwie Pius XII. *Rzym* Felliniego powstał czternaście lat po śmierci Pacellego – absolutnego władcy Kościoła Chrystusowego na ziemi. Pius XII w groteskowej wizji Felliniego jest władcą absolutnym, panem wszystkiego, co żyło, żyje i żyć będzie. To posłany przez Boga na ziemię *Le Roi Soleil*. Ascetyczna twarz w okularach wpisana jest w tarczę słoneczną. To watykański Echnaton – założyciel pierwszej monoteistycznej religii. Jest jakaś kruchość w tym wszechpotężnym papieżu Felliniego. Jego apoteoza jest komiczna, ale ciepła, w jakimś sensie życzliwa. Fellini oszczędził papieżowi ohydy rozkładu i gnicia.

[10]

Kiedy narodził się kult Matki Boskiej z getta? Jej ziemskim wcieleniem została znajdująca się do lipca 1942 roku na terenie kościoła Wszystkich Świętych na placu Grzybowskim w Warszawie figura „w odlewie cynowo-

ołowianym o maksymalnej szerokości 40 cm i wysokości z podstawą 90 cm, wykonanym najprawdopodobniej przez fabrykę Norblina w 1902 roku" – jak precyzyjnie opisuje ją ksiądz Józef Maj, niestrudzony orędownik tego kultu. Narodził się ten kult dość niedawno. Poprzedziły go doniosłe wydarzenia takie jak powołanie w 1994 roku przez księdza Maja – proboszcza kościoła Świętej Katarzyny, gdzie figura teraz przebywa – Konwentu Świętej Katarzyny, skupiającego kilkanaście partii prawicowych. Kandydata na prezydenta nie wyłoniono, ponieważ nie zdołano dojść do porozumienia, kto został wyłoniony. Ksiądz Maj w styczniu 2004 roku złożył do archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego relację *O Matce Bożej z getta warszawskiego i o pracy tam ks. Antoniego Czarneckiego* (AŻIH sygn. 349/2610). W tej relacji ksiądz Maj przekazuje, co mu opowiadał ksiądz Czarnecki, w czasie funkcjonowania getta wikariusz księdza Godlewskiego, proboszcza parafii Wszystkich Świętych. Otóż figura stała na placyku przed plebanią i była tego placyku centralnym miejscem. Ksiądz Czarnecki prowadził spotkania katechetyczne dla kandydatów do chrztu właśnie przy tej figurze, którą „Żydzi katolicy i niekatolicy nazywali »Naszą Matką Bożą z Getta«. Wiem, że były koło niej trzy ławeczki – przytacza ksiądz Maj relację księdza Czarneckiego – ale bardzo często słuchaczy było więcej, niż mogły one pomieścić. Obrzędy Sakramentu Chrztu też odbywały się przy tej figurze". Przy figurze Najświętszej Maryi Panny Niepokalanej ksiądz Czarnecki miał ochrzcić pięć tysięcy Żydów, a nawet więcej – bo około siedmiu tysięcy. Jest to oczywiście liczba zupełnie fantastyczna, budująca legendę i z faktami nic wspólnego niemająca. Kiedy przyszedł dzień rozpoczęcia Wielkiej Akcji Likwidacyjnej, księża musieli opuścić kościół. W relacji księdza Maja, który przekazuje opowieść księdza Czarneckiego, punktem kulminacyjnym tego odejścia jest ceremonialne wyniesienie z getta figury.

> Ks. Antoni Czarnecki, z pomocą mieszkańców getta, zdemontował figurę Matki Bożej i uroczyście, odprowadzany przez tłum ludzi, wyniósł ją wśród wielkiego płaczu zebranych na zewnątrz. […] Niemcy, w zdumieniu przyglądając się tej swoistego rodzaju procesji, nie zaczepiali ani Żydów odprowadzających figurę i księdza aż do bramy, ani księdza wychodzącego z figurą na zewnątrz getta.

Szkoda, że tej wspaniałej uroczystości – rozgrywającej się w pierwszy krwawy dzień wysiedlenia – nikt inny prócz księdza Maja nie odnotował. Ani wtedy, ani po wojnie. Ksiądz Czarnecki z figurą nie rozstał się już do końca życia. Była z nim na plebanii kościoła Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny na Przyrynku w Warszawie, na probostwie we Wrociszewie, aż trafiła na probostwo kościoła Świętej Katarzyny.

Kult „Naszej Matki Boskiej z Getta" wzrasta i obejmuje coraz szersze kręgi. Ludzie zaczynają sobie teraz przypominać, jak to im opowiadano o figurze. Są to jednostkowe relacje, przekazane dziesiątki lat po wydarzeniach przez osoby w podeszłym wieku, zmagające się z niedostatkami pamięci. Przedstawiają one jednak spójną narrację o cudownej obecności figury Matki Boskiej w getcie, o jej cudownym oddziaływaniu na zamkniętych za murami Żydów, o powszechnym szacunku czy wręcz kulcie, jakim Żydzi tę cudowną już wtedy figurę darzyli. Nie ma podstaw, by kwestionować szczerość tych opowieści. Należą one do kategorii nieweryfikowalnych – wszystkie są świadectwami pośrednimi, z drugiej ręki, przekazującymi to, co ktoś usłyszał od innych.

A co o tym wszystkim, bez pośrednictwa księdza Maja, mówi sam ksiądz Czarnecki? Złożył on w 1973 roku relację, która znalazła się następnie w książce pod redakcją Władysława Smólskiego *Za to groziła śmierć. Polacy z pomocą Żydom w czasie okupacji*. Otóż ksiądz Czarnecki, którego szczególne nabożeństwo do figury Matki Boskiej stało się podstawą kultu i który miał ją wynosić z getta na własnych barkach – ani słowem o tej figurze nie wspomina. Ani słowem! Nie pisze też ani słowa o figurze profesor Ludwik Hirszfeld, ówczesny mieszkaniec domu parafialnego kościoła Wszystkich Świętych. Cały rozdział swoich wspomnień *Historia jednego życia* – które ukazały się pierwszy raz w 1946 roku, a częściowo pisane były jeszcze w ukryciu – zatytułował przecież *W cieniu kościoła Wszystkich Świętych*. Figura „Naszej Matki Boskiej z Getta" nie pojawia się również w złożonej w marcu 1948 roku obszernej relacji Rudolfa Hermelina, który wraz z żoną i córką od kwietnia 1941 roku mieszkał na terenie kościoła i administrował plebanią. Hermelin wymienia dziesiątki nazwisk mieszkańców domu

parafialnego (było ich około setki), ale o figurze milczy. Inna mieszkanka plebanii parafii Wszystkich Świętych zaświadcza o pomocy niesionej przebywającym tam Żydom przez proboszcza i wikarego, ale w jej relacji z 1959 roku nic o figurze nie ma. Adwokat Jan Doliwa-Śledziński, pisząc w 1963 roku o organizowaniu pomocy na terenie kościoła, o figurze nie wspomina. Podobnie wnuk twórcy esperanto, Louis-Christophe Zaleski-Zamenhof, również mieszkaniec plebanii, w rozmowie z Romanem Dobrzyńskim opublikowanej w 2005 roku o figurze milczy. Można by te wyliczenia ciągnąć dalej. Dość powiedzieć, że w innych znanych mi źródłach powstałych w czasie funkcjonowania getta lub po wojnie figura „Naszej Matki Boskiej z Getta" się nie pojawia. Głucho też o szczególnym kulcie, jaki żywić mieli wobec niej Żydzi zamknięci za murami. Wszystko więc wskazuje na to, że historia figury jest wytworem późnym i ma charakter hagiograficzny.

Całe kapłańskie życie księdza Maja było wypełnione działalnością chrześcijańsko-patriotyczną. W 1980 i 1981 roku, kiedy był duszpasterzem akademickim w kościele Świętej Anny w Warszawie, widywał pułkownika Ryszarda Kuklińskiego, który udawał robotnika naprawiającego dzwonnicę. Był ksiądz Maj kapelanem Niezależnego Zrzeszenia Studentów, założył Społeczno-Kościelny Komitet Uczczenia Ofiar Terroru Władzy z lat 1944–1956, zbudował przy swojej parafii na Służewie pomnik Męczenników Terroru Komunistycznego, doprowadził do ujawnienia tajnych pochówków ofiar reżimu komunistycznego na cmentarzu służewieckim. Brał udział w wielu innych ważnych inicjatywach. Od 2007 roku jest kapelanem i członkiem Rady Fundacji „Żołnierzy Wyklętych". Metropolita warszawski kardynał Kazimierz Nycz w 2013 roku przeniósł księdza Maja w trybie pilnym na emeryturę i wysłał go do Jerozolimy, dając mu miesiąc na opuszczenie Polski. Środowiska patriotyczne, wśród których działał ksiądz Maj, nie mogą się z tym pogodzić i uważają tę decyzję za jawną krzywdę i niesprawiedliwość. Pocieszają się, że to, „co spotyka ks. Maja, jest o wiele lepsze od tego co spotkało ks. Popiełuszkę, ks. Niedzielaka, kapłanów zabitych w katastrofie smoleńskiej" (ksiądz Maj miał lecieć do Smoleńska, ale ostatecznie nie poleciał). Nie ma już księdza Maja

w kościele Świętej Katarzyny na Służewie, ale stoi tam wciąż figura Matki Boskiej z getta.

[11]

Kiedy wybuchła wojna, Krystyna Mandelbaum (w papierach „aryjskich" – Modrzewska) była pielęgniarką w szpitalu żydowskim w Lublinie. W marcu 1941 roku rozpoczęły się wysiedlenia poprzedzające utworzenie getta. Krystyna z matką w czasie trwającej pięć dni akcji znalazły schronienie na plebanii u znajomego księdza, który bez wahania zatrzymał je u siebie. Był on dawnym sąsiadem rodziny Mandelbaumów i pomagał im od początku okupacji. „Przez cały ten czas szczerze interesował się naszym losem i spieszył z pomocą, kiedy tylko mógł i czym mógł" – zapisze Krystyna w pamiętniku. Ksiądz zachował się super: umieścił ją – funkcjonującą już „na aryjskich papierach" – u sióstr pod Lublinem, a jej matkę najpierw przechowywał na plebanii, a później posłał do prowadzonego przez siostry zakonne domu w Międzylesiu pod Warszawą, gdzie doczekała końca wojny. Niestety ani Krystyna w pamiętniku, ani jej matka – Franciszka Mandelbaum – w relacji złożonej w grudniu 1945 roku w Lublinie przed Centralną Żydowską Komisją Historyczną (AŻIH sygn. 301/1295) nie podają nazwiska księdza. Ów dom zakonny pod Lublinem „okazał się zwykłą walącą się chałupą wiejską". Krystyna przebywała tam do początku 1943 roku, płacąc siostrom początkowo sześćdziesiąt, następnie sto dwadzieścia złotych miesięcznie. Jednocześnie pracowała w miejscowym urzędzie gminy jako tłumaczka i kancelistka. W tym czasie narastał jej konflikt z siostrami. Z jednej strony chętnie korzystały one z jej pomocy w sprawach urzędowych, z drugiej – egzekwowały bezwzględne posłuszeństwo, narzucały żelazną dyscyplinę i rygor. Młoda dziewczyna nie chciała się temu poddawać. Siostry oskarżyły ją o niewdzięczność i wymówiły jej mieszkanie. Zrobiły też rzecz najgłupszą z możliwych – zwierzyły się kilku osobom, że trzymały u siebie Żydówkę. Sytuacja stała się groźna, ale Krystynie udało się z tego wyjść obronną ręką.

Oto co Modrzewska pisze o siostrach i stosunkach panujących w domu zakonnym:

> […] posłano mnie do kościoła i z racji odbywających się tam rekolekcji musiałam przesiadywać tam po kilka godzin dziennie. Ksiądz misjonarz ględził i nudził, plótł bzdurne jakieś opowiadanka, histeryzował na ambonie. Siostry siedziały jak urzeczone, baby wiejskie ocierały łzy rozrzewnienia… Czułam się tak, jakby coś ciężkiego spadło mi z dachu na głowę. Pierwszy raz w życiu znalazłam się w podobnie mało wymagającym otoczeniu i pierwszy raz słyszałam podobnie idiotyczne kazania. […] Te kilkudniowe błazeńskie rekolekcje były jednak tylko wstępem do moich zadziwień, rozczarowań i oburzeń. Zostałam przedstawiona ks. misjonarzowi i staruszkowi ks. proboszczowi. Trzeba było w zgodzie ze swoją rolą i napomnieniami sióstr – całować tych „ojców duchowych" po łapach. Przekonałam się niebawem, że nie są oni tak głupi jak ich kazania. Byli to zwykli oszuści, świadomie cyganili ten tłumek kożuchów i chust, wyciskali łzy wzruszenia i grosze, w duszy zaśmiewając się z własnych „tricków".

Takich obrazków jest więcej. Opuszczając dom zakonny, Krystyna nazwała to miejsce „piekłem". Ale w gruncie rzeczy są to obserwacje banalne i niegroźne. Nie dla wszystkich jednak.

Swój pamiętnik Modrzewska przekazała do Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej w 1947 roku. Tekst nie miał tytułu. Zapiski zostały opublikowane w trzech kolejnych numerach „Biuletynu ŻIH" (1959, nr 31, s. 57–60; 1959, nr 32, s. 65–78; 1960, nr 33, s. 105–124). Część pierwsza, rozpoczynająca się wybuchem wojny, a kończąca masowymi egzekucjami Żydów w lesie koło Krępca pod Lublinem wiosną 1942 roku, została zmasakrowana przez cenzurę lub edytorów. Ingerencje dotyczą niekiedy paru zdań, akapitów bądź fragmentów o objętości od półtora do pięciu stron znormalizowanego maszynopisu. Okazuje się, że w 1959 i 1960 roku nie mogły być opublikowane w piśmie naukowym fragmenty pamiętnika z czasu okupacji mówiące o dyskryminacji Żydów podczas kampanii wrześniowej; o obstrukcji, jaką stosowały ambasady Włoch i Szwajcarii wobec Polaków pochodzenia żydowskiego starających się o wizy; o antysemickich nastrojach wśród Polaków i rabunku mienia żydowskiego. Ingerencje w te właśnie treści można uznać za próbę złagodzenia wymowy

pamiętnika, wiele bowiem podobnych surowych ocen postawy Polaków wobec Żydów nie zostało wyeliminowanych i znajdują się w opublikowanej wersji.

Najciekawsze jest to, że cenzor czy może edytor okazał się przede wszystkim żarliwym obrońcą dobrego imienia Kościoła. Zdecydowanie przeważają skreślenia fragmentów dotyczących pobytu Modrzewskiej u sióstr w podlubelskim domu zakonnym betanek. Eliminowane są zapisy zawierające krytyczną ocenę mentalności zakonnic, ich poziomu umysłowego i moralnego. W oczach cenzora nie znajdują uznania uwagi o klasztornym życiu codziennym i dewocyjnych praktykach religijnych, o hipokryzji kleru i jego zmaterializowaniu. Cenzorska czujność jest tu szczególnie pobudzona. W tym obszarze mieści się blisko połowa wszystkich ingerencji. Tak jakby PRL-owska „poprawność polityczna" była w tym okresie wyjątkowo wyczulona na dbałość o wizerunek Kościoła katolickiego. Czy jednak uwagi o prymitywizmie i obłudzie prowincjonalnych zakonnic mogły naprawdę zepsuć ten wizerunek, kiedy w tym samym pamiętniku czytamy o decydującej roli lubelskiego księdza w ocaleniu autorki i jej matki?

[12]

Cenzurowanie źródeł historycznych dotyczących zagłady Żydów – a myślę tu przede wszystkim o osobistych świadectwach, dziennikach, pamiętnikach, relacjach – nie było w Polsce Ludowej czymś niezwykłym. Chodzi tutaj o zapisy zarówno żydowskich ofiar, jak i polskich świadków. Powszechną praktyką w takich wypadkach było niezaznaczanie skrótów. Dobrym przykładem jest pisany w jidysz i po hebrajsku dziennik Abrahama Lewina, jedno z najważniejszych świadectw z getta warszawskiego, ukryty i odnaleziony wraz z innymi dokumentami Podziemnego Archiwum Getta Warszawskiego, czyli tak zwanego Archiwum Ringelbluma. Po polsku w pełnej wersji został opublikowany dopiero w 2015 roku przez Żydowski Instytut Historyczny. Ci, którzy mieli dostęp do tłumaczenia angielskiego wydanego w Oksfordzie, integralny tekst dziennika mogli przeczytać

w 1988 roku (w 1995 roku Havi Ben-Sasson dodała w „Yad Vashem Studies” odnalezione karki z maja i czerwca 1942 roku). Jednak pierwsze tłumaczenie dziennika Lewina na język polski ukazywało się w kolejnych numerach „Biuletynu ŻIH” już od 1956 do 1958 roku. Nosi ono ślady czerwonego ołówka cenzora. Ingerencje nie są rozległe, są za to bardzo znamienne. Wypadł na przykład fragment z 30 lipca 1942 roku o tym, że „w radiu londyńskim bez przerwy nadają SOS o ratunek dla 400 000 Żydów w getcie warszawskim mordowanych przez Niemców”. Ofiarą polityki historycznej tamtych czasów padli też tak zwani dobrzy Niemcy. Z dziennika Lewina w polskiej wersji, z „Biuletynu ŻIH”, zniknął cały zapis z 8 kwietnia 1942 roku: niemiecki żandarm rozdaje Żydom na Krochmalnej skonfiskowane polskiemu policjantowi granatowemu pieniądze, inny Niemiec przeprowadza bezpiecznie grupę żydowskich dzieci-szmuglerów ze strony aryjskiej do getta i jeszcze się do nich uśmiecha. Niecenzuralne okazały się również zapisy o nierównościach społecznych w getcie, o bogatych Żydach czy żydowskich kolaborantach. Jednocześnie wewnętrzni cenzorzy z ówczesnego ŻIH skreślili dość kłopotliwy dla nich fragment mówiący o tym, że członkowie grupy Oneg Szabat planowali przekazanie Archiwum Ringelbluma do Jidyszer Wisenszaftlicher Institut (JIWO), czyli Żydowskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku. Jak wiemy, dokumenty Archiwum Ringelbluma od chwili ich odnalezienia spoczywają bezpiecznie w sejfach Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie.

Jeśli eliminowanie bądź ograniczanie wzmianek o negatywnych postawach Polaków wobec Żydów wydaje się zrozumiałe, bo służyło tezie, że cały naród polski Żydom pomagał, to dbałość Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk o dobry wizerunek Kościoła podczas Holokaustu jest w czasach realnego socjalizmu dość trudna do zrozumienia. A może to nie cenzorzy z Mysiej, lecz edytorzy z ŻIH nie chcieli narażać się Kościołowi? Niektóre bowiem ingerencje zmierzają wyraźnie do tego, by ciemniejsze karty wybielić. Mogły być one błahe, jak w opublikowanym przez „Biuletyn ŻIH” w kolejnych numerach z 1959 i 1960 roku pamiętniku Krystyny Modrzewskiej, w których oszczędzono czytelnikom uwag

o głupocie sióstr zakonnych oraz pazerności i hipokryzji księży. Ale mogły też dotyczyć spraw fundamentalnych. Tak było w wypadku wstrząsającego świadectwa polskiego nauczyciela szkoły ludowej z Łukowa Stanisława Żemińskiego. O autorze wiemy niewiele. Jego dziennik został przekazany do archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego (AŻIH sygn. 302/30) w 1950 roku przez znajomego z Łukowa, Rachmila Landsberga. Sam Żemiński nie przeżył wojny, nie wiemy jednak, jak zginął. Tekst został opublikowany w trzecim numerze „Biuletynu ŻIH" z 1958 roku. Pod względem edytorskim jest to publikacja niestaranna, nosi również wyraźne ślady cenzury – pomija kilka istotnych fragmentów.

Łuków leżał w dystrykcie lubelskim. Przed wojną mieszkało tam sześć tysięcy Żydów, w czasie okupacji do miasta przybywali liczni uchodźcy i przesiedleńcy. W połowie 1942 roku liczba Żydów w Łukowie wzrosła do blisko dziesięciu tysięcy. Wtedy Niemcy spędzili wszystkich do getta, by już po kilku miesiącach rozpocząć akcję eksterminacyjną. Pierwsza deportacja do Treblinki nastąpiła 5 października 1942 roku i objęła pięć tysięcy Żydów. Trzy dni później odszedł kolejny transport, liczący dwa tysiące osób, w trzecim transporcie 7 listopada wywieziono trzy tysiące osób. W ten sposób getto w Łukowie zostało zlikwidowane. Stanisław Żemiński był naocznym świadkiem tych wydarzeń. Od 27 października do 16 listopada prowadził systematyczne zapiski. Uderza w nich ostrość widzenia i bezkompromisowość w relacjonowaniu wydarzeń. Diarysta opisuje bestialstwo Niemców, ale też okrucieństwo, brutalność i pazerność Polaków. Słowo „sąsiedzi" nabiera tu na długo przed książką Jana Tomasza Grossa złowróżbnego sensu. Żemiński nie potępia wszystkich Polaków, ukazuje różne postawy, jest jednak bezwzględny w wyciąganiu wniosków. I właśnie ta konkluzja została przez cenzora wykreślona. Chodziło o endecję i o Kościół.

> Polaków jest dużo i reakcji jest wiele. O drańFor stwach dosyć dużo piszę. Jest dużo ludzi, którzy potępiają zbrodnie niemieckie i brzydzą się nimi. Są ludzie, którzy na widok wyczynów niemieckich dostają szału rozpaczy. Najpowszechniejsze jednak zdanie Polaków jest takie: „przykre i okrutne to, lecz tu niemcy [*sic!*] oddają nam dużą przysługę: rozwiązują problem żydowski". Nasza endecja ze wszystkimi swoimi

> przybudówkami może być dumna ze swego posiewu. Kościół rzymsko-katolicki nareszcie święci swój tryumf. Winszuję 2-ch tysiącleci!

Z opublikowanego w 1958 roku dziennika Żemińskiego te dwa ostatnie zdania wyleciały. Dlaczego tak się stało? Dwa lata po Październiku 1956 roku stosunki między państwem a Kościołem wciąż jeszcze były całkiem niezłe. Nowy pierwszy sekretarz Władysław Gomułka uwolnił z internowania prymasa Wyszyńskiego, a ten zachęcał do uczestnictwa w wyborach do sejmu w styczniu 1957 roku. Ale w okresie konfliktu wywołanego orędziem biskupów polskich do biskupów niemieckich („przebaczamy i prosimy o przebaczenie”) i walki o rząd dusz w czasie obchodów milenijnych ten sam Gomułka bezpardonowo zaatakował prymasa Wyszyńskiego i polski Kościół katolicki. To, co jeszcze niedawno było niecenzuralne, teraz stało się orężem w politycznej walce. W przemówieniu wygłoszonym 17 kwietnia 1966 roku w Poznaniu Gomułka mówił:

> W Polsce międzywojennej rządzące nią klasy wyzyskiwaczy łącznie z hierarchią kościelną narzuciły rolę „przedmurza” jako antyradzieckiego bastionu. Skończyło się tym, że przy błogosławieństwie katolickich biskupów niemieckich hordy żołdaków hitlerowskich, noszących pasy z hasłem „*Gott mit uns*” napadły na Polskę, wytoczyły z narodu polskiego morze krwi.

Później mówca ton oskarżeń zaostrzył. Grzmiał, że autorzy orędzia „w imię swych wstecznych celów politycznych rozgrzeszyli zbrodniarzy hitlerowskich, wybaczyli im Oświęcim, Majdanek, Treblinkę, wszystkie ich ludobójcze zbrodnie dokonane na narodzie polskim i innych narodach”.

Podczas gdy pierwszy sekretarz w 1966 roku potępiał Kościół polski za politykę dialogu i pojednania z Niemcami, którzy rozpętali II wojnę światową, Stanisław Żemiński w 1942 roku w jednym zdaniu uchwycił straszliwe konsekwencje prowadzonej przez dwa tysiące lat katechezy Kościoła powszechnego – nauczania pogardy wobec Żydów.

[13]

W archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego znajduje się pamiętnik Henryka Kopilewicza (AŻIH sygn. 302/51). Autor urodził się i mieszkał we Lwowie. Miał piętnaście lat, kiedy wybuchła wojna. W grudniu 1941 roku z matką i braciszkiem Januszkiem przyjechał do Borysławia, już po pierwszej akcji eksterminacyjnej z końca listopada 1941 roku. Niemcy zamordowali wtedy około półtora tysiąca Żydów. W sierpniu 1942 roku nastąpiła druga akcja – blisko pięć tysięcy osób zostało wywiezionych do obozu zagłady w Bełżcu. Wśród nich znaleźli się matka i brat autora, on zdołał się ukryć dzięki pomocy księdza Osikiewicza. Miał osiemnaście lat. Jego pamiętnik liczy pięćdziesiąt pięć stron maszynopisu. Nie wiadomo, kiedy znalazł się w archiwum, ale pisany był prawdopodobnie niedługo po wojnie. Fragmenty zostały opublikowane w antologii pod redakcją Michała Grynberga i Marii Kotowskiej *Życie i zagłada Żydów polskich 1939–1945. Relacje świadków* (2003). Doskonale rozumiem, że opublikowano tylko fragmenty, ale chcę się zatrzymać na dwóch przykładach opuszczeń. Nie skreślała tu niczego cenzura, bo wtedy już jej nie było. To, co autorzy wyboru pominęli, jest ich suwerenną decyzją.

Przykład pierwszy. W wersji opublikowanej nie ostał się bardzo ciekawy fragment rozmowy Kopilewicza z księdzem. Między zdaniami: „Gdy zapukałem, [ksiądz – J. L.] przyjął mnie nad wyraz serdecznie" a „Wraz z nami przyjęli chrzest ciotka i wujek" znajduje się nawias kwadratowy z wielokropkiem. Zacytuję to, co się w tym nawiasie kwadratowym mieści, bez żadnych skrótów.

> Gdy zapukałem, przyjął mnie nad wyraz serdecznie. Proszę księdza Dziekana – powiedziałem. Jestem Żydem i zamierzam przyjąć wiarę chrześcijańską. Wychowałem się w środowisku katolickim. W gimnazjum byłem jedynym Żydem w klasie. Od dawna nosiłem się z zamiarem przejścia na katolicyzm. Lecz gdybym to był uczynił, to byłby to wielki cios dla dziadków, którzy uznawali tylko Boga Jedynego. Teraz wobec ostrego kursu antyżydowskiego Babka mi sama doradziła chrzest, o ile ma mnie to uratować. Przyznaję, że więcej to chcę uczynić w celu ratowania życia, ale po części kierują mną pobudki ideowe. Uważam, że chrześcijanizm ma prawie te same cele co socjalizm, którego idei jestem gorącym wyznawcą. Jeśli wojnę przeżyję, to będę tak samo gorącym katolikiem, jak teraz socjalistą. Jeżeli mamy być wyznawcami zasad

> Chrystusowych, to zarazem i socjalistycznych. Chrystus kazał kochać bliźniego. Socjalizm to samo nakazuje. Dziekan Osikiewicz wysłuchał mnie bardzo życzliwie. Tak, kochane dziecko, powiedział – ale chrztu nie mogę ci dać na kolanie. Musisz przychodzić do mnie i poznawać prawdy boże. Zdasz egzamin przede mną. Lecz proszę cię, nie traktuj tego jak lekcji szkolnej, którą mechanicznie przede mną wybębnisz. Musisz naprawdę poznać i zgłębić nauki Chrystusowe. Nieraz wieczorami z narażeniem życia szliśmy na lekcję. Często do późna wywiązywała się dyskusja między Matką a Dziekanem. Wraz z nami przyjęli chrzest ciotka i wujek.

Cóż za smakowita rozmowa! Ksiądz zachował się perfekcyjnie wobec szlachetnie naiwnej tyrady osiemnastolatka. Skreślony fragment liczy zaledwie dziewiętnaście linijek maszynopisu. Względy objętościowe nie mogły tu grać roli. Więc co? Połączenie chrześcijaństwa z socjalizmem wydało się niecenzuralne? No, jeśli się pamięta, że Jan Paweł II miał – delikatnie mówiąc – niechętny stosunek do teologii wyzwolenia zrodzonej w Ameryce Łacińskiej… Tam też chodziło o chrześcijaństwo i socjalizm. Podczas wizyty w Nikaragui w 1984 roku papież zatrzymał się przy klęczącym Erneście Cardenalu, sławnym poecie i ministrze kultury, a jednocześnie księdzu, który chciał ucałować papieski pierścień. Ale Karol Wojtyła pogroził mu palcem.

Przykład drugi. Opuszczony fragment liczy tylko siedemnaście linijek maszynopisu. Tu motywacje skreślenia wydają się już bardziej zrozumiałe. Nazwałbym to „ochroną dobrego imienia Polaka, Polski i chrześcijaństwa". W Borysławiu trwa polowanie na Żydów. Ścigany Henryk chowa się w kościele. Ktoś go jednak denuncjuje. Poinstruowany przez donosiciela gestapowiec podchodzi do siedzącego w ławce Kopilewicza i legitymuje go. Chłopakowi udaje się przekonać gestapowca, że jest Polakiem z Poznańskiego. Wywiązuje się między nimi rozmowa. Ale w pewnym momencie zostaje przez redaktorów urwana. Oto co pominięto. Cytuję bez skrótów.

> A gdzie teraz przebywa [matka – J. L.]? Wyjechała do nich [do rodziny – J. L.] na zachód. Teraz twarz mu się wypogodziła. Wyjmował z portfelu zdjęcia. Zgadywał, to pewnie mamusia, tak, a to tatuś. Zgadł pan, odpowiedziałem. Masz lwowski akcent, musiałeś tam przebywać. Owszem, odpowiedziałem. Bo widzisz, mówił – ja też jestem

> ze Lwowa. Jestem Polakiem, wziąłem sobie za cel tępienie żydostwa! Naszym chrześcijańskim obowiązkiem jest tępienie Żydów. Każdy z nas powinien się przyczynić, by wyginęli co do nogi. Nie uważasz? – zapytał. Tak jest, popieram pańskie zdanie – odpowiedziałem. W duchu zaś pomyślałem, ładny chrześcijański obowiązek. Tu gdzie podstawą i zasadą jest miłość bliźniego, to pan ten w imię jego zaleca likwidować Żydów. Czego klęczysz koło konfesjonału? zapytał jeszcze. Czekam księdza, modlitwa, przygotowując się do spowiedzi. Aha – pamiętaj – powiedział. Gdybyś przypadkiem zobaczył Żydów [Żyda], który chciałby się tu ukryć, to twoim chrześcijańskim obowiązkiem (znowu chrześcijańskim) jest wziąć tego Żyda za kark i zaprowadzić na Schutzpolicję, która znajduje się vis a vis kościoła. Ależ naturalnie, rozumie się, potwierdziłem. Zhajlował mi i wyszedł na ulicę.

Po opuszczeniu przytoczonego wyżej fragmentu redaktorzy antologii kontynuują relację Henryka jak gdyby nigdy nic. Dałbym tu jeszcze przypis do „chrześcijańskiego obowiązku”. Zaraz po ogłoszeniu ustaw norymberskich w 1935 roku nazistowski „Der Stürmer” napisał: „Nienawidzić Żydów jest chrześcijańskim obowiązkiem”.

Autor pamiętnika został złapany. Dostał się do obozu pracy, skąd na początku 1944 roku uciekł do lasu razem z wieloma współwięźniami Żydami. Znów wpadł w ręce Niemców, wywieziono go do Płaszowa, następnie do Mauthausen, gdzie pracował w kamieniołomach, a później został przewieziony do fabryki w Linzu. Tu doczekał się wyzwolenia i przez Węgry wrócił do Polski. Opisuje swoją podróż pociągiem.

> Dzięki swemu wyglądowi, gdym tylko wrócił do kraju, już w pociągu byłem świadkiem takich rozmów między pasażerami, którym na pewno więcej odpowiadał ustrój faszystowski od obecnej demokracji. Wie pan, zwróciła się jedna z pań do swego sąsiada na odcinku Kraków–Zakopane (gdzie to jechałem do sanatorium), swoją drogą to powinniśmy błogosławić Hitlera, że nam Żydów wytępił. Poprzednio jeszcze rozmawiała ze mną – wypytując, czy nie spotkałem się z bratem jej w Mauthausenie. Teraz zwróciła się do mnie. Widzi pan, pan jest Polakiem. Wraca pan z lagru i nikt panu nie dopomoże. Natomiast wracającym Żydom w Krakowie wypłaca się naprzód 50 tysięcy złotych, później dostają kupony na ubrania i płaszcze. W ogóle Żydzi są uprzywilejowani. Dla Żydówek, które urodzą dzieci, Rząd wyasygnował moc pieniędzy, by to parszywe plemię na powrót się napłodziło. Chciałem jej odpowiedzieć, że jestem Żydem i byłem w Krakowie w komitecie [Centralnym Komitecie Żydów

> w Polsce – J. L.] i owszem dostałem 50 – ale nie tysięcy, tylko złotych, które każdy Żyd dostaje jako zasiłek po powrocie z lagru. […] O Boże! – pomyślałem. Jest wielu jeszcze Polaków, którym Hitleria zaimponowała i chcą kroczyć wiernie jej śladami. Do czego to doprowadzi?

Nie muszę dodawać, że ten fragment, kończący pamiętnik Henryka Kopilewicza, nie znalazł uznania w oczach redaktorów i w antologii się nie pojawił.

[14]

Zaczęło się od tego, że Ewa Kurek zmanipulowała cytat z Ringelbluma i na podstawie tak spreparowanego źródła zarzuciła Żydom, że nie obchodziło ich ratowanie własnych dzieci. W grudniu 1942 roku, czyli już po wywiezieniu trzystu tysięcy Żydów do Treblinki, Ringelblum pisał w *Kronice getta warszawskiego* o złożonej przez „księży" propozycji „ocalenia pewnej liczby (kilkaset) dzieci żydowskich przez umieszczenie ich w klasztorach we wszystkich zakątkach kraju". Według niego kryły się za tym trzy motywy: po pierwsze – „polowanie na duszyczki"; po drugie – „czynnik natury materialnej. Za każde dziecko żydowskie trzeba będzie zapłacić za rok z góry 600 zł. miesięcznie"; po trzecie – „czynnik prestiżowy. […] Uratowanie kilkuset dzieci będzie mogło posłużyć za świadectwo, że w tych ciężkich czasach kler polski nie siedział bezczynnie". W debacie nad tą ofertą zdania były podzielone. Ktoś propozycję odrzucił, nawołując raczej do męczeństwa za wiarę niż do zgody na podstępny chrzest dzieci. Ktoś inny apelował o ratowanie dzieci, nawet kosztem wychrzczenia, argumentując, że w tradycji Żydów leży marranizm, czyli pozorny chrystianizm. Część uczestników dyskusji opowiedziała się bezwarunkowo za ratowaniem. Rodzicom pozostawiono ostateczną decyzję. W opracowaniu *Stosunki polsko-żydowskie w czasie drugiej wojny światowej*, pisanym w ukryciu na Grójeckiej między sierpniem 1943 a marcem 1944 roku, Ringelblum stwierdził, że pomysł „spotkał się ze sprzeciwem kół ortodoksyjnych i pewnych sfer narodowych", ale dodał: „Projekt powyższy nie został zrealizowany

z powodu rozmaitych trudności, w pierwszym rzędzie z powodu słabego zainteresowania duchowieństwa polskiego sprawą ratowania dzieci żydowskich”. Tej konkluzji Ewa Kurek w książce o ratowaniu dzieci żydowskich w klasztorach jednak nie przytacza. Pozwala jej to oskarżyć przedstawicieli społeczności żydowskiej o to, że odrzucili ofertę pomocy polskiego Kościoła. Według Kurek to rodzice, zaślepieni lękiem przed katolickim klerem, posłuszni rabinom, a nie rodzicielskiemu sumieniu, woleli uczynić ze swoich dzieci męczenników za wiarę, niż ocalić im życie.

W następnej książce autorka idzie dużo dalej. Wydawnictwo Wyższej Szkoły Umiejętności w Kielcach opublikowało jej kuriozalny elaborat *Poza granicą solidarności. Stosunki polsko-żydowskie 1939–1945* (2006). W istocie – trzeba mieć „wyższe umiejętności”, żeby sprokurować coś takiego. Tezy są następujące. Polaków oskarża się fałszywie i bezpodstawnie, że wypchnęli Żydów poza granicę solidarności. Naprawdę było zupełnie odwrotnie. To sami Żydzi postawili się poza tą granicą. Zawsze byli obcy i wyizolowani, byli cudzoziemcami na polskiej ziemi i ostentacyjnie to manifestowali. W czasie okupacji mieszkali w „żydowskich prowincjach autonomicznych”. Była to realizacja wysuwanych przez nich żądań autonomii narodowej w Polsce. Dopiero Niemcy spełnili polityczne marzenie Żydów – dali im „żydowskie prowincje autonomiczne”, z samorządem reprezentującym różne stronnictwa, z własną policją, opieką społeczną, ze szkolnictwem i tak dalej. Żydzi chętnie więc poszli na układ z Niemcami, gdyż te „autonomiczne prowincje” umożliwiały im „najlepsze warunki przetrwania wojny”. Dalej Kurek donosi:

> Tak więc tymi, których życie było w okupowanej Polsce najbardziej zagrożone, byli w latach 1939–1942 Polacy. […] W tym samym czasie do Żydów odnosiły się jedynie szykany typu ekonomicznego. […] Polscy Żydzi wiedli za murami żydowskie życie, delektując się świeżo zbudowanymi autonomiami i izolacją gett. Głodnych wprawdzie i chłodnych, ale z wolną sobotą, żydowskimi tramwajami, własną pocztą, policją, teatrami, restauracjami.

Asymetria stosunków polsko-żydowskich polegała na tym, że „gdy Niemcy byli skoncentrowani na mordowaniu Polaków, zaś Żydzi żyli w miarę bezpiecznie za wzniesionymi przez siebie murami autonomii terytorialnych (gett), Polakom nie towarzyszyło współczucie i pomoc polskich Żydów". Nie dość więc, że Żydzi żyli – do chwili rozpoczęcia ostatecznego rozwiązania – lepiej i bezpieczniej od Polaków, to jeszcze okazali się głusi na polskie cierpienia. Nie przychodzili prześladowanym Polakom z pomocą. A potem ci niepomagający Polakom i nienawidzący Polaków Żydzi, kiedy sami stali się zagrożeni, od Polaków właśnie oczekiwali ratunku.

Żydzi są sami sobie winni. Kurek twierdzi, że „łatwowierność i posłuszeństwo Żydów były […] największą przeszkodą w ratowaniu ich życia i honoru". Osądza ofiary, odbierając im honor. Buduje także absurdalny wniosek, płynący z upartego nieprzyjmowania do wiadomości realiów i uwłaczający zgładzonym: „Żydzi, posłusznie wsiadający do wagonów, nie dali sobie szansy na życie". Posłuszni wobec oprawców, traktujący Polaków jako wrogów, udaremnili tym samym skuteczność polskiej pomocy. Logika wywodów Kurek jest miażdżąca. „W warunkach drugiej wojny światowej rzeczą niemożliwą było wkroczenie Polaków za mury żydowskiej autonomii (gett) i ratowanie mieszkających tam Żydów wbrew ich woli. […] Polacy mogli uratować tylko tych polskich Żydów, którzy chcieli być przez Polaków ratowani".

„Wyższe umiejętności" pozwalają autorce szybować jeszcze wyżej, ku słońcu. Kurek obnaża skrywany dotąd wstydliwie spisek Żydów przeciwko Żydom. Bezkompromisowo dekonspiruje tajny plan zasymilowanych środowisk żydowskich tworzących trzon administracji getta, polegający na denuncjowaniu władzom niemieckim mechesów, aby przywrócić ich na łono narodu żydowskiego. „Służalcze władze żydowskie" gorliwie wypełniały żądania Niemców i sporządzając listy spisowe, zaliczały przechrztów do Żydów, niwecząc tym samym wysiłek polskiego Kościoła, starającego się przez wydawanie fałszywych metryk Żydów ratować. Ów spisek Żydów przeciw Żydom miał jednak daleko głębszy wymiar. Otóż „autonomiczne prowincje żydowskie (getta) były wynikiem zrealizowania

przez polskich Żydów konkretnych założeń politycznych wymagających kompromisu z Niemcami”. O co chodziło współpracującym z Niemcami przywódcom „autonomicznych prowincji żydowskich”? Można powiedzieć, że chodziło im o swoiste działania eugeniczne, o oczyszczenie społeczności żydowskiej z prawdziwych polskich Żydów, czyli chasydów. Chasydzi zostali zgładzeni, a „od sześćdziesięciu lat o ich śmierci mówią ocaleli z zagłady Żydzi zasymilowani, spośród których wywodziła się większość żydowskich katów – wspólników Hitlera w dziele zagłady”.

A więc prawda jest taka. Po pierwsze – Żydzi skazali na śmierć swoje dzieci, odrzucając pomocną dłoń polskiego Kościoła. Po drugie – zasymilowani Żydzi, stojący na czele powstałych pod życzliwym patronatem Niemców „autonomicznych prowincji żydowskich”, ramię w ramię ze „wspólnikami Hitlera” doprowadzili do zagłady „naród polskich Żydów, chasydów”. Wspólnicy Zagłady ocaleli i są teraz uzurpatorami jej dziedzictwa. To oni tworzą szeregi „żydowskich historyków” przepełnionych antypolonizmem, oskarżających Polaków o współudział w Zagładzie. Rozumiem teraz, dlaczego Jana Tomasza Grossa nazywa się „wampirem historiografii”.

[15]

W sobotę 2 czerwca 1979 roku, w dzień Zesłania Ducha Świętego, na placu Zwycięstwa w Warszawie wznosił się ołtarz i krzyż. Byłem tam. Jan Paweł II zakończył swoje kazanie najsłynniejszym w powojennej homiletyce polskiej aktem strzelistym: „Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej Ziemi!”. W homilii, wygłoszonej porywająco (przecież był aktorem Teatru Rapsodycznego), mówił między innymi: „To wszystko w rękach Bogarodzicy – pod krzyżem na Kalwarii i w wieczerniku Zielonych Świąt. […] To wszystko: i dzieje ludów, które żyły wraz z nami i wśród nas, jak choćby ci, których setki tysięcy zginęły w murach warszawskiego getta”. Motyw przewodni homilii papieskiej: nie można zrozumieć człowieka, narodu, powstania warszawskiego – bez Chrystusa. A więc losu Żydów, którzy „żyli wraz

z nami i wśród nas”, zagłady getta warszawskiego i (można się domyślać) Holokaustu też nie sposób zrozumieć bez Chrystusa. To wszystko (Holokaust również?) w rękach Bogarodzicy. Wtedy, trzydzieści dziewięć lat temu, nie zastanawiałem się nad tym. Klaskałem razem z innymi. Dziś im dłużej o tym myślę, tym większa przenika mnie gorycz, tym bardziej to, co powiedział wtedy papież, wznieca we mnie bunt (jak słowo poety na nowym Campo di Fiori). Od placu Zwycięstwa do placu Krasińskich, gdzie podczas powstania w getcie kręciła się karuzela, a „wiatr z domów płonących / Przynosił czarne latawce” i „Rozwiewał suknie dziewczynom”, jest raptem tysiąc metrów. Nie więcej – wiem to, przechodziłem tę drogę wiele razy. Ani ja, ani „ci ginący, samotni” nie napotkaliśmy na tej drodze Bogarodzicy. Ani latem 1942 roku, podczas deportacji trzystu tysięcy Żydów do Treblinki, ani wiosną 1943 roku, podczas powstania – nie było w getcie tłumu Sprawiedliwych. Ale teraz, właśnie w tym miejscu, przy warszawskiej „*Himmelsweg*” prowadzącej na Umschlagplatz i stamtąd do komór gazowych, czyli przy dawnym biegu ulicy Zamenhofa na tyłach Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN – ma stanąć pomnik Polaków Ratujących Żydów.

Zofia Kossak-Szczucka patrzyła na płonące getto i też nie mogła tego wszystkiego zrozumieć „bez Chrystusa”. W artykule *Wokół płonącego getta*, zamieszczonym w kwietniowo-majowym numerze „Prawdy Młodych” z 1943 roku, w jednym akapicie udało się jej zgromadzić cały katalog żydowskich stereotypów: od przysłowiowego żydowskiego tchórzostwa i wstrętu do walki z bronią w ręku, pychy, przebiegłości, podstępności, braku godności, przez światowy spisek żydowski, aż po obowiązkowy wątek parazytologiczny: „żydzi pasożytowali na ciele narodów europejskich, powszechnie znienawidzeni i pogardzani”. Jak wyobraża sobie autorka pomoc dla walczących za murami Żydów?

> My, katolicy, rozumiejący doniosłość tych wypadków, słyszący jęki mordowanych, patrzący na łunę pożaru – nie możemy wobec nich zachować się biernie. Naszym obowiązkiem jest pomagać prześladowanym żydom, nie dbając o to, czym nam oni za tę pomoc odpłacą teraz, lub odpłacą w przyszłości. Ta pomoc nie może ograniczać się wyłącznie do sukursu materialnego. Równocześnie musi nadążać pomoc duchowa.

> Modlitwa za ginących, uświadamianie ich, że z męki obecnej mogą uczynić wielki stos ofiarny przyspieszający odrodzenie, usuwający z narodu niegdyś wybranego ciążącą na nim klątwę. Pouczanie żydów, że siłą pragnienia mogą być zbawieni w obliczu śmierci łaknąc chrztu i prawdziwej wiary. Dusze ich oczyści i odkupi chrzest krwi, równie ważny i święty jak chrzest wody…

Oto plan ratunkowy: Żydzi mają według Kossak-Szczuckiej szansę na zmycie klątwy bogobójstwa i zbawienie duszy, jeśli tylko płomienie getta potraktują jako stos ofiarny, który ich odkupi przez „chrzest krwi, równie ważny i święty jak chrzest wody”. Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że dla katolickiej pisarki ideałem jest martwy Żyd, który zdołał jeszcze przed śmiercią przyjąć „chrzest krwi” i się „nawrócił”.

Jeśli Karol Wojtyła nie znał jidysz, to przygotowując homilię wygłoszoną na placu Zwycięstwa, nie mógł też znać *Pieśni o zamordowanym żydowskim narodzie* Icchaka Kacenelsona. Spolszczył to arcydzieło Jerzy Ficowski, a Czytelnik wydał dopiero w 1986 roku. 14 sierpnia 1942 Niemcy wywieźli do Treblinki żonę Kacenelsona i jego dwóch synów: czternastoletniego Bencjona i jedenastoletniego Jomełego. Poeta zostaje z siedemnastoletnim Cwim. Wydostają się z warszawskiego getta w kwietniu 1943 roku, tuż po wybuchu powstania. Przez Hotel Polski wywiezieni zostają do obozu w Vittel. Tam Kacenelson pisze dzieło życia, epicki poemat *Pieśń o zamordowanym żydowskim narodzie*. Rękopis – najpierw ukryty w szparze za okiennicą, później zakopany koło pnia obozowej sosny – ocaleje. Ojca i syna przez Drancy wywieziono do Auschwitz-Birkenau. Nocą z 30 kwietnia na 1 maja 1944 roku zostali zgładzeni w komorze gazowej. Oto fragment Pieśni XII *Ulica Miła*:

> Lecz nie ma Boga, to dobrze… Chociaż tak źle jest bez niego – jak źle jest, dzisiaj już wiemy.
> Lecz gdyby istniał – to straszne! Bóg – i ulica Miła… Cóż to za para – ich dwoje!
> O, wydobądźcie z walizek wasze jedyne dzieci i roztrzaskajcie o ścianę!
> Rzućcie się w ogień i rwijcie włosy! I załamujcie bezsilnie ręce swoje:
> Jest Bóg! O, co za nieprawość! O, jaka hańba nieziemska! Szyderstwo nieopisane!

W 1998 roku watykańska Komisja do spraw Kontaktów Religijnych z Judaizmem wydała przełomowy dokument, będący refleksją nad zagładą europejskich Żydów, zatytułowany *Pamiętamy. Refleksje nad Szoa*. Podpisał go przewodniczący komisji kardynał Edward Idris Cassidy wraz z wiceprzewodniczącym i sekretarzem. Dokumentowi nadano wysoką rangę. Na czym polega jego przełomowość? Czy na tym, że autorzy przypominają wiernym, że Jezus i jego Matka byli Żydami? Rzeczywiście, jest to wiedza wciąż z trudem torująca sobie drogę do świadomości sporej części polskich katolików. Czy też na oświadczeniu, „że Żydzi są naszymi umiłowanymi braćmi, a w pewnym sensie są naprawdę »naszymi starszymi braćmi«”? W 1848 roku pisał już o tym Mickiewicz w *Składzie zasad*: „Izraelowi, bratu starszemu, uszanowanie, braterstwo, pomoc na drodze ku jego dobru wiecznemu i doczesnemu. Równe we wszystkim prawo”, z czym notabene ostro polemizował Norwid w liście do Józefa Bohdana Zaleskiego z tego samego roku: „Manifest ten w rzeczach Kościoła dąży do najdokładniejszego wyniszczenia dogmatu i rozwolnienia duchowego”.

Niekwestionowaną wartością tego dokumentu jest fakt, że Watykan – z górą pół wieku po zakończeniu wojny – po raz pierwszy odniósł się całościowo do Zagłady. Niektórzy narzekają, że to późno. Pięćdziesiąt parę lat to przecież mgnienie jak na tempo watykańskie. Galileusz musiał naprawdę długo czekać. W 1992 roku, czyli trzysta pięćdziesiąt dziewięć lat po skazaniu go przez trybunał inkwizycji rzymskiej w drugim procesie, Jan Paweł II zdecydował się powołać specjalną komisję, która miała ustalić okoliczności i wydać opinię w tej sprawie. Minęły wtedy dwadzieścia trzy lata od wylądowania człowieka na Księżycu. W 2003 roku, czyli trzynaście lat po tym, jak NASA wyniosła na orbitę Kosmiczny Teleskop Hubble’a, komisja ogłosiła końcowy komunikat. Pracowano nad nim aż jedenaście lat. Jan Paweł II ostatecznie „zrehabilitował” Galileusza. Stwierdzono, że to jednak Ziemia obraca się wokół Słońca, a papież przyznał, że „Galileusz, człowiek głęboko wierzący, okazał więcej przenikliwości w tej kwestii (interpretacji Pisma) od swych teologów-adwersarzy” („Acta Apostolicae Sedis” 1993, t. 85).

Dokument *Pamiętamy. Refleksje nad Szoa* liczy trzynaście stron znormalizowanego maszynopisu. Wskażę pięć najważniejszych według mnie wątków. Po pierwsze – przyznanie, że Szoa było „nieopisaną tragedią, której nie wolno nigdy zapomnieć”, że „wymordowano miliony Żydów […] wyłącznie z powodu [ich] żydowskiego pochodzenia”, że Szoa to „jeden z najważniejszych faktów w historii naszego stulecia”. Jest to rzeczywiście przełomowe oświadczenie, zrywające z przyjętą szeroko w czasie okupacji wykładnią tego, czym jest Zagłada i jak ją traktować. Dokument radykalnie przewartościowuje ocenę tego, co „Hitler zrobił z Żydami”. Potępiano wówczas metody działania Niemców, aprobując jednak skutki tych działań, czyli „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej” w Polsce, z którą Polacy przez wieki nie umieli sobie poradzić. Po drugie – pytając, „o czym musimy pamiętać”, autorzy podkreślają, że Szoa domaga się „»pamięci moralnej i religijnej«, a ponadto – zwłaszcza od chrześcijan – bardzo poważnej refleksji nad przyczynami, które do niego doprowadziły. […] Fakt, że Szoa dokonał się w Europie, a więc w krajach o dawnej cywilizacji chrześcijańskiej, rodzi pytanie o zależność między prześladowaniem nazistowskim a postawą, jaką w ciągu stuleci przyjmowali chrześcijanie wobec Żydów”. Postawienie przez najwyższe czynniki watykańskie pytania o relacje między wielowiekowym nauczaniem Kościoła o Żydach i judaizmie (określanym potocznie jako nauczanie pogardy) a wyniszczeniem Żydów europejskich jest rzeczywiście bez precedensu. Nie mogło się pojawić wcześniej z przyczyn doktrynalnych, nie mieściło się bowiem w horyzoncie przedsoborowej teologii. Po trzecie – dokument przyznaje, choć czyni to niezwykle eufemistycznie i nad wyraz delikatnie, że „historia relacji między Żydami a chrześcijanami jest bolesna. […] Bilans tych relacji w okresie minionych 2000 lat jest bowiem wyraźnie negatywny”. Jest to twierdzenie obce nauczaniu przedsoborowemu i uprawianej powszechnie katechezie oraz publicystyce katolickiej, w której to Żydzi byli sytuowani w roli wrogów i agresorów, a podejmowane przez stronę katolicko-narodową działania miały charakter obrony koniecznej. Po czwarte – chociaż autorzy rozróżniają rasistowski antysemityzm i kościelny antyjudaizm, to jednak

zdobywają się na akt żalu w stosunku do czynów tych chrześcijan, którzy nie sprostali powołaniu:

> duchowy opór i konkretne działanie chrześcijan nie były takie, jakich można by oczekiwać od uczniów Chrystusa. […] Dla chrześcijan to brzemię ciążące na sumieniu ich braci i sióstr z czasów drugiej wojny światowej powinno być wezwaniem do pokuty. […] Głęboko ubolewamy nad błędami i zaniedbaniami tych synów i córek Kościoła.

Po piąte wreszcie – dokument watykański stanowczo potępia antysemityzm, który jest sprzeczny z zasadami chrześcijaństwa. Przypomnijmy, że po pogromie kieleckim polscy biskupi nie chcieli potępić antysemityzmu i takie żądanie zdecydowanie odrzucili: „Prasa rządowa domaga się […] zbiorowego wystąpienia Episkopatu polskiego przeciwko antysemityzmowi. Jest to żądanie paradoksalne, a nawet ubliżające Kościołowi” – czytamy w memoriale biskupa Kaczmarka. Z satysfakcją trzeba stwierdzić, że to, co ubliżało polskiemu Kościołowi katolickiemu w 1946 roku, po pięćdziesięciu dwóch latach zostało uznane przez Watykan za w pełni zgodne z nauką Kościoła. Warto ponadto zwrócić uwagę, że dokument watykański pomija milczenie Piusa XII w obliczu Zagłady, ale też wolny jest od hagiograficznego wynoszenia papieża Pacellego pod niebiosa.

W ostatnim akapicie autorzy formułują ważne przesłanie:

> Na koniec wzywamy wszystkich ludzi dobrej woli do głębokiej refleksji nad znaczeniem Szoa. Głos ofiar zza grobu oraz żywe świadectwo ocalonych o cierpieniach, jakich doznali, głośno domagają się uwagi całej ludzkości. […] już nigdy nie można pozwolić, aby zatrute ziarna antyjudaizmu i antysemityzmu zakorzeniły się w żadnym ludzkim sercu.

Pod tym zdaniem widnieje data: 18 marca 1998 roku. W Polsce trwała wtedy walka o to, „czyje jest Auschwitz”. Byliśmy już po burzliwym sporze o klasztor sióstr karmelitanek i o obecność symboli religijnych na „polu popiołów” w Birkenau. Rozpalał się właśnie spór następny: o „krzyż papieski” na oświęcimskim żwirowisku. Dokładnie trzy miesiące po

podpisaniu dokumentu *Pamiętamy. Refleksje nad Szoa* Kazimierz Świtoń, lider Społecznego Komitetu Obrony Krzyża, wtargnął na żwirowisko, rozbił namiot i rozpoczął głodówkę. Na oświęcimskim żwirowisku zaczęły wyrastać wciąż nowe krzyże. „Obrońcy krzyża" triumfowali. Episkopat ich zganił i apelował do wiernych, aby usłuchali „głosu swoich pasterzy". Ale Świtoń i inni wiedzieli lepiej. Krzyży przybywało, a na żwirowisku pojawili się antysemici świeccy i duchowni. 28 lipca 1999 roku władze usunęły ze żwirowiska wszystkie krzyże poza „papieskim". Stoi tam do dziś.

[17]

To była niedziela 28 maja 2006 roku. Papież Benedykt XVI wjechał do Auschwitz. W bramie „*Arbeit macht frei*" pojawiła się czarna, opancerzona limuzyna z przyciemnionymi szybami, w otoczeniu rosłych mężczyzn w czarnych garniturach. Ofiarnie zasłaniali limuzynę własnymi ciałami. Czujni, napięci, profesjonalni w każdym calu, uważnie lustrowali otoczenie. Od razu widać, że przybywa Bardzo Ważna Osoba. Domyśliłem się, że w środku jest papież. Zamknięty hermetycznie w czarnej puszce samochodu jak ikra stuletniego białego jesiotra z Morza Kaspijskiego. Papież cenniejszy niż kawior czy biała trufla, bardziej wrażliwy na wstrząsy niż nitrogliceryna. A może dotknięty jakąś szczególnie złośliwą postacią fotodermatozy idiopatycznej? Samochód sunął bezgłośnie drogą między barakami z czerwonej cegły. Tak, to Audi – stara dobra niemiecka firma. W czasie wojny zajmowała się produkcją dla wojska i ciężko odczuła alianckie bombardowania. Później rozkradli ją Rosjanie, ale podniosła się i teraz nieźle prosperuje. Pasażer był niewidoczny. Limuzyna przejeżdżała między barakami w ciszy. Słychać było tylko chrzęst opon na żwirze. Pełna izolacja. Absolutne oddzielenie. Doskonała sterylność. Perfekcyjna osłona przed wirusem Auschwitz. Idealna kapsuła dla kogoś, kto rozmawia z Bogiem twarzą w twarz. Wstrzymałem oddech. Za chwilę wysiądzie, bo przecież musi kiedyś wysiąść. Co się wtedy stanie? Wysiadł, wiatr

poderwał mu pelerynkę białej sutanny. Rozpostarł skrzydła niczym Anioł Boży. „Bóg zstępuje do Auschwitz” – pomyślałem.

Papież przyszedł do Auschwitz „jako syn narodu niemieckiego […], tego narodu, nad którym grupa zbrodniarzy zdobyła władzę przez zwodnicze obietnice wielkości, przywrócenia honoru i znaczenia narodowi, roztaczając perspektywy dobrobytu, ale też stosując terror i zastraszenie”. Sterroryzowany przez „grupę zbrodniarzy”, prześladowany i oszukiwany naród niemiecki zbudował w Auschwitz wydajne i nowoczesne komory gazowe oraz krematoria – spore osiągnięcie niemieckiej myśli technicznej i architektonicznej. Biedny naród niemiecki tak się dał omamić garstce zwyrodniałych przestępców i stał się ich narzędziem. A dwa tysiące lat chrześcijańskiej Europy? Dwa tysiące lat nauczania pogardy? Dwa tysiące lat piętnowania Żydów jako zabójców Pana Jezusa, antychrystów, szatańskie pomioty, zatruwaczy studzien, morderców niewinnych dzieci chrześcijańskich przerabianych na mace, prześladowców Hostii Przenajświętszej, dźganej z dziką furią nożami i szpikulcami? Ale papież zdaje się sądzić, że Auschwitz zbudowali ateiści, którzy „zamierzali zabić Boga”, choć jednocześnie – przypomnijmy Benedyktowi XVI – wypisywali sobie na sprzączkach pasów dewizę pruskiego Orderu Łabędzia „*Gott mit uns*”. I mówił dalej papież: „W miejscu takim jak to brakuje słów, a w przerażającej ciszy serce woła do Boga: Panie, dlaczego milczałeś? Dlaczego na to przyzwoliłeś?”. Słuchałem tych papieskich pytań do Boga i dźwięczała mi w uszach Herbertowska rozmowa Boga i Spinozy. Benedykt XVI mówił i mówił (choć przecież brakowało mu słów), a „Bóg gładził roztargniony brodę”. Benedykt wołał: „Ten krzyk trwogi cierpiącego Izraela, który wzywa Boga w godzinie ogromnej udręki, jest równocześnie wołaniem o pomoc wszystkich ludzi, którzy w historii – wczoraj, dziś i jutro – płacą cierpieniem za umiłowanie Boga, prawdy i dobra; a jest ich wielu, również dziś”. Bóg nie spojrzał ani na papieża, ani na Spinozę. „Bóg patrzył w nieskończoność”. Jakże papież Ratzinger zgrabnie to wszystko zuniwersalizował. Stojąc na ziemi kryjącej prochy zagazowanych i spalonych Żydów, jak pięknie mówił o cierpieniach wszystkich ludzi…

Ale Bóg nie milczy, Bóg słucha swojego sługi w bieli. I tak jak w wierszu Herberta – Bóg wreszcie przemawia. Nad Auschwitz rozpościera się tęcza – znak przymierza, obietnica, którą Bóg składa ponownie swojemu ludowi. Zgromadzeni ludzie płaczą. Papież wsiada do limuzyny. Zamykają się hermetyczne drzwi. Przyciemnione szyby odbijają tylko niebo. W środku nikogo nie widać. Dostrzegłem rejestrację audi: HBE F144. Identyczną rejestrację dostrzegł Mieczysław Bałka. I zrobił wstrząsającą instalację wideo pod tym właśnie tytułem.

[18]

Nie jestem znawcą dziejów księgarstwa, ale nie słyszałem dotąd o wypadku, żeby szef wydawnictwa nie zgadzał się z podjętą przez siebie decyzją i przepraszał za książkę, którą właśnie opublikował. I składał tak pryncypialną publiczną samokrytykę jak Danuta Skóra, dyrektor Społecznego Instytutu Wydawniczego Znak, po ukazaniu się książki Jana Tomasza Grossa i Ireny Grudzińskiej-Gross *Złote żniwa. Rzecz o tym, co się działo na obrzeżach zagłady Żydów* (2011). Książka Grossów jest tendencyjna i sprawiła przykrość czytelnikom, którzy poczuli się tą książką „dotknięci, urażeni czy zasmuceni” – z bólem przyznała dyrektor Skóra. Co więcej, według dyrektor Skóry książka Grossów może się przyczynić do zwiększenia antysemityzmu w Polsce. Dlatego dyrektor Skóra nie zgadza się z decyzją dyrektor Skóry, żeby tę książkę wydać, i przeprasza, że dyrektor Skóra taką decyzją podjęła. Dyrektor Skóra wyraziła nadzieję, że ktoś napisze lepsze książki i że te książki zostaną wydane.

Wydawnictwo Znak ma z Grossem kłopot. Najwyraźniej jest to Znak, któremu sprzeciwiać się będą. Po wydaniu poprzedniej książki Grossa *Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie. Historia moralnej zapaści* (2008) sprzeciwił się nie byle kto, bo kardynał Stanisław Dziwisz, ówczesny metropolita krakowski, osobisty sekretarz Jana Pawła II od początku do końca pontyfikatu. Kardynał wystosował list do wydawnictwa Znak. Hierarcha pouczył wydawnictwo, że – cytuję:

> o stosunkach polsko-żydowskich w latach 40. nie można pisać bez jednoznacznego kontekstu – opisu rzeczywistości politycznej, która panowała wówczas na ziemiach polskich […]. Panował wówczas system jednocześnie ateistyczny, antypolski i antyniepodległościowy. Dopiero w tym lustrze stosunków polsko-komunistycznych można przeglądać inne, wrażliwe tematy, takie jak relacje polsko-żydowskie.

Wtórował mu w tej opinii ksiądz Robert Nęcek, doktor habilitowany nauk społecznych i rzecznik prasowy archidiecezji krakowskiej, twierdząc, że Gross nie przedstawia pełnego obrazu sytuacji oraz szerszego kontekstu „takich, a nie innych zachowań”, że brakuje mu obiektywnego spojrzenia na problem i umiejscowienia go w „określonych realiach”. Zwracam uwagę – za Pawłem Dobrosielskim, który opublikował ostatnio książkę *Spory o Grossa* (2017) – na znamienne niedomówienia, aluzje czy insynuacyjne sformułowania. Bardzo dobrze znamy tę nowomowę. W niej realia są zawsze „określone”, zachowania „takie, a nie inne”, a tematy „wrażliwe”. Metropolita nawiązuje tu nie wprost do stereotypu żydokomuny jako części wspólnej ateizmu, antypolskości i antyniepodległości. Apeluje kardynał, by czytać Grossa w kontekście tużpowojennych zmagań z żydokomuną o niepodległą i wolną Polskę. A w tym kontekście zbrodnie na Żydach stanowiły element walki z komunistami. Przypomina mi to stanowisko, jakie zajął episkopat tuż po pogromie kieleckim, posługując się kunktatorską nowomową i unikając konfrontacji z faktami (ze szlachetnym wyjątkiem częstochowskiego biskupa Teodora Kubiny). Bogu ducha winna „miejscowa ludność” została „wprowadzona w błąd” przez „pewne czynniki”, „w wyniku czego padły liczne ofiary”. Według biskupów mieliśmy do czynienia z „krwawym dramatem”, „splotem wypadków”, „smutnymi zajściami”. Prymas Hlond w swoim oświadczeniu potraktował pogrom jako jedno ze „starć orężnych na bojowym froncie politycznym w Polsce”.

Masakrę na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku w prasie peerelowskiej pseudonimowano różnymi eufemizmami i niedomówieniami. Zwraca na to uwagę Michał Głowiński w *Marcowym gadaniu. Komentarzach do słów 1966–1971*. Chodzi na przykład o słówko *sytuacja*. „Ma ono brzmieć ogólnikowo, sygnalizuje tylko, że coś się stało, ale nie ujawnia żadnych

szczegółów […]. »Sytuacja«, nie opatrzona żadnymi słowami uściślającymi, brzmi – rzecz jasna – enigmatycznie. O to właśnie chodzi". Propaganda polubiła też wtedy słówko *zajścia*. „Zakres i charakter »zajść« jest nieokreślony, mogą to być zarówno drobne awantury, jak ruch masowy. Nieokreślone jest także to, kto w nich uczestniczy". W grudniu 1980 roku towarzysz Kania użył sformułowania „tragiczne wydarzenia", których dziesiąta rocznica przeszła „w atmosferze powagi i spokoju". W *Peereliadzie. Komentarzach do słów 1976–1981* Głowiński pisze, że te „tragiczne wydarzenia to najostrzejsze określenie masakry sprzed lat dziesięciu, jakie może się pojawić w oficjalnej prasie. Nie mówi się o niej jako o morderstwie, zbrodni, czy choćby właśnie – masakrze".

Eufemistyczne peryfrazy, zasłaniające to, co działo się „na obrzeżach Zagłady" (dyrektor Skóra) czy podczas pogromu kieleckiego (kardynał Dziwisz), brzmią szczególnie asekurancko wobec wypowiedzi kardynała Józefa Glempa na temat zbrodni w Jedwabnem. Prymas nie pozostawia wątpliwości, że to była zbrodnia, kto jej dokonał i kim były ofiary: „mord dokonany przez spalenie żywcem ludności żydowskiej, spędzonej siłą przez Polaków do stodoły, jest niezaprzeczalny" – mówił w marcu 2001 roku w Radiu Józef. Retoryka eufemizmu została tu zastąpiona trzema strategiami perswazyjnymi. Mamy retorykę insynuacji (sugerowanie żydowskiego spisku):

> Przed rokiem poinformował mnie poważny Żyd, że niebawem będzie nagłośniona sprawa Jedwabnego […]. Dlaczego dopiero po sześćdziesięciu latach podaje się znany fakt jako sensację […]? Jedwabne może mieścić się w programie określonych tarć politycznych, podobnie jak to bywało w innych przypadkach.

Mamy retorykę uniwersalizacji cierpienia (Jedwabne włączone zostaje w cały łańcuch zbrodni: od Katynia przez Dachau, Auschwitz, Rwandę, wojnę na Bałkanach aż po – jak to ujął kardynał Glemp – zbrodnie między sąsiadami w Palestynie). Mamy wreszcie rytualne odwołanie się do Sprawiedliwych. Wywód prymasa zorganizowany jest wokół pojęć sprawiedliwości, przeprosin i przebaczenia, ale wywołany został politycznymi naciskami.

> Nie chciałbym – skarży się prymas – aby politycy narzucali Kościołowi sposób, w jaki wypełni akt żalu za zbrodnie popełnione przez określone grupy ludzi wierzących, a moralnie zdziczałych, ani też aby określali ideologię, w jaką ma być ubrana modlitwa pokutna. Tymczasem pod koniec lutego, w ciągu dwóch dni, kilku wysokiej rangi polityków skontaktowało się ze mną z identycznym niemal programem: tego i tego dnia Kościół katolicki powinien podjąć wielkie modły w Jedwabnem, pokajać się za zbrodnie i prosić o przebaczenie ludobójstwa, bo inaczej narazimy się na gniew.

Jak widzimy, kardynał Glemp nie porzucił jednak eufemistycznych niedomówień („określone grupy ludzi”, „określone tarcia polityczne”). Jego wypowiedź ma charakter reaktywny – prymas został niejako wywołany, wręcz zmuszony do odpowiedzi. Jest też ta wypowiedź w swojej istocie apologetyczna (od łacińskiego *apologeticum*; apologetyką określa się dział teologii zajmujący się obroną prawd wiary) – broni dobrego imienia narodu polskiego. „Nie wolno nam w imię sprawiedliwości przyklejać do jakiegokolwiek narodu etykiety narodu zabójców” – stwierdza prymas. Jednakowoż w kontekście ówczesnych sporów wokół Jedwabnego ten głos prymasa jest ważny i na swój sposób odważny.

Postulowany w wypowiedzi kardynała Glempa akt pokuty i pojednania – decyzją Episkopatu Polski – odbył się 27 maja 2001 roku w warszawskim kościele Wszystkich Świętych na placu Grzybowskim (stojącym w czasie okupacji na terenie getta) z udziałem Michaela Schudricha, późniejszego naczelnego rabina Polski. Nie były to jednak wyłącznie modlitwy za żydowskie ofiary mordu w Jedwabnem – zaznacza Piotr Forecki. Modlono się tam także za „inne zło, które dokonało się na obywatelach polskich wyznania katolickiego i w którym mieli udział także Polacy wyznania mojżeszowego”. Podczas tej uroczystej mszy pokutnej mieliśmy zatem do czynienia ze swoistym rytuałem symetryzmu. Przepraszamy, że spaliliśmy was w stodole, ale wy nas przeproście, że „Polacy wyznania mojżeszowego” dopuścili się na Polakach wyznania katolickiego licznych zbrodni. Z jednej strony pobrzmiewa tu wcześniejsza formuła prymasa Hlonda, nazywającego pogrom kielecki „starciem orężnym na bojowym froncie politycznym w Polsce”, z drugiej – zastosowana później przez kardynała Dziwisza strategia kontekstualizacji:

„Dopiero w tym lustrze stosunków polsko-komunistycznych można przeglądać inne, wrażliwe tematy”.

Wydaje się, że w pełni czyste, proste, ewangeliczne „przepraszam” ze strony hierarchy Kościoła katolickiego zabrzmiało 10 lipca 2017 roku, w siedemdziesiątą szóstą rocznicę zbrodni. Wypowiedział je biskup Rafał Markowski. I to nie w Warszawie, ale w Jedwabnem – tam, gdzie płonęli Żydzi podpaleni przez Polaków.

> Ta wojna była wyjątkowa, bo dokonała bezwzględnej, strasznej i przemyślanej eksterminacji narodu żydowskiego. Również Kościół stanął przed pytaniem, czy zrobił wszystko, aby temu zapobiec. […] Kościół w Polsce opłakuje wszelkie akty przemocy i antysemityzmu. Za ból, jaki sprawili katolicy braciom i siostrom narodu żydowskiego – przepraszamy.

[19]

Zastanawia mnie pojęcie „cywilizacja śmierci”. O jaką cywilizację chodzi? O taką, która produkuje śmierć tak jak pszczoła miód? To, co w niej wydaje się słodkie, w istocie ma smak piołunu; to, co wydaje się powabne i przyjemne, w istocie prowadzi do zguby; to, co wyzwala – niewoli, a to, co rzekomo daje życie, naprawdę zabija. W tej cywilizacji to, co jest, nie jest tym, co być powinno. Jest to cywilizacja pozorów, idoli, fałszywych bożków. Prawda, wyszydzana przez oszustów i kuglarzy, zepchnięta jest w cywilizacji śmierci do podziemi i znajduje ostatnie schronienie w sercach ludzi wierzących.

Walka z cywilizacją śmierci polega przede wszystkim na zerwaniu zasłony i odsłonięciu prawdziwego oblicza świata i człowieka. Ale nie chodzi o spowodowanie takiej deziluzji, o jakiej pisał barokowy poeta Francisco de Quevedo: „A to, co nazywacie umieraniem, jest końcem umierania, to, co nazywacie narodzinami, jest początkiem umierania, a to, co nazywacie życiem, jest śmiercią za życia”. Śmierć w cywilizacji śmierci ma swoją jamę, w której skrywa się jak wąż, aby ukąsić i zabić. Śmierć w cywilizacji śmierci dotyka przede wszystkim nienarodzonych, na nich czyha i przeciwko nim swój oścień kieruje.

Ludzkość od zarania dziejów pławi się we krwi. Wojna i zabijanie, agresja i przemoc – to stos pacierzowy wszystkich cywilizacji, chrześcijańskiej nie wyłączając. Zabijanie zwierząt, aby je zjeść lub złożyć w ofierze; zabijanie ludzi, aby ich złożyć w ofierze, aby uratować heretyków, kacerzy, czarownice i innych niewiernych od śmierci wiecznej, aby wyeliminować wrogów, oczyścić zdobytą ziemię, zastraszyć i zniewolić pozostałych przy życiu. Każda cywilizacja jawi się w tej perspektywie jako cywilizacja śmierci, chrześcijańskiej nie wyłączając. Ale krucjata przeciwko cywilizacji śmierci ten wymiar zdaje się pomijać, przechodzi nad nim do porządku dziennego. Obrońcy cywilizacji życia i miłości nie pochylają się aż z taką pasją nad tragedią ludzi zabijanych na wojnach, umierających z głodu, maltretowanych na różne sposoby w rodzinach. Gwałty i śmierć zadawane już narodzonym nie wywołują w obrońcach życia tak wielkich emocji jak śmierć jeszcze nienarodzonych.

Śmierć nienarodzonych rozgrywa się gdzieś pod powierzchnią, w ukryciu, w łonie kobiety, w gabinecie ginekologicznym. Jest nieobecna w przestrzeni publicznej. Aby uczynić ją widoczną, aby rozerwać zasłonę, trzeba ją nazwać. To, co nie jest nazwane, nie istnieje. Trzeba więc przede wszystkim powiedzieć, że jest owocem zabójstwa. Język krucjaty w obronie życia nienarodzonych jest językiem perswazyjnym i magicznym: kreuje rzeczywistość, narzuca wartościowanie, określa raz na zawsze sytuację komunikacyjną, od której nie ma już ucieczki, która jest jak potrzask. Dlatego mówi się o zabijaniu dzieci nienarodzonych. Kiedy w 2016 roku prowadziłem seminarium na Uniwersytecie Jagiellońskim, jeździłem do Krakowa dwa razy w miesiącu. Na Plantach mijałem zawsze grupę młodych ludzi zbierających podpisy pod apelem o całkowity zakaz aborcji. Z głośnika polowego płynęły skierowane wprost do mnie słowa: „Czy jesteś za zabijaniem dzieci?”. Czułem się źle – bo przecież jako żywo za zabijaniem dzieci nie jestem, ale petycji każdorazowo nie podpisywałem. Tak działa w języku propagandy mechanizm presupozycji. Zdanie z presupozycją zawiera informację nieprzekazaną wprost, schowaną pod spodem. Na powierzchni jej nie widać, niemniej tkwi w środku i stanowi milcząco założony i niepodlegający dyskusji warunek porozumienia. Nawet

jeśli zaprzeczy się całemu zdaniu, to ukryta w nim treść nie zostanie zanegowana. „Czy jesteś za zabijaniem dzieci [nienarodzonych]”. Nie, nie jestem za zabijaniem dzieci. Potwierdzasz jednak w ten sposób, chcąc nie chcąc, że dzieci są zabijane, że aborcja to właśnie zabijanie dzieci.

Jednak dla obrońców życia „zabijanie dzieci” to jeszcze za mało. To zabijanie musi zostać nazwane najbardziej spektakularnie, jak tylko można najmocniej. Nie ma mocniejszego słowa określającego masowe zabijanie niż „Holokaust”. Słowo „Holokaust” ma w języku status szczególny. Jest wyjątkowe. Właśnie dlatego jest tak bardzo atrakcyjne. Obrońcom cywilizacji życia i miłości bardzo się podoba słowo „Holokaust”.

Holokaustyzacja dyskursu antyaborcyjnego (termin „holokaustyzacja” pożyczam od Elżbiety Janickiej) jest faktem. Ten typ dyskursu rozwijają w Polsce przede wszystkim świeckie środowiska narodowo-katolickich fundamentalistów, ale doktrynalne podstawy zbudowały tu wypowiedzi najwyższych hierarchów Kościoła rzymskokatolickiego, z papieżem Janem Pawłem II na czele. W *Wielkiej encyklopedii nauczania Jana Pawła II* (2014) czytamy, że „aborcja staje się systemem zbrodni w znacznie większym i szerszym stopniu niż hitlerowski holokaust dokonany na Żydach”. Papież odwoływał się również do innej tradycji metaforycznej, nie holokaustowej, lecz biblijnej. Mówił o aborcji jako prawdziwej i mającej zasięg światowy „rzezi niewiniątek” w liście *Il recente concistoro* [Ostatni konsystorz] z 1991 roku. Jednak mnie interesują konteksty dwudziestowieczne. W encyklice *Evangelium vitae* [Ewangelia życia] z 1995 roku pisał, że demokracja uznająca prawo do aborcji „przeradza się w istocie w system totalitarny”, a państwo, które taką legislację w demokratycznej procedurze parlamentarnej przyjmuje, nazywał „państwem tyrańskim”. Przemawiając do rodaków w Kaliszu 4 czerwca 1997 roku, papież Polak mówił:

> „naród, który zabija własne dzieci, staje się narodem bez przyszłości”. […] Potrzebna jest przeto powszechna mobilizacja sumień i wspólny wysiłek etyczny, aby wprowadzić w czyn wielką strategię obrony życia. Dzisiaj świat stał się areną bitwy o życie. Trwa walka między cywilizacją życia a cywilizacją śmierci.

To, czego Jan Paweł II nie wyrażał wprost, dopowiadają ci, którzy na jego nauczanie nieustannie się powołują. Niezrównanym żonglerem tej retoryki jest niewątpliwie Marek Jędraszewski, arcybiskup i metropolita krakowski. Wielokrotnie nawiązywał on do metafory walki światłości z ciemnością, czyli cywilizacji miłości z cywilizacją śmierci, powołując się za każdym razem na fundatora tego dyskursu – Świętego Jana Pawła II, któremu nadał przydomek „Wielki”. Według metropolity cywilizacja śmierci wdziera się podstępnie do Polski przez promowanie „dżender” (cokolwiek to dla arcybiskupa znaczy), lewactwa, ale przede wszystkim aborcji. Zaatakował Marek Jędraszewski kobiety protestujące na ulicach wielu polskich miast 3 października 2016 roku (Czarny Protest) przeciw projektom absolutnego zakazu aborcji, grzmiąc z ambony, że są one emisariuszkami cywilizacji śmierci. „Chce się dziś głosić antyewangelię, chce się powiedzieć »czarną Ewangelię«. […] To, co się dzieje, te czarne marsze, są przerażającą, współczesną manifestacją cywilizacji śmierci”. Metropolita krakowski występuje ze swoimi mowami w katedrze wawelskiej, gdzie są groby królów polskich. Pod sklepieniem tej katedry odprawił w październiku 2017 roku mszę świętą inaugurującą Marsz dla Życia i Rodziny. Metaforyka czerni okazała się wtedy za słaba, by skutecznie zagrzewać do walki z aborcją. Sięgnął więc śmiało do Holokaustu. Zwolennicy prawa do aborcji to według arcybiskupa „przedstawiciele Herrenvolku”, zachowują się oni bowiem tak jak naziści, „którzy przeprowadzali selekcję na tych, którzy zdolni są do pracy i wysiłku na rzecz Rzeszy Niemieckiej, i na tych, których nie opłaca się utrzymywać i żywić, więc trzeba ich zlikwidować”. W homiletycznym uniesieniu metropolita krakowski porównał gabinety ginekologiczne z rampą kolejową, na której w czasach zagłady Żydów Niemcy przeprowadzali selekcje, czyli oddzielanie tych, którzy pójdą prosto do komór gazowych i spaleni zostaną w krematoriach, od tych, których wtrąci się do obozu koncentracyjnego.

> Kilkadziesiąt lat temu odbywało się to na rampach kolejowych. Dzisiaj w laboratoriach. Ale logika jest ta sama i stawka jest równie podobna, gdy chodzi o życie naszych braci

> i sióstr, ale także gdy chodzi o kształt naszego człowieczeństwa i naszej cywilizacji, o której tak często i z takim bólem Święty Jan Paweł Wielki mówił, że stacza się w kierunku cywilizacji śmierci.

Słowa te wyszły z ust metropolity Krakowa, a Kraków jest oddalony od Auschwitz o siedemdziesiąt kilometrów (w linii prostej pięćdziesiąt). Wydawałoby się, że człowiek urodzony w Polsce cztery lata po wojnie powinien mieć przynajmniej wyczucie odległości, o poczuciu przyzwoitości nie wspominając.

Tak oto najwyżsi hierarchowie Kościoła katolickiego, którego papież i biskupi w czasach Holokaustu nie mogli wykrztusić z siebie słowa na „Ż", dziś ochoczo do Holokaustu się odwołują. Żerowanie na prochach zgładzonych Żydów trwa, a ofiarom zabiera się nawet słowo „Holokaust". Nawet to słowo im się zabiera.

Wykaz wykorzystanych źródeł

Materiały archiwalne

Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego

Cukierman Icchak, *Reportaż z obozu pracy w Kampinosie*, „Dror-Wolność” 1941, nr 5 (maj) (sygn. ARG 1304)

Darczuk Klementyna, relacja złożona w 1947 roku (sygn. 301/2937)

Doliwa-Śledziński Jan, relacja złożona 18 marca 1963 roku (sygn. 301/6010)

Hermelin Rudolf, relacja złożona 8 marca 1948 roku (sygn. 301/4151)

Kopilewicz Henryk, [Pamiętnik] (sygn. 302/51)

Maj Józef, *O Matce Bożej z getta warszawskiego i o pracy tam ks. Antoniego Czarneckiego* (sygn. 349/2610)

Mandelbaum Franciszka, relacja złożona 28 grudnia 1945 roku (sygn. 301/1295)

N.N., *Kampinos* (sygn. ARG I 1131)

N.N., relacja złożona 3 czerwca 1959 roku (sygn. 301/5688)

N.N., *Zeks wochn cwangs-arbets-lager* [Sześć tygodni w obozie pracy przymusowej] *(12.06.1941 r.)* (sygn. ARG I 1203)

Rajchert (Reichert) Roman, relacja złożona w kwietniu 1947 roku (sygn. 301/2293)

Rotgeber Karol, [Pamiętnik] (sygn. 302/48)

Weksztejn Anatol, [Pamiętnik] (sygn. 302/204)

Żemiński Stanisław, [Pamiętnik] (sygn. 302/30)

Archiwum Biblioteki Narodowej

Górski Józef, [Pamiętnik] (sygn. III 9776)

Archiwum Państwowe w Tarnowie

Sprawa Stefanii K., oskarżonej 25 października 1937 roku o podpalenie żydowskiego domu w Wietrzychowicach pod Tarnowem (sygn. PT218 IIDs 1031/37 W380/38, mikrofilm nr 3)

Publikacje książkowe

Adama Czerniakowa dziennik z getta warszawskiego 6 IX 1939– 23 VII 1942, oprac. Marian Fuks, Warszawa 1983

Bałaban Majer, *Historia i literatura żydowska ze szczególnym uwzględnieniem historji Żydów w Polsce dla klas wyższych szkół średnich*, t. 3: *Od wygnania Żydów z Hiszpanji do rewolucji francuskiej (od Zygmunta Starego do trzeciego rozbioru Polski)*, Lwów–Warszawa–Kraków 1925

Białoszewski Miron, *Powodzenia* [w:] tegoż, *Szumy, zlepy, ciągi*, Warszawa 2014

Bielawski Szraga Fajwel, *Ostatni Żyd z Węgrowa. Wspomnienia ocalałego z zagłady w Polsce*, przeł. Sara Abrahamer, red. nauk. i wstęp Jan Grabowski, Warszawa 2015

Cała Alina, *Wizerunek Żyda w polskiej kulturze ludowej*, wyd. 2, Warszawa 1992

Cornwell John, *Papież Hitlera. Tajemnicza historia Piusa XII*, przeł. Andrzej Grabowski, Kraków 2014

Dalin David G., *The Myth of Hitler's Pope. How Pope Pius XII Rescued Jews from the Nazis*, Washington 2005

Dąbrowski Witold, *Cud na Nowolipkach. Objawienie w kościele św. Augustyna w 1959 roku w Warszawie*, Warszawa 2012

Döblin Alfred, *Podróż po Polsce*, przeł. Anna Wołkowicz, Kraków 2000

Dobrosielski Paweł, *Spory o Grossa. Polskie problemy z pamięcią o Żydach*, Warszawa 2017

Dobrzyński Roman, *Ulica Zamenhofa. Rozmowa z wnukiem twórcy języka esperanto*, Bielsko-Biała 2005

Faulkner Rossi Lauren, *Wehrmacht Priests. Catholicism and the Nazi War of Annihilation*, Cambridge, MA 2015

Forecki Piotr, *Od „Shoah" do „Strachu". Spory o polsko-żydowską przeszłość i pamięć w debatach publicznych*, Poznań 2010

Głowiński Michał, *Czarne sezony*, Warszawa 1998

—, *Marcowe gadanie. Komentarze do słów 1966–1971*, Warszawa 1991

—, *Peereliada. Komentarze do słów 1976–1981*, Warszawa 1993

Goldhagen Daniel Jonah, *Niedokończony rozrachunek. Rola Kościoła katolickiego w Holokauście i niedopełniony obowiązek zadośćuczynienia*, przeł. Hanna Jankowska, Warszawa 2005

Gross Jan Tomasz, *Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie. Historia moralnej zapaści*, Kraków 2008

Grunberger Richard, *Historia społeczna Trzeciej Rzeszy*, t. 1–2, przeł. Witold Kalinowski, Warszawa 1987

Hering Ludwik, *Meta* [w:] tegoż, *Ślady. Opowiadania*, Warszawa 2011

Hirszfeld Ludwik, *Historia jednego życia*, Warszawa 1989
Hilberg Raul, *Zagłada Żydów europejskich*, t. 1, przeł. Jerzy Giebułtowski, Warszawa 2014
Kronika getta łódzkiego/Litzmannstadt Getto 1941–1944, t. 2: *1942*, oprac. i red. nauk. Julian Baranowski i in., Łódź 2009
Kurek Ewa, *Dzieci żydowskie w klasztorach. Udział żeńskich zgromadzeń zakonnych w ratowaniu dzieci żydowskich w Polsce w latach 1939–1945*, Lublin 2001
—, *Poza granicą solidarności. Stosunki polsko-żydowskie 1939–1945*, Kielce 2006
Laks Szymon, *Gry oświęcimskie*, Oświęcim 1998
Landau Ludwik, *Kronika lat wony i okupacji*, t. 1: *Wrzesień 1939 – listopad 1940*, tekst do druku przygotowali Zbigniew Landau i Jerzy Tomaszewski, Warszawa 1962
Leociak Jacek, *Ratowanie. Opowieści Polaków i Żydów*, Kraków 2010
Longerich Peter, *Holocaust. The Nazi Persecution and Murder of the Jews*, Oxford 2010
Marianowicz Antoni, *Życie surowo wzbronione*, Warszawa 1995
Markiel Tadeusz, Alina Skibińska, *„Jakie to ma znaczenie, czy zrobili to z chciwości?" Zagłada domu Trynczerów*, Warszawa 2011
Melito of Sardis, *On Pascha and Fragments*, texts and translations ed. Stuart George Hall, Oxford 1979
Molisak Alina, *Judaizm jako los. Rzecz o Bogdanie Wojdowskim*, Warszawa 2004
Nowy leksykon judaistyczny, red. Julius H. Schoeps, przeł. Sława Lisiecka i in., Warszawa 2007
Passelecq Georges, Bernard Suchecky, *The Hidden Encyclical of Pius XI*, transl. Steven Rendall, New York 1997
Peters Edward, *Inquisition*, Berkeley–Los Angeles 1989
Phayer Michael, *Kościół katolicki wobec Holokaustu 1930–1965*, przeł. Jacek Lang, Zakrzewo–Poznań 2011
Poliakov Léon, *Historia antysemityzmu. Epoka nauki*, t. 2, przeł. Agnieszka Rasińska-Bór, Oskar Hedemann, Kraków 2008
Quevedo Francisco de, *Sny. Godzina dla każdego, czyli Fortuna mózgiem obdarzona*, przeł. Kalina Wojciechowska, Warszawa 1982
Ratzinger Joseph – Benedykt XVI, *Jezus z Nazaretu*, cz. 2: *Od wjazdu do Jerozolimy do Zmartwychwstania*, przeł. Wiesław Szymona, Kielce 2011
Reardon Wendy J., *The Deaths of the Popes. Comprehensive Accounts, Including Funerals, Burial Places and Epitaphs*, Jefferson 2004
Ringelblum Emanuel, *Kronika getta warszawskiego. Wrzesień 1939 – styczeń 1943*, przeł. Adam Rutkowski, Warszawa 1983

—, *Stosunki polsko-żydowskie w czasie drugiej wojny światowej. Uwagi i spostrzeżenia*, oprac. i wstęp Artur Eisenbach, Warszawa 1988

Rochman Leyb, *The Pit and the Trap. A Chronicle of Survival*, New York 1983

Roth Jan M., *Społeczno-polityczna działalność prymasa Polski Augusta Hlonda w latach 1939–1945*, Toruń 2009

Schmidt Leokadia, *Cudem przeżyliśmy czas zagłady*, Kraków 1983

Staszic Stanisław, *O przyczynach szkodliwości Żydów i środkach usposobienia ich, aby się społeczeństwu użytecznymi stali*, polona.pl, goo.gl/t8pdQd, dostęp: 10.10.2017

—, *Przestrogi dla Polski*, Kraków 2009

Szarota Tomasz, *U progu Zagłady. Zajścia antyżydowskie i pogromy w okupowanej Europie. Warszawa, Paryż, Amsterdam, Antwerpia, Kowno*, Warszawa 2000

Szaynok Bożena, *Pogrom Żydów w Kielcach 4 lipca 1946*, Warszawa 1992

Szpigiel Jeszajahu, *Królestwo Getto* [w:] *Twarze getta. Antologia literatury z łódzkiego getta*, red. Krystyna Radziszewska, Ewa Wiatr, Łódź [w druku]

Tazbir Janusz, *Protokoły Mędrców Syjonu. Autentyk czy falsyfikat*, Warszawa 1992

Tokarska-Bakir Joanna, *Legendy o krwi. Antropologia przesądu*, Warszawa 2008

Trzeciak Stanisław, *Mesjanizm a kwestia żydowska*, skł. gł. Księg. „Przeglądu Katolickiego", Warszawa 1934

—, *Program światowej polityki żydowskiej. Konspiracja i dekonspiracja*, Warszawa 1936

Tworkowski Stanisław, *Polska bez Żydów, Stronnictwo Narodowe Powiatu Warszawskiego*, Warszawa 1939

Wielka encyklopedia nauczania Jana Pawła II, oprac. zbiorowe pod red. ks. prof. Janusza Nagórnego, ks. prof. Andrzeja Zwolińskiego, prof. Eugeniusza Sakowicza, Radom 2014

Witowski Gerard Maurycy, *Sposób na Żydów, czyli Środki niezawodne zrobienia z nich ludzi uczciwych i dobrych Obywateli: dziełko dedykowane Posłom i Deputowanym na Seym Warszawski 1818 roku*, [b.m.w.] [b.d.w.]

Wojdowski Bogdan, *Ścieżka* [w:] tegoż, *Mały człowiek, nieme ptaszę, klatka i świat. Opowiadania*, Warszawa 1975

Wolff-Powęska Anna, *A bliźniego swego… Kościoły w Niemczech wobec „problemu żydowskiego"*, Poznań 2003

Żyndul Jolanta, *Zajścia antyżydowskie w Polsce w latach 1935–1937*, Warszawa 1994

Opracowania źródłowe, artykuły, publikacje elektroniczne

„Acta Apostolicae Sedis”, t. 85: 1993

L’archiatra corrotto, bizzarrobazar.com, goo.gl/Uf6dde oraz wykop.pl, goo.gl/4cd4Wq, dostęp: 1.09.2017

Asz Szalom, *Chrystus w getcie*, przeł. Michał Friedman, „Polska Izrael” 1993, nr 2 (marzec/kwiecień)

Bein William, Pismo z American Joint Distribution Committee informujące o darowiźnie na rzecz kościoła Wszystkich Świętych. Zbiory archiwum IPN, faksymile dokumentu w: Karol Madaj, Małgorzata Żuławik, *Proboszcz getta*, Warszawa 2010

Berenbaum Michael, *Kristallnacht*, britannica.com, goo.gl/L2bMbo, dostęp: 4.11.2017

Bp Kaczmarek i bp Kubina o pogromie kieleckim, „Gazeta Wyborcza – Świąteczna”, 1–2.03.2008

Bursche Juliusz, *Do ewangelików w Polsce*, [orędzie wygłoszone w Warszawie w wystąpieniu radiowym 1 września 1939 roku] [w:] *Ewangelicy warszawscy w walce o niepodległość Polski w latach drugiej wojny światowej. Wspomnienia i relacje*, red. Alina Janowska i in., Warszawa 1997

—, *Listy do rodziny. Wyjątki z zachowanych listów pisanych w celi więzienia w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen-Oranienburg* [w:] *Ewangelicy warszawscy w walce o niepodległość Polski w latach drugiej wojny światowej. Wspomnienia i relacje*, red. Alina Janowska i in., Warszawa 1997

Charakterystyka zlewni doświadczalnej ZMŚP „Kampinos” – Struktura hydrologiczna i hydrogeologiczna, kampinoski-pn.gov.pl, goo.gl/a7tfmQ, dostęp: 10.10.2017

Czajkowski Michał, *Kto jest winny śmierci Jezusa?* [w:] tegoż, *Czy Żydzi mają diabła za ojca? Przyczynki do dialogu chrześcijańsko-żydowskiego*, t. 1, Warszawa 2016

Czarnecki Antoni, *Parafia Wszystkich Świętych* [w:] *Za to groziła śmierć. Polacy z pomocą Żydom w czasie okupacji*, red. Władysław Smólski, Warszawa 1981

Gmina Wietrzychowice, wietrzychowice.pl, goo.gl/DzJNSZ, dostęp: 23.10.2017

Górski Józef, *Na przełomie dziejów*, oprac. Jan Grabowski, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” 2006, nr 2

Griffioen Pim, Ron Zeller, *Prześladowania Żydów w Holandii, Francji i Belgii 1940–1945 w ujęciu porównawczym: podobieństwa, różnice, przyczyny*, przeł. Jerzy Giebułtowski, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” 2015, nr 11

Jachowicz Jerzy, *Ksiądz prałat Józef Maj – z płk Ryszardem Kuklińskim w tle – wyróżniony przez Senat Stanów Zjednoczonych*, wpolityce.pl, goo.gl/7XQYZ1, dostęp: 10.09.2017

Jan Paweł II o Edycie Stein, deon.pl, goo.gl/BmmhJx, dostęp: 29.10.2017

Janicka Elżbieta, *Mroczny przedmiot pożądania. O „Kinderszenen" raz jeszcze – inaczej*, „Pamiętnik Literacki" 2010, z. 4

Janion Maria, *Starozakonni Polacy Niemcewicza* [w:] tejże, *Do Europy – tak, ale razem z naszymi umarłymi*, Warszawa 2000

Kard. Nycz uśmiercił św. Katarzynę – ks. prałat Maj skazany na banicję, blogpress.pl, goo.gl/zzzAnF, dostęp: 10.09.2017

Keller Claudia, *Sie folgte ihrem Gewissen*, „Der Tagesspiegel", 28.01.2004, www.tagesspiegel.de, goo.gl/YV9fdQ, dostęp: 13.09.2017

Kossak-Szczucka Zofia, *Wokół płonącego getta*, „Prawda Młodych Frontu Odrodzenia Polski", maj 1943, cyt. za: *Polacy – Żydzi. Polen – Juden. Poles – Jews 1939–1945. Wybór źródeł. Quellenauswahl. Selection of Documents*, oprac. Andrzej Krzysztof Kunert, Warszawa 2001

Lapomarda Vincent A. SJ, *Papież Pius XII i Żydzi. Dlaczego powinien zostać beatyfikowany?*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały" 2009, nr 5

Leociak Jacek, *„Osobliwe zrządzenie Opatrzności Bożej…". Polska pamięć Zagłady w perspektywie katolicko-narodowej*, „Teksty Drugie" 2016, nr 6

Libionka Dariusz, *Die Kirche in Polen und der Mord an den Juden im Licht der polnischen Publizistik und Historiographie nach 1945*, „Zeitschrift für Ostmitteleuropa – Forschung" 2002, H. 2

—, *Głową w mur. Interwencje Kazimierza Papée, polskiego ambasadora przy Stolicy Apostolskiej, w sprawie zbrodni niemieckich w Polsce, listopad 1942 – styczeń 1943*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały" 2006, nr 2

—, *Polska hierarchia kościelna wobec eksterminacji Żydów – próba krytycznego ujęcia*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały" 2009, nr 5

Libionka Dariusz, Jan Grabowski, *Anatomia donosu ks. Stanisława Trzeciaka na ks. Tadeusza Pudra*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały" 2017, nr 13

Margarete Sommer, gdw-berlin.de, goo.gl/m9AaBK, dostęp: 20.09.2017; db.yadvashem.org, goo.gl/fwRfCq, dostęp: 21.09.2017; revolvy.com, goo.gl/P1pcsC, dostęp: 21.09.2017

Młynarczyk Jacek Andrzej, *„Akcja Reinhard" w gettach prowincjonalnych dystryktu warszawskiego 1942–1943* [w:] *Prowincja noc. Życie i zagłada Żydów w dystrykcie warszawskim*, red. Barbara Engelking, Jacek Leociak, Dariusz Libionka, Warszawa 2007

Modrzewska Krystyna, *Pamiętnik*, „Biuletyn ŻIH" 1959, nr 31, s. 57–60; 1959, nr 32, s. 65–78; 1960, nr 33, s. 105–124

„Newsweek", 10.07.2017, goo.gl/s7Gr8Y, dostęp: 3.11.2017

Odnaleziono list Edyty Stein do Piusa XI, www.kosciol.pl, goo.gl/2BfKjS, dostęp: 12.09.2017

Pamiętamy. Refleksje nad Szoa, dokument cyt. za: fzp.net.pl, goo.gl/He3jpk , dostęp: 7.11.2016

Phayer Michael, *The German Catholic Church after the Holocaust*, „Holocaust and Genocide Studies" 1996, vol. 10, no. 2 (Autumn)

Pietsch Franz, *Przejęcie Neustadt. Kościelna kronika odbierania parafii Niemcom w Prudniku*, „Karta" 2017, nr 91

Płużański Tadeusz Marek, *Sejm walczy z ubojem*, „Midrasz" 1997, nr 6

Pogrzeb Piusa XII, katolikintegralny.wordpress.com, goo.gl/ZTsPRs, dostęp: 1.09.2017

Polski cud różańcowy w czasie II wojny światowej, adonai.pl, goo.gl/9YUnJa, dostęp: 4.01.2018

Radzik Zuzanna, *Oskarżenie Żydów o bogobójstwo w starożytnym chrześcijaństwie*, [maszynopis powielony]

Rokicki Jarosław, *Ks. dr Stanisław Trzeciak (1873–1944). Szkic biograficzny*, „Biuletyn ŻIH" 1999, nr 190

Ruwen F., zeznanie z 12 czerwca 1962, Bundesarchive-Aussenstelle Ludwigsburg, B 162/6852, cyt za: J*acek Andrzej Młynarczyk, „Akcja Reinhard" w gettach prowincjonalnych dystryktu warszawskiego* [w:] *Prowincja. Noc. Życie i zagłada Żydów w dystrykcie warszawskim*, red. Barbara Engelking, Jacek Leociak, Dariusz Libionka, Warszawa 2007

Sękowska Aleksandra, *Zbór Ewangelicko-Reformowany w Warszawie w latach drugiej wojny światowej* oraz *Leszno 20 i nie tylko* [w:] *Ewangelicy warszawscy w walce o niepodległość Polski w latach drugiej wojny światowej. Wspomnienia i relacje*, red. Alina Janowska i in., Warszawa 1997

Sienkiewiczowa Zuzanna, [relacja] [w:] Władysław Bartoszewski, Zofia Lewinówna, *Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939–1945*, Kraków 1966

Skibińska Alina, *Relacje polskich świadków Zagłady – Adama Ulricha z Zakrzówka i Stanisława Żemińskiego z Łukowa*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały" 2017, nr 13

Słomka Artur, *Rys biograficzny kardynała A. Hlonda* [w:] *August kardynał Hlond. Na straży sumienia Narodu. Wybór pism i przemówień*, Warszawa 1999

Synowiec Andrzej, *Problem tzw. kwestii żydowskiej w Polsce w publicystyce ks. Jana Piwowarczyka – wybrane aspekty*, „Rocznik Historii Prasy Polskiej" 2006, t. 9, z. 1 (17)

Szarota Tomasz, *„Sprawozdanie kościelne z Polski za czerwiec i połowę lipca 1941-go roku". Próba analizy dokumentu* [w:] tegoż, *Karuzela na placu Krasińskich. Studia*

i szkice z lat wojny i okupacji, Warszawa 2007

Wilczyński Leszek, *Kardynał August Hlond – wrześniowy uciekinier?*, „Poznańskie Zeszyty Humanistyczne” 2007, t. 9

Wolff-Powęska Anna, *„Noc kryształowa” – noc hańby*, „Znak” 2008, nr 643 (grudzień)

Żukowska Lucyna, *Dahlemickie kazanie Otto Eichela wygłoszone w kościele św. Jana w Gdańsku w październiku 1934 r.*, „Gdański Rocznik Ewangelicki” 2014, t. 8

Żukowski Tomasz, *Współzawodnictwo w nacjonalizmie. Spór między partią i Kościołem w roku 1966*, „Kwartalnik Historii Żydów” 2008, nr 4 (grudzień)

Przypisy

[1] Wszystkie cytaty z Biblii podaję za tak zwaną Biblią Tysiąclecia: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, w przekładzie z języków oryginalnych*, opracował zespół biblistów polskich z inicjatywy benedyktynów tynieckich, wyd. 2 zmienione, Poznań–Warszawa: Pallottinum, 1971.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl
edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: lukasz.sobolewski@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, honorata@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2018
Wydanie I